Błyskawiczny bestseller
na liście New York Times!

John le Carré

Silverview

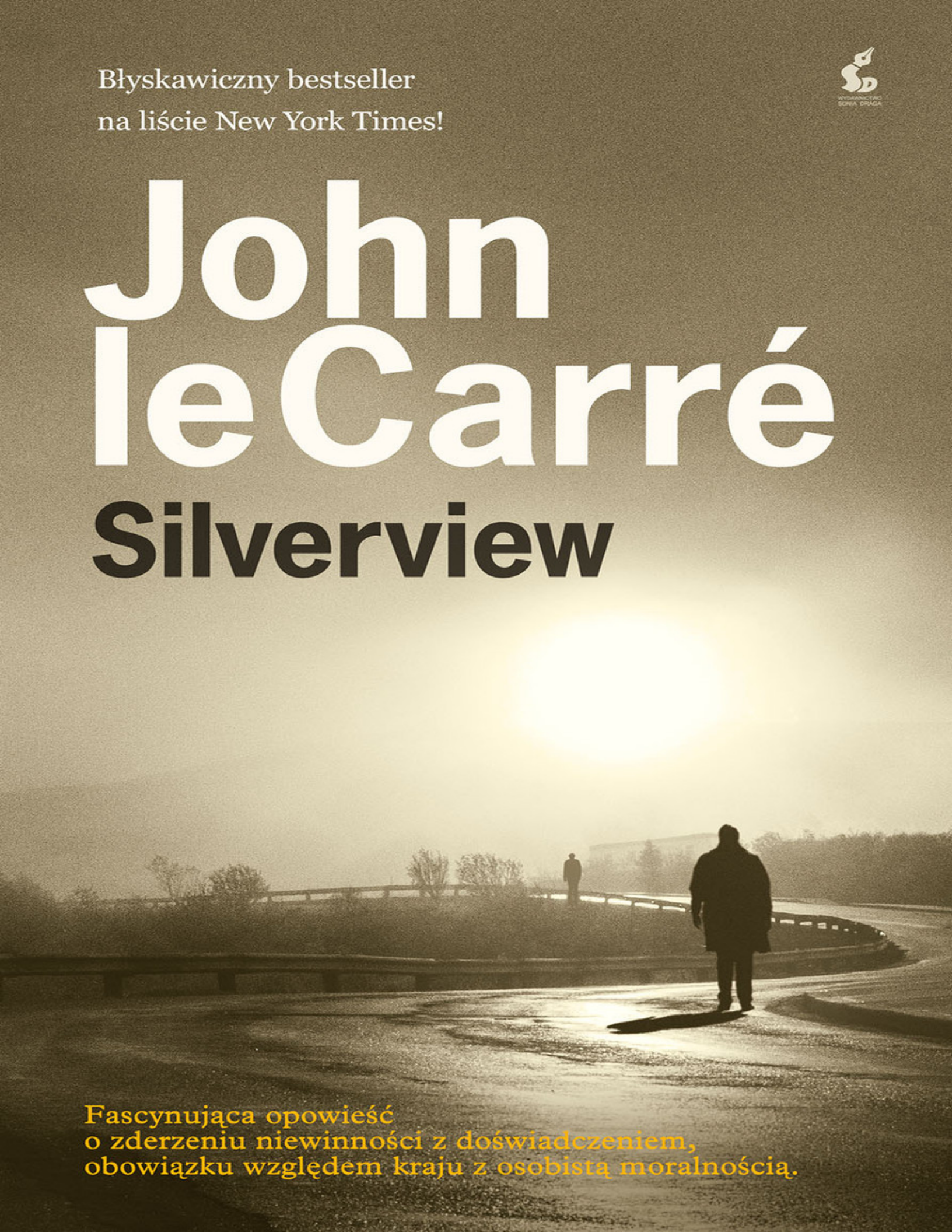

Fascynująca opowieść
o zderzeniu niewinności z doświadczeniem,
obowiązku względem kraju z osobistą moralnością.

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

John le Carré

Silverview

Z języka angielskiego przełożył
Jan Rybicki

WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Silverview
Copyright © 2021, The Literary Estate of David Cornwell

Copyright © 2022 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2022 for the Polish translation by Jan Rybicki
(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie autora: © Stephen Cornwell for White Hare Productions Ltd 2010

Redakcja: Bożena Sęk
Korekta: Mariusz Kulan, Agnieszka Tabor

ISBN: 978-83-8230-470-1

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga
E-wydanie 2022

SPIS TREŚCI

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
Posłowie
Przypisy

1

Pewnego deszczowego przedpołudnia około dziesiątej przez South Audley Street na londyńskim West Endzie maszerowała dziarsko młoda kobieta w obszernej kurtce i w chuście na głowie, nic sobie nie robiąc z szalejącego na ulicy wiatru. Miała na imię Lily i targały nią sprzeczne uczucia, które chwilami przechodziły w oburzenie. Jedną dłonią – w rękawiczce – osłaniała sobie oczy od ulewy i podejrzliwie odczytywała numery domów, drugą pchała opatulony plastikiem wózek ze swoim dwuletnim synkiem Samem. Niektóre z tych domów były tak eleganckie, że w ogóle nie miały numerów. Inne miały, ale dlatego, że nie stały przy tak eleganckiej ulicy.

Dotarłszy do pretensjonalnej bramy – tu akurat numer był doskonale widoczny na kolumience ganku – wspięła się tyłem na schodki, wciągając za sobą wózek, groźnie spojrzała na spis lokatorów na domofonie i zdecydowanym ruchem przycisnęła najniższy dzwonek.

– Wystarczy mocniej pchnąć drzwi, kochana – pouczył ją z głośniczka dobrotliwy kobiecy głos.

– Ja do Proctora. Powiedziała mi, że mam gadać z Proctorem, z nikim innym – odpaliła bez namysłu Lily.

– Stewart już idzie, kochana – oznajmił ten sam uspokajający głos i kilka sekund później w drzwiach frontowych pojawił się chudy okularnik po pięćdziesiątce, lekko pochylony w lewo, przekrzywiający głowę z długim jak dziób nosem, jakby chciał jej zadać jakieś żartobliwe pytanie. U jego boku stała postawna, ubrana w zapinany sweter kobieta o siwych włosach.

– Ja jestem Proctor. Pomóc pani z tym? – zapytał, zaglądając do wózka.

– A skąd mam wiedzieć, że pan to pan? – odpowiedziała pytaniem Lily.

– A stąd, że pani szanowna matka zadzwoniła wczoraj na mój prywatny numer i zmusiła mnie, żebym tu dziś przyszedł.

– Mówiła, że pan będzie sam – upierała się dalej Lily, spoglądając mało przychylnie na postawną panią.

– Marie opiekuje się domem. A zawsze chętnie pomoże, jeśli trzeba – powiedział Proctor.

Postawna pani ruszyła w stronę Lily, która odmownie wzruszyła ramionami. Proctor zamknął za nimi drzwi. W holu zrobiło się cicho. Lily zwinęła plastikową zasłonę na tyle, że ukazała się główka śpiącego dziecka. Włosy miało czarne, kędzierzawe, i bardzo zadowoloną minę.

– Całą noc nie spał – powiedziała Lily, przytykając dłoń do czoła synka.

– Jaki śliczny – pochwaliła pani Marie.

Lily pchnęła wózek w najciemniejszy kąt pod schodami, sięgnęła pod niego, wyciągnęła wielką niezaadresowaną kopertę i stanęła przed Proctorem. Jego półuśmiech przywodził jej na myśl starego księdza, u którego musiała się spowiadać z grzechów, gdy mieszkała w internacie. Nie lubiła wtedy ani księdza, ani szkoły. I nie zamierzała teraz lubić Proctora.

– Mam nigdzie nie iść, tylko czekać, aż pan przeczyta – oznajmiła.

– Oczywiście – zgodził się uprzejmie Proctor, przekrzywiając głowę i patrząc na nią przez okulary. – I chciałbym panią za to wszystko bardzo, ale to bardzo przeprosić.

– Jak chce pan odpowiedzieć, to przekażę, ale tylko ustnie – powiedziała. – Mówiła, że nie chce żadnych telefonów, SMS-ów czy e-maili. Ani od Firmy, ani od nikogo. Od pana też nie.

– Bo też to taka przykra sprawa… – skomentował Proctor, ze smutkiem pomedytowawszy przez chwilę. I jak gdyby dopiero w tej chwili się zorientował, że trzyma w ręce kopertę, obmacał ją kościstymi palcami. – Mam wrażenie, że to jakieś dłuższe dzieło. Jak pani myśli, ile stron?

– Nie wiem.

– Na papierze listowym? – Wciąż macał. – Niemożliwe. W żadnej papeterii nie ma takich wielkich arkuszy. To chyba zwykły papier do drukarki.

– Mówiłam już, że nie zaglądałam do środka.

– Oczywiście. No cóż… – Tu pozwolił sobie na komiczny uśmieszek, który na chwilę całkiem ją rozbroił. – A więc do pracy. Czuję, że czeka mnie dłuższa lektura. Pozwoli pani, że się teraz oddalę?

W pustym saloniku po drugiej stronie sieni Lily i Marie siedziały naprzeciw siebie na bezkształtnych fotelach o drewnianych poręczach, z tapicerką w szkocką kratę. Na odrapanym szklanym stoliku między nimi leżała metalowa taca z termosem kawy i czekoladowymi herbatnikami. Lily nie dała się poczęstować.

– To jak ona się ma? – zapytała Marie.

– Jak na to, że umiera, całkiem nieźle.

– No tak, to straszne. Wiadomo. To zawsze jest straszne. Ale umysłowo jakoś się trzyma?

– Jeszcze całkiem nie zwariowała, jeśli o to pani chodzi. Nie bierze morfiny, bo uważa, że nie powinna. Czasem schodzi na kolację, jeżeli czuje się na siłach.

– Mam nadzieję, że chociaż jedzenie ciągle jej smakuje?

Nie mogąc dłużej tego wytrzymać, Lily pomaszerowała do holu i zajęła się Samem, dopóki nie wrócił Proctor. Jego pokój był mniejszy niż salon i mroczniejszy, z brudnymi i bardzo grubymi zasłonami w oknach. Starając się zachować przyzwoitą odległość między nimi, Proctor zajął pozycję obok kaloryfera przy przeciwległej ścianie. Lily nie spodobał się wyraz jego twarzy.

– Pan jest onkologiem z Ipswich Hospital. To, co mi pan powie, mówi się tylko najbliższej rodzinie. Powie mi pan, że ona umiera, ale ja już to wiem, więc co jeszcze?

– Zakładam, że pani wie, co jest w liście od pani mamy – zaczął Proctor obojętnym tonem, zupełnie nie jak ten ksiądz, któremu nie chciała się spowiadać, tylko jak ktoś znacznie prawdziwszy. A widząc, że Lily chce zaprzeczyć, od razu dodał: – W ogólnych zarysach, rzecz jasna, bez szczegółów.

– Już panu mówiłam – odparła ostro Lily. – Ani w ogólnych zarysach, ani w żadnych innych. Mama nic mi nie powiedziała, a ja nie pytałam. W internacie miałyśmy taką zabawę: która dłużej

wytrzyma, patrząc drugiej w oczy. Nie wolno było ani mrugnąć, ani się uśmiechnąć.

– No dobrze, Lily. Popatrzmy na to z innej strony – zaproponował Proctor tak cierpliwie, że święty by się wściekł. – Nie wiesz, co jest w liście. Nie wiesz, o co chodzi. Ale powiedziałaś jakiejś koleżance, że wieziesz list do Londynu. Komu powiedziałaś? To akurat musimy wiedzieć.

– Kurwa, nie powiedziałam nikomu ani słowa – odpowiedziała szczerze Lily, patrząc wprost w pozbawioną wyrazu twarz po drugiej stronie pokoju. – Mama mówiła, żeby nikomu nic nie mówić, to nie mówiłam.

– Lily.

– Co?

– Bardzo mało wiem o twojej osobistej sytuacji. Ale jedno wiem: nie mieszkasz sama, tylko z kimś. Co mu powiedziałaś? A jeżeli to nie on, tylko ona, to co powiedziałaś jej? Przecież nie możesz tak po prostu zniknąć na cały dzień z domu, nikomu się nie tłumacząc. To przecież całkiem naturalne powiedzieć komuś ot tak sobie, chłopakowi, dziewczynie, koleżance czy jakiejś znajomej osobie: „Wiesz co? Jadę do Londynu, żeby własnoręcznie doręczyć supertajny list od mojej mamy".

– To według pana jest naturalne? Dla nas? Tak do kogoś mówić? Do byle znajomego? Normalne jest to, że mama chciała, żebym nikomu, ale to nikomu nic nie mówiła. No to nie mówiłam. A poza tym już dawno temu składałam przysięgę. Wam. Podpisałam. Już trzy lata temu przystawili mi pistolet do głowy i powiedzieli, że jestem dość dorosła, by dotrzymać tajemnicy państwowej. Na dodatek mieszkam sama i nie mam psiapsiółek, którym bym mogła się wygadać. – Znowu ta zabawa z gapieniem się w oczy. – Ojcu też nic nie powiedziałam, jeśli o to panu chodzi – dodała tonem, który przywodził na myśl wyznanie.

– Matka nie chciała, żebyś mu mówiła? – zapytał Proctor ostrzej niż do tej pory.

– Nie mówiła, że mam mu powiedzieć, to nie powiedziałam. Tak już u nas jest. Taka rodzinka. Jedni chodzą przy drugich na paluszkach. Może u pana w domu też tak jest.

– To powiedz mi, jeśli łaska – mówił dalej Proctor, ignorując kwestię tego, jak jest lub nie jest u niego w domu. – Pytam z ciekawości. Jak wytłumaczyłaś się z dzisiejszego wyjazdu do Londynu?

– Czyli pod jaką przykrywką tu jestem?

Wychudła twarz na drugim końcu pokoju wyraźnie się rozjaśniła.

– W sumie właśnie o to mi chodzi – przyznał Proctor, jakby „przykrywka" była dla niego pojęciem nowym i w dodatku zabawnym.

– Szukamy przedszkola w naszej okolicy. Gdzieś blisko mojej dziupli w Bloomsbury. Będzie jak znalazł, kiedy Sam skończy trzy lata.

– Doskonale. I rzeczywiście to będziesz dziś robić? Będziesz oglądać przedszkola razem z Samem, poznawać przedszkolanki i tak dalej? I gdzieś go zapiszesz? – Proctor całkiem przekonująco grał teraz rolę troskliwego wujka.

– Zależy, w jakim stanie będzie Sam, jak go stąd zabiorę.

– Proszę cię, postaraj się – nalegał Proctor. – Będzie ci znacznie łatwiej po powrocie.

– Jak to łatwiej? Co łatwiej? – Znowu się najeżyła. – Znaczy łatwiej kłamać?

– Będzie ci łatwiej nie kłamać – poprawił ją Proctor z pełnym przekonaniem. – Powiedziałaś, że jedziesz oglądać z Samem przedszkola, więc jak je oglądniesz, wrócisz do domu i powiesz, że oglądałaś, to gdzie tu kłamstwo? Już i tak masz tyle na głowie… Nie mam pojęcia, jak sobie z tym radzisz.

Przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć, bo zrozumiała, że mówi szczerze.

– Czyli pozostaje już tylko jedna sprawa – odezwał się Proctor, wracając do meritum. – Jaką odpowiedź mam dać twojej dzielnej mamie? Bo odpowiedź jej się należy. I musi ją otrzymać. – Urwał, jakby miał nadzieję, że Lily mu podpowie. Ale nie podpowiedziała, więc mówił dalej: – No i jak już mówiłaś, odpowiedź może być tylko ustna. I to ty musisz ją przekazać. W cztery oczy. Tak mi przykro, Lily. Mogę zaczynać? – Ale zaczął, nie czekając. – Nasza odpowiedź to zdecydowane i natychmiastowe trzy razy tak. Jej list wzięliśmy

sobie do serca. Zaczynamy działać. Zgadzamy się całkowicie na wszystkie jej warunki. Zapamiętasz?

– Zapamiętam, bo to mało skomplikowane.

– No i oczywiście przekaż mamie najszczersze wyrazy uznania za lojalność i odwagę. Tobie też się należą, Lily. I jeszcze raz: tak mi przykro.

– A tata? Co mam powiedzieć tacie? – zapytała nie do końca zadowolona Lily.

Znowu ten komiczny uśmiech. Jak światło ostrzegawcze.

– No tak. A nie możesz po prostu opowiedzieć mu o przedszkolach, które oglądałaś? W końcu po to przyjechałaś dziś do Londynu…

*

Krople deszczu wciąż odbijały się na nią od chodnika, gdy Lily szła aż do Mount Street i dopiero tam wzięła taksówkę. Kazała kierowcy wieźć się na dworzec Liverpool Street. Może naprawdę planowała oglądać to przedszkole? Już sama nie wiedziała. Może oznajmiła to wczoraj wieczorem? Nie, raczej nie, bo właśnie wtedy uznała, że już nigdy nie będzie się z niczego przed nikim tłumaczyć. A może w ogóle nie wpadła na taki pomysł, dopóki Proctor go z niej nie wydusił? Wiedziała jedno: dla głupiego Proctora nie będzie łazić po pieprzonych przedszkolach. Mam to w dupie. To, umierające matki i ich tajemnice, i w ogóle wszystko.

2

Tego samego ranka w małym nadmorskim miasteczku, uwieszonym u brzegów Anglii Wschodniej, trzydziestotrzyletni księgarz Julian Lawndsley wychynął z bocznego wyjścia swej nowiutkiej księgarni i zapinając pod szyją aksamitny kołnierz czarnego płaszcza – pozostałość po życiu biznesmena z londyńskiego City porzuconym dwa miesiące wcześniej – zaczął się przedzierać przez deszcz wzdłuż opustoszałej żwirowej plaży ku jedynej kawiarni w okolicy, w której o tej paskudnej porze roku można było zjeść śniadanie.

Nie był w zbyt przyjaznym nastroju ani względem siebie, ani względem całego świata. Poprzedniego wieczoru, gdy po wielogodzinnym remanencie wspiął się schodami na swój świeżo zaadaptowany strych nad księgarnią, okazało się, że nie ma ani prądu, ani bieżącej wody. U fachowca oczywiście włączała się poczta głosowa. Zamiast szukać hotelu – o tej porze roku pewnie i tak wszystko było nieczynne – zapalił sobie cztery świeczki, otworzył butelkę czerwonego wina, rzucił na łóżko parę dodatkowych koców, położył się i zajął rachunkami.

Ale nie dowiedział się z nich niczego nowego. Ucieczka z wyścigu szczurów, na którą zdecydował się tak nagle, nie przebiegała na razie zbyt pomyślnie. Zresztą wszystko, czego nie powiedziały mu rachunki, mógł dopowiedzieć sobie sam. Nie nadawał się do samotnego życia. Odległość od City nie stłumiła głosów niedalekiej przeszłości. A podstawowych braków w wiedzy o literaturze, jakiej wymaga się od porządnego księgarza, nie da się nadrobić w parę miesięcy.

Ta jedyna kawiarnia była w rzeczywistości budą z dykty, wciśniętą w rządek przedwojennych domków przy plaży, nad którymi na tle poczerniałego nieba wydzierały się wniebogłosy morskie ptaki. Mijał tę budę podczas porannych przebieżek, ale dotąd nawet nie przyszło mu do głowy, by tam wstąpić. Niesprawny zielony neon błyskał

napisem LOD, bo Y było całkiem popsute. Musiał się dobrze wysilić, by otworzyć drzwi i powstrzymać napór wiatru. Wszedł i starannie je zamknął.

– Dzień dobry kochanemu panu! – rozległ się z kuchni donośny kobiecy głos. – Pan siada, gdzie pan chce! Już lecę, okej?

– Dzień dobry, dzień dobry! – zawołał nieco mniej wylewnie w odpowiedzi.

Jarzeniówki oświetlały kilkanaście pustych stolików nakrytych czerwoną kraciastą ceratą. Wybrał jeden i ostrożnie wyplątał jadłospis z gmatwaniny serwetek, sztućców, solniczek i flaszeczek z sosami. Przez otwarte drzwi kuchni płynął bełkot wiadomości w jakimś obcym języku. Trzask drzwi i ciężkie kroki oznajmiły pojawienie się kolejnego gościa. Spojrzawszy w lustro na ścianie, ze skrywanym rozbawieniem rozpoznał dziwaczną postać pana Edwarda Avona, natrętnego, ale sympatycznego klienta z poprzedniego wieczora – jeżeli można nazwać klientem kogoś, kto niczego nie kupił.

Choć jeszcze nie widać było jego twarzy – bo Avon, ruchliwy jak fryga, był na razie zbyt zajęty umieszczaniem na wieszaku kapelusza z szerokim rondem i poprawianiem beżowego, ociekającego wodą prochowca na poręczy krzesła – o pomyłce nie mogło być mowy: niesforna siwa czupryna, zaskakująco delikatne palce wydobywające z fałd płaszcza zwinięty egzemplarz „Guardiana” i rozprostowujące go na blacie stolika.

*

Poprzedni wieczór na pięć minut przed zamknięciem. W księgarni ani jednego klienta, podobnie jak przez prawie cały dzień. Julian stoi przy kasie i podlicza marny utarg. Już od kilku chwil jest świadomy obecności samotnej postaci w kapeluszu i beżowym prochowcu, zbrojnej w złożony parasol. Przez sześć tygodni prawie bez ruchu w interesie Julian stał się prawdziwym znawcą ludzi, którzy gapią się do środka, ale nie wchodzą. Powoli zaczynali grać mu na nerwach.

Co się tamtemu nie podoba? Może ta wściekła zieleń na ścianach? Pewnie stary sąsiad, nie lubi jaskrawych kolorów? A może

przeszkadzają mu piękne książki na wystawie, oferta specjalna, na każdą kieszeń? Albo Bella, dwudziestoletnia praktykantka ze Słowacji, która ku utrapieniu Juliana zbyt często siedzi w oknie, wypatrując swoich licznych absztyfikantów? Nie, Bella nie, bo Bella wyjątkowo udziela się na zapleczu, pakując niesprzedane książki, które trzeba odesłać do wydawcy. I nagle – dziw nad dziwy! – postać z naprzeciwka przechodzi przez jezdnię, zdejmuje kapelusz, drzwi się otwierają i spod siwej czupryny spogląda na Juliana około sześćdziesięcioletni człowiek.

– Pan już zamyka – informuje go zdecydowany głos. – Pan już zamyka, przyjdę kiedy indziej, nalegam. – Ale jeden zabłocony trzewik już wsuwa się przez drzwi, zaraz potem drugi, za nimi parasol.

– Wcale nie, wcale nie – zapewnia Julian takim samym grzecznym tonem. – Oficjalnie zamykamy o siedemnastej trzydzieści, ale możemy się dostosować, proszę bardzo, bez pośpiechu. – Po czym powraca do rachunków, podczas gdy nieznajomy wstawia parasol w wiktoriański stojak na parasole i wiesza kapelusz na wiktoriańskim wieszaku na kapelusze, w ten sposób czyniąc ukłon pod adresem wystroju księgarni w stylu retro, wybranym specjalnie, żeby dogodzić starszej klienteli, której w takim miasteczku nigdy nie brakuje.

– Szuka pan czegoś konkretnego czy chce się pan rozglądnąć? – pyta Julian, włączając pełne oświetlenie półek. Ale klient jakby tego nie słyszał. Jego szeroka wygolona twarz, ruchliwa jak u aktora, wyraża niczym nieskrępowany podziw.

– Kompletnie nie miałem pojęcia! – wykrzykuje, wyjaśniając powód tego podziwu. – Nareszcie! Nareszcie mamy księgarnię z prawdziwego zdarzenia. Jestem zaskoczony, kompletnie zaskoczony.

Wygłosiwszy to oświadczenie, rozpoczyna nabożny ogląd półek. Literatura piękna, reportaże, krajoznawstwo, podróże, klasyka, religia, sztuka, poezja – zatrzymuje się to tu, to tam, by sięgnąć po książkę i poddać ją niemal bibliofilskiej inspekcji: strona tytułowa, obwoluta, jakość papieru, obróbka introligatorska, waga, przyjazność w dotyku.

– Muszę to powiedzieć! – wykrzykuje znowu.

Czy to tak do końca angielski głos? Jest głęboki, interesujący, przykuwa uwagę. Ale czy rytm nie jest odrobinę obcy?

– Musi pan powiedzieć? Co takiego? – woła Julian ze swojego maleńkiego biura, gdzie teraz czyta e-maile z całego dnia.

Nieznajomy znów się odzywa, ale teraz innym, bardziej poufałym tonem.

– Proszę pana, domyślam się, że pana wspaniała księgarnia ma teraz nowy zarząd. Mam rację czy kompletnie się pomyliłem?

– Jak najbardziej, zarząd jest nowy. – Wciąż jeszcze mówi z biura, przez otwarte drzwi. O tak, niewątpliwie cudzoziemska nuta. Ledwo słyszalna, ale jest.

– I właściciel też nowy, jeśli wolno spytać?

– Wolno, wolno. I odpowiedź jest taka sama: jak najbardziej tak – potakuje wesoło Julian, powracając na swe stanowisko przy kasie.

– Czy w takim razie… Bardzo przepraszam… – Urywa, ale zaraz znów mówi dalej, jakby bardziej wojskowym tonem: – Chodzi mi o to, czy to pan jest tym młodym marynarzem, bo bardzo mnie to ciekawi. A może tylko jego zastępcą? Przedstawicielem? Czy kimś tam jeszcze? – Po czym uznawszy nie wiadomo czemu, że Julian mógł poczuć się urażony tymi wszystkimi pytaniami, dodaje: – Zapewniam pana, nie chodzi mi o żadną osobistą urazę. Chodzi tylko o to, że chociaż pana niezbyt wybitny poprzednik nazwał swój przybytek Sędziwym Marynarzem, jak u naszego wielkiego poety, pan jako młodszy i moim zdaniem o wiele bardziej akceptowalny następca…

Teraz robi się z tego idiotyczny i prawdziwie angielski szlachetny wyścig, ale wreszcie wszystko się wyjaśnia. Julian przyznaje, że owszem, to on jest i właścicielem księgarni, i jej kierownikiem, a nieznajomy pyta:

– Czy to nie będzie za duży kłopot, jeżeli wezmę sobie jedną?

I nie czekając na odpowiedź, długimi palcami zręcznie wydobywa wizytówkę księgarni z leżącego przy kasie pudełka, po czym przechyla ją do światła, by na własne oczy się przekonać, że Julian mówi prawdę.

– A więc, o ile się nie mylę, mam przyjemność z panem J.J. Lawndsleyem we własnej osobie, jedynym właścicielem i kierownikiem Lepszych Książek Lawndsleya – podsumowuje, teatralnie opuszczając rękę w dół. – Prawda czy fałsz? – I odwraca się, by zobaczyć reakcję Juliana.

– Prawda – potwierdza Julian.

– Co oznacza pierwsze J., jeśli można spytać?

– Można. Julian.

– Wielki cesarz rzymski. A skoro tak, to może zapytam jeszcze o drugie J.?

– Jeremy.

– Ale nie na odwrót?

– Nie, w żadnym wypadku.

– Czy w takim razie należy zwracać się do pana per Dżej-Dżej?

– Osobiście wolę po prostu Julian.

Nieznajomy zastanawia się nad tym ze zmarszczonymi brwiami. Są bujne, rudawe, przyprószone siwizną.

– A więc nazywa się pan Julian Lawndsley. Nie jest pan ani jego portretem, ani cieniem, tylko Julianem Lawndsleyem z krwi i kości. Ja zaś za moje grzechy nazywam się Edward Avon, tak jak rzeka, nad którą urodził się nasz wieszcz. Są tacy, którzy mówią do mnie „Ted" lub „Teddy", ale wśród sobie równych jestem po prostu Edward. Jak się masz, Julianie? – Podaje dłoń ponad ladą. Mimo delikatnych palców ma zdumiewająco silny uścisk.

– Miło cię widzieć, Edwardzie – odpowiada dziarsko Julian i wyswobadzając własną dłoń najszybciej jak może, żeby nie urazić rozmówcy, czeka, by Edward Avon przestał udawać, że zastanawia się nad kolejnym zdaniem.

– Julianie, czy mogę pozwolić sobie na uwagę, która może ci się wydać zbyt osobista i nawet trochę cię urazić?

– Byle nie była zbyt osobista – odpowiada ostrożnie Julian, lecz równie swobodnym tonem.

– Czy będziesz miał mi za złe, jeżeli z całym szacunkiem podpowiem ci pewien absolutny drobiazg, o który mógłbyś powiększyć swój jakże wspaniały asortyment?

– Proszę mi podpowiedzieć tyle drobiazgów, ile pan chce – odpowiada Julian uprzejmie, rad, że nic gorszego mu nie grozi.

– To kwestia osobistych gustów i jest odzwierciedleniem jedynie mojego własnego poglądu. Czy to zrozumiałe? – Zrozumiałe. – A więc tak: jestem całkowicie przekonany, że żaden dział krajoznawczy w księgarniach tego pięknego hrabstwa, jak zresztą każdego innego też, nie może się obejść bez *Pierścieni Saturna* Sebalda. Ale widzę, że Sebald nie jest ci znany.

Gdzie „widzę?", pomyślał Julian, choć musiał przyznać w duchu, że dźwięk tego nazwiska jest mu obcy – tym bardziej że Edward Avon wypowiedział je z niemiecka: „Zajbalt".

– Muszę cię jednak uprzedzić, że *Pierścienie Saturna* to nie jest przewodnik turystyczny sensu stricto. Chyba zachowuję się okropnie pretensjonalnie. Wybaczysz?

Wybaczy.

– *Pierścienie Saturna* to literacka mistyfikacja w najczystszej postaci. *Pierścienie Saturna* to duchowa podróż, która rozpoczyna się na bagnach Anglii Wschodniej, ale opowiada o dziedzictwie kulturowym całej Europy. Nawet o śmierci. Sebald W.G. – Tym razem wypowiada to po angielsku i czeka, by Julian zanotował. – Był profesorem literatury europejskiej na naszym uniwersytecie East Anglia, chorował na depresję jak my wszyscy. Niestety już nie żyje. Wypada zapłakać nad Sebaldem.

– Zapłaczę – obiecuje Julian, wciąż notując.

– Za długo już zabieram ci czas. W dodatku niczego nie kupiłem. Nicpoń ze mnie. Jestem pod wielkim wrażeniem. Dobranoc panu. Dobranoc, Julianie. Wszystkiego dobrego na nowej drodze życia. Ale chwileczkę! Czy dobrze widzę, że ty masz tu też piwnicę?

Oczy Edwarda Avona roziskrzyły się na widok kręconych schodków prowadzących w dół obok regału z książkami przeznaczonymi na wyprzedaż i częściowo ukrytych za wiktoriańskim parawanem.

– Niestety, nic tam nie ma – mówi Julian, który zdążył już wrócić do rachunków.

– Jak to, Julianie? Nic tam nie ma? W księgarni? Przecież na pewno brakuje ci miejsca!

– Prawdę mówiąc, ciągle się zastanawiam. Może zrobię tam kiedyś część antykwaryczną. Zobaczymy. – Powoli zaczyna się niecierpliwić.

– A mogę zaglądnąć? – nalega niezrażony Edward Avon. – Z czystej bezwstydnej ciekawości? Pozwolisz?

Cóż mógł Julian zrobić – musiał pozwolić.

– Światło jest trochę niżej, po lewej. Tylko trzeba patrzeć pod nogi.

Z zaskakującą dla Juliana zwinnością Edward Avon znika w czeluści. Julian nasłuchuje, czeka, nic nie słyszy, sam się sobie dziwi. Dlaczego mu na to pozwalam? Przecież gość jest kopnięty, i to nieźle.

Avon pojawia się z powrotem tak zwinnie, jak zniknął.

– Wspaniała piwnica – oświadcza z nabożeństwem. – Miejsce przyszłych rozkoszy. Gratuluję bezwarunkowo. Jeszcze raz życzę dobrej nocy.

– Czy mogę zapytać, czym się pan zajmuje? – woła za nim Julian, gdy gość już rusza w stronę wyjścia.

– Ja, Julianie?

– Tak, pan. Czy pan jest pisarzem? Artystą? Dziennikarzem? Uczonym? Powinienem to wiedzieć, oczywiście, ale jestem tu nowy.

Pytanie to wydaje się dziwne nie tylko Edwardowi Avonowi, ale również samemu Julianowi.

– No cóż – odpowiada, najwyraźniej dobrze się nad tym zastanowiwszy. – Powiedzmy, że jestem takim brytyjskim mieszańcem, emerytem, byłym uczonym bez żadnych naukowych osiągnięć, jednym z tych ludzi, którzy robią nie wiadomo co. Czy to cię zadowala?

– No, chyba musi.

– Żegnam więc – oznajmia Edward Avon, rzucając spod drzwi ostatnie tęskne spojrzenie.

– I ja żegnam! – woła Julian wesoło w odpowiedzi.

Na co Edward Avon, co nazywa się jak rzeka, nakłada kapelusz, przechyla go na bakier i z parasolem w dłoni dzielnie wyrusza w noc. Nie dość szybko jednak, by Julian nie wyczuł ciągnącej się za gościem silnej woni alkoholu.

*

– Wie pan już, co pan dziś zje? – pytała Juliana właścicielka, mówiąc z tym samym silnym środkowoeuropejskim akcentem, z jakim go powitała. Ale nim zdążył odpowiedzieć, nad szumem morskiego wiatru i skrzypieniem rachitycznych ścian kawiarni wzbił się donośny głos Edwarda Avona:

– Cóż za piękny poranek, Julianie. Mam nadzieję, że ten straszny hałas nie zakłócił ci nocnego odpoczynku. Gorąco cię namawiam na któryś ze wspaniałych omletów Adrianny. Są u niej wręcz przepyszne.

– Doskonale. Dziękuję – odpowiedział Julian. Wciąż nie czuł się komfortowo, mówiąc mu na ty, ale się przemógł. – Skoro tak polecasz… – A zwracając się do kelnerki o obfitych kształtach, która właśnie stanęła u jego boku, rzekł: – A do tego poproszę wypieczone grzanki i dzbanek herbaty.

– Omlet puszysty, jak dla pana Edka?

– Niech będzie puszysty. – Domyślił się, o kogo chodzi. Potem z rezygnacją zwrócił się do „pana Edka”: – Czyżby to był twój ulubiony lokal?

– Bywam tu, gdy tylko mam ochotę. Adrianna to jedna z najlepiej strzeżonych tajemnic w naszym miasteczku, prawda, Adrianno?

Mimo wszystkich wymyślnych zabiegów stylistycznych ten natrętny głos wydał się dziś Julianowi nieco mniej swobodny. Nic dziwnego – pamiętał przecież wczorajszy chuch.

Adrianna radośnie poczłapała do kuchni. Zapanował kruchy rozejm. Tylko wiatr od morza wył nieprzerwanie, wątła buda gięła się pod jego naporem, a Edward Avon studiował „Guardiana”. Julian musiał się zadowolić wyglądaniem przez ociekające deszczem okno.

– Julianie?

– Tak, Edwardzie?

– Cóż za niespotykany zbieg okoliczności. Wyobraź sobie, że jestem przyjacielem twojego świętej pamięci ojca.

Kolejne uderzenie deszczu.

– Doprawdy? To rzeczywiście niespotykane – odpowiedział Julian jak rasowy Anglik.

– Byliśmy uwięzieni w tej samej przerażającej szkole z internatem. Henry Kenneth Lawndsley. Ale szkolni koledzy wspominają go czule jako „Wielkiego H.K.”.

– Często mówił, że szkolne lata były najszczęśliwszymi w całym jego życiu – przyznał Julian, nie do końca jednak przekonany.

– I niestety znając jego życie, biedaka, trzeba przyznać ze smutkiem, że mówił prawdę i tylko prawdę – powiedział Avon.

A potem znowu nic, tylko huk wiatru i dobiegający z kuchni bełkot obcojęzycznego radia. Julian poczuł nagłą potrzebę powrotu do swej pustej księgarni, w której jeszcze nie czuł się jak u siebie w domu.

– Owszem, trzeba – zgodził się ponuro i z ulgą zobaczył, że Adrianna niesie mu puszysty omlet i herbatę.

– Pozwolisz, że się przysiądę?

Ale nie czekając, czy Julian pozwoli, czy nie, Avon już stał przy stoliku z filiżanką kawy w dłoni, a Julian sam nie wiedział, co bardziej go zdziwiło: że ten oryginał zna żałosne koleje życia jego ojca czy że ma oczy tak zaczerwienione i zapadłe w oczodołach i smutne zmarszczki na policzkach pokrytych szpakowatym zarostem. Jeżeli to tylko z kaca, to musiał wczoraj pić na umór.

– A czy twój drogi ojciec wspominał mnie kiedy? – zapytał, gdy już usiadł i pochylił się w przód z błagalnym spojrzeniem zmęczonych piwnych oczu. – O Avonie? O Edku Avonie?

Julian nie przypominał sobie. Tak mu przykro.

– A o Klubie Patrycjuszy? Nie opowiadał ci o Klubie Patrycjuszy?

– Opowiadał. Jak najbardziej! – zawołał Julian, wyzbywszy się już wszelkich wątpliwości na dobre czy na złe. – O tym klubie dyskusyjnym, co nigdy nie powstał. Założonym przez ojca i zakazanym w połowie pierwszego spotkania. O mało nie wyrzucili go ze szkoły. Tak to było, zdaje się – dodał przezornie, bo opowieści zmarłego ojca nie zawsze odpowiadały prawdzie.

– H.K. by prezesem, ja jego zastępcą. Mnie też wtedy o mało nie wyrzucili. Teraz bardzo żałuję, że nie. – Łyk wystygłej już kawy. – Anarchizm, bolszewizm, trockizm… Wszystko nas pociągało, każda doktryna, której nienawidził establishment.

– On też dokładnie tak to przedstawiał – przyznał Julian. Potem czekał, podobnie jak Avon. Obaj czekali, by ten drugi zagrał następną

kartę.

– A potem, o mój Boże, twój ojciec poszedł na studia. Oczywiście do Oksfordu – zaczął wreszcie Avon z przesadnym, niemal scenicznym drżeniem, zniżając już i tak cichy głos, jak klaun unosząc krzaczaste brwi, i zaraz popatrzył z ukosa, jak reaguje Julian. – A tam wpadł w łapy… – Tu gestem współczucia położył dłoń na przedramieniu rozmówcy. – Ale może ty też jesteś głęboko wierzący?

– Wcale nie – odpowiedział dobitnie Julian z narastającym gniewem.

– Więc mogę mówić dalej?

Julian postanowił go wyręczyć:

– Gdzie ojciec wpadł w łapy bandy finansowanych z Ameryki, ogolonych na jeża kaznodziejów w eleganckich krawatach, którzy namącili mu w głowie, wywlekli go na jakąś górę w Szwajcarii i zrobili z niego chrześcijańskiego oszołoma. To chciałeś powiedzieć?

– Może nie tak brutalnie, ale sam bym tego lepiej nie wyraził. Więc ty w rzeczy samej nie jesteś głęboko wierzący?

– W rzeczy samej.

– A więc jesteś na najlepszej drodze do prawdziwej mądrości. Wyobraź sobie tego biedaka w Oksfordzie, gdzie z początku „czuł się jak ryba w wodzie”, jak mi pisał, gdzie miał dziewczyn bez liku… A tak, miał do nich słabość, czemu nie?… I nagle pod koniec drugiego roku…

– Otumanili go. W porządku? – wtrącił Julian. – Ale w dziesięć lat po wyświęceniu na pastora świętego Kościoła anglikańskiego wyszedł przed ołtarz i w obecności całej swojej niedzielnej trzódki wyparł się wiary: ja, wielebny H.K. Lawndsley, wyświęcony kapłan naszego obrządku, oświadczam niniejszym, że Boga nie ma. Amen. To też chciałeś powiedzieć?

Czy Edward Avon zamierzał teraz omawiać w szczegółach barwne życie seksualne ojca i jego inne wybryki, o których kiedyś tak chętnie rozpisywały się brukowce? Czy będzie wypytywał o sensacyjne szczegóły wyrzucenia niegdyś tak szanowanej rodziny Lawndsleyów na bruk bez pensa przy duszy? I o to, że z powodu przedwczesnej śmierci swego rodziciela Julian musiał porzucić nadzieję na studia i zatrudnić się w londyńskim City jako goniec w biurze maklerskim

prowadzonym przez dalekiego krewnego, bo kto inny miał spłacać długi ojca i utrzymywać matkę? Bo jeżeli mamy o tym rozmawiać, to Julian bierze nogi za pas.

Ale twarz Edwarda Avona nie wyrażała lubieżnej ciekawości, tylko czyste i najszczersze współczucie.

– A ty tam byłeś, Julianie?

– Gdzie?

– Wtedy w kościele?

– Tak się składa, że owszem, byłem. A gdzie ty byłeś?

– Żałowałem, że wtedy nie mogłem stanąć u jego boku. Gdy tylko się dowiedziałem, co mu się przytrafiło… Niestety było już za późno… Gdy tylko się dowiedziałem, natychmiast do niego napisałem, oferując wszelką pomoc. Oczywiście nie miałem mu wiele do zaoferowania… Tylko pomocną dłoń, może trochę pieniędzy…

Teraz Julian nie śpieszył się z odpowiedzią.

– Pisałeś do niego – powtórzył z powątpiewaniem, czując nawrót wcześniejszej nieufności. – A doczekałeś się odpowiedzi?

– Nie doczekałem się odpowiedzi i nie zasługiwałem na nią. Przy naszym ostatnim spotkaniu nazwałem twego ojca religijnym maniakiem. Jak mogłem mieć mu za złe, że odrzucił moją pomoc? Niezależnie od wszystkiego nie wolno obrażać niczyich uczuć religijnych, choćby najbardziej absurdalnych. Zgadzasz się?

– Zapewne.

– No i naturalnie byłem z niego dumny, gdy wreszcie przejrzał na oczy. Zupełnie tak dumny, jak dumny, na pewno niezasłużenie, jestem z ciebie, Julianie.

– Ze mnie?! – wykrzyknął Julian, nie mogąc powstrzymać śmiechu. – Jesteś dumny z tego, że jestem synem swojego ojca i że otwarłem księgarnię?

Ale Edwardowi Avonowi wcale nie było do śmiechu.

– Jestem dumny z tego, że podobnie jak twój ojciec miałeś dość odwagi, by się czegoś wyprzeć: on Boga, ty mamony.

– A cóż to ma znaczyć?

– O ile wiem, świetnie sobie radziłeś jako makler w City.

– Kto ci to powiedział? – Julian wciąż wypytywał.

– Wczoraj wieczorem po wizycie w twojej księgarni ubłagałem Celię, by użyczyła mi swego komputera, i wszystko natychmiast stało się jasne ku mojej rozpaczy, oczywiście. Twój biedny ojciec zmarł w wieku pięćdziesięciu lat. Miał jednego syna, Juliana Jeremy'ego.

– Jaką Celię? Swoją żonę?

– Celia ma sklep z antykami o dźwięcznej nazwie Dawne Czasy Celii. To twoja sąsiadka z tej samej ulicy, znasz ją przecież. Jej salon jest ulubionym miejscem spotkań bogatych londyńczyków, którzy spędzają tutaj weekendy, a których niestety mamy coraz więcej.

– Po to chodziłeś aż do Celii? Nie mogłeś zapytać mnie od razu, u mnie w księgarni?

– Nie wiedziałem, czy wypada. Ty też byś nie wiedział. Miałem nadzieję, że wypada, ale nie byłem pewny.

– W dodatku, o ile dobrze pamiętam, byłeś nieźle podchmielony.

Avon jakby tego nie usłyszał.

– Natychmiast zwróciłem uwagę na twoje nazwisko. Niestety wiedziałem aż za dobrze, że był skandal. Natomiast nie miałem pojęcia ani jak to się wszystko skończyło, ani o śmierci twojego ojca. Ale wiedziałem, jak bardzo musiałeś cierpieć, jeśli byłeś synem H.K.

– A skąd wiesz, że uciekłem z City? – zapytał wciąż nieufny Julian.

– Celia wspomniała, że ni stąd, ni zowąd porzuciłeś wielki biznes, i bardzo się dziwiła.

W tym miejscu Julian miał jeszcze wielką ochotę powrócić do twierdzenia Edwarda Avona, jakoby zamierzał finansowo wspomóc ojca w potrzebie, ale Edward Avon co innego planował. Wyraźnie się ożywił, w oczach na nowo pojawił mu się błysk, jego mowa odzyskała kwiecistość, a głos głębię:

– Julianie, mówię do ciebie teraz w imieniu twojego kochanego ojca oraz dlatego, że za sprawą opatrzności spotkaliśmy się dwukrotnie w ciągu ostatnich kilku godzin. Chodzi mi o twoją wielką a piękną piwnicę. Czy zastanawiałeś się, jakie skarby można by tam zgromadzić, jakie mogą dziać się tam cuda?

– No cóż, szczerze mówiąc, nie bardzo, Edwardzie – odpowiedział Julian. – A ty się zastanawiałeś?

– Właściwie o niczym innym nie myślę, od kiedy cię poznałem.

– Miło mi to słyszeć – powiedział Julian nie bez powątpiewania.

– Bo pomyśl: a gdyby tak udało ci się stworzyć w tych czterech ścianach, w tej dziewiczej jeszcze przestrzeni coś, co dotąd nie udało się nikomu, coś tak pociągającego i oryginalnego, że będą o tym mówić wszyscy obecni i przyszli konsumenci dobrej literatury z całej okolicy?

– Czy ja wiem…

– Ale niech to nie będzie byle księgarnia. Ani pozbawiony charakteru przypadkowy księgozbiór, tylko starannie dobrana kolekcja dzieł najwybitniejszych umysłów naszych czasów i innych czasów też. Miejsce, gdzie może trafić z ulicy dowolna kobieta i dowolny mężczyzna, i opuścić je, będąc lepszym, mądrzejszym, pragnącym dowiedzieć się jeszcze więcej. Czemu się uśmiechasz?

Aha. Miejsce – pomyślał złośliwie Julian – gdzie facet, który dopiero co ogłosił się księgarzem i poniewczasie się zorientował, że i ten zawód wymaga odpowiednich umiejętności i wiedzy, mógłby nabyć je niepostrzeżenie i łatwo, równocześnie sprawiając wrażenie, że przez cały czas właśnie nimi służy wdzięcznej publiczności.

Ale nawet w chwili, gdy ta brzydka myśl pojawiła się na chwilę w głowie Juliana, zaczął wierzyć, że sama idea jest bardzo interesująca. Oczywiście nie zamierzał od razu przyznawać się do tego Edwardowi Avonowi.

– Przez chwilę mówiłeś zupełnie jak ojciec. Bardzo przepraszam. Proszę, mów dalej.

– Znaleźliby się tam nie tylko wielcy pisarze, choć wiadomo, że oni przede wszystkim. Ale też filozofowie, wolnomyśliciele, założyciele wielkich ruchów umysłowych, nawet takich, którymi się brzydzimy. Wybrane nie martwą dłonią rządzących nami biurokratów kultury, ale przez Jeszcze Lepsze Książki Lawndsleya. Mogłoby się to nazywać…

– No właśnie, na przykład jak? – zapytał Julian całkiem wytrącony z równowagi.

Avon odczekał chwilę, by jeszcze bardziej zaciekawić rozmówcę.

– Nazwiemy to Republiką Literatury – oświadczy, założył rękę na rękę, rozparł się na krześle i patrzył, czy Julian to kupuje.

A prawda była taka, że choć z początku Julian uważał, że to najbardziej przesadna reklama, jaką kiedykolwiek słyszał,

i w dodatku podejrzanie bezbłędnie trafiająca w jego własny kompleks braku kultury – nie mówiąc już o tym, że wygłaszał ją człowiek, co do którego wciąż miał bardzo poważne wątpliwości – to teraz musiał przyznać, że szalona wizja Edwarda Avona trafia mu do serca i jest jak najbardziej zgodna z tym, co Juliana tu sprowadziło.

Republika Literatury…

Kupił to. Tak, to dobrze brzmi. Nawet lepiej niż dobrze: z klasą. I równocześnie może spodobać się każdemu. Tak, to jest myśl.

I może nawet zdobyłby się na bardziej zachęcającą odpowiedź niż odruchowa reakcja byłego człowieka z City, na coś w rodzaju: „Nieźle to brzmi, przemyślę sprawę", gdyby nie to, że Edward Avon już wstawał od stolika i porywając po drodze kapelusz, beżowy płaszcz i parasol, ruszał ku ladzie, gdzie zaraz pogrążył się w rozmowie z korpulentną Adrianną.

Tylko po jakiemu oni ze sobą rozmawiają? Julianowi przypominało to język spikera z radia w kuchni. W każdym razie w tym języku odezwał się Edward Avon, Adrianna się zaśmiała i coś mu odpowiedziała. Potem znowu Edward i teraz już śmiali się oboje, dopóki nie doszedł do drzwi. Tu Edward odwrócił się do Juliana i posłał mu ostatni znużony uśmiech.

– Trochę się już zmęczyłem. Ufam, że mi wybaczysz. Jak to miło było poznać syna starego druha. Niezwykła sprawa.

– Wcale nie wyglądasz na zmęczonego. Prawdę mówiąc, przedstawiłeś to bardzo zachęcająco. To, co mówiłeś o Republice Literatury. Nawet pomyślałem sobie, czy nie wpadłbyś jeszcze do mnie, żeby mi trochę doradzić.

– Ja?

– Dlaczego nie?

No właśnie, dlaczego nie: skoro ktoś zna się na Sebaldzie, jest swojego rodzaju uczonym, uwielbia książki i ma czas?

– Bo nad księgarnią chcę otworzyć bar kawowy – zachęcał Julian. – Jak dobrze pójdzie, będzie gotowy za tydzień. Przyjdź, poszperasz w książkach, znowu sobie pogadamy.

– Mój drogi, co za miła propozycja. Zrobię, co w mojej mocy.

Siwe włosy niesfornie wystawały mu spod kapelusza, gdy Edward Avon jeszcze raz wyruszył w deszcz, podczas gdy Julian udał się do

kasy.

– Co, omlecik nie smakował?

– Był pyszny, tylko ogromny. Czy może mi pani powiedzieć, po jakiemu rozmawialiście przed chwilą?

– Z panem Edkiem?

– Tak, z panem Edkiem.

– No, po polsku. A po jakiemu? Edek to swój chłop, z Polski. Nie wiedziałeś pan?

Nie, pan nie wiedział.

– Tak, tak. Tylko teraz smutny. Żona mu choruje. I zaraz umrze. Nie wiedziałeś pan?

– Jestem tu nowy – wyjaśnił.

– Mój Krzysiek jest pielęgniarz. Robi w Ipswich General. On mi mówił. Że ona już z panem Edkiem nie gada. Że go pogoniła.

– Własna żona go pogoniła?

– Może chce umrzeć sama. Są ludzie, co tak chcą. Chcą umrzeć, bo może pójdą do nieba.

– A jego żona też jest Polką?

– No coś pan! – Wybuch śmiechu. – Ona jest angielska *lady*. – Palcem podnosi w górę nos na znak wyższości. – Wydać panu resztę?

– Nie, dziękuję, to dla pani. Naprawdę pyszny omlet.

*

Julian dociera szczęśliwie z powrotem do księgarni i tu na nowo ogarniają go wątpliwości. W życiu miał do czynienia z niejednym oszustem, ale jeżeli Edward jest jednym z nich, to musi być klasą samą w sobie. Czy to możliwe, że od ósmej rano sterczał na tej ulewie, w nadziei że Julian wychynie z księgarni, a potem szedł za nim aż do kawiarni Adrianny po to tylko, żeby się tam do niego doczepić? I czy przypadkiem nie Avon był tą skuloną sylwetką skrytą pod parasolem, którą widział przed chwilą kilka bram dalej na ulicy?

Tylko po co to wszystko?

Bo jeżeli Avon pragnął tylko jego, Juliana, towarzystwa, to czy nie jest świętym obowiązkiem zająć się trochę dawnym kolegą szkolnym

zmarłego ojca – tym bardziej kolegą, którego pogoniła jego własna umierająca żona?

No i najważniejsze: skąd Edward Avon – czy ktokolwiek inny – mógł wiedzieć, że u Juliana nie ma prądu ani wody?

Wstydząc się tych wszystkich niegodnych myśli, Julian w ramach pokuty wydzwania po rzemieślnikach, a potem włącza laptopa i odwiedza stronę walijskiej szkoły z internatem, do której uczęszczał świętej pamięci tatuś. Szkoła akurat znalazła się w centrum uwagi, bo toczy się w niej śledztwo w sprawie przemocy wobec dzieci.

Znajduje potwierdzenie, że AVON, Ted (*sic*) przyszedł do szkoły w szóstej klasie. Uczęszczał do niej tylko przez rok.

Julian szuka dalej, ale tym razem bez powodzenia. Wpisuje w wyszukiwarkę najpierw po prostu „Edward Avon", potem „Edward Avon uczony", potem „Edward Avon Polak". Nie znajduje nic konkretnego.

W miejscowej książce telefonicznej nie ma ani jednego Avona. Próbuje w internetowej książce telefonicznej – numer zastrzeżony.

W południe wreszcie, choć bez uprzedzenia, pojawiają się robotnicy. Siedzą prawie do wieczora. Media zostają przywrócone. Wieczorem Julian przegląda złożone jeszcze przez poprzednika i niezrealizowane zamówienia na rzadkie i używane książki i przypadkowo znajduje wymiętą kartkę z napisem „AVON", bez skrótu imienia, bez adresu, bez numeru telefonu.

Ten (lub ta) AVON jest zainteresowany nabyciem dowolnego dzieła autora „Chomsky N.", byle w dobrym stanie i koniecznie w twardej oprawie. Julian uznaje lekceważąco, że ten Chomsky to pewnie jakiś mało znany rodak AVONA i już ma wyrzucić kartkę do śmieci, ale się rozmyśla i wpisuje „Chomsky N." w wyszukiwarkę:

> *Noam Chomsky jest jednym z najczęściej cytowanych naukowców na świecie, autorem ponad stu książek. Zajmuje się filozofią analityczną, nauką o poznaniu, logiką. Działacz polityczny, krytyk amerykańskiej polityki zagranicznej i kapitalizmu. Uważany za jednego z najważniejszych żyjących intelektualistów oraz za ojca nowoczesnego językoznawstwa.*

Zawstydzony Julian wcześniej udaje się na spoczynek po samotnie – jak zwykle – zjedzonej kolacji i przekonuje się, że nie potrafi skupić myśli na niczym innym, jak tylko na Edwardzie Avonie. Na panu Edku. Uznaje, że jak dotąd poznał dwie zupełnie różne wersje tego samego człowieka. Zastanawia się, czy jest ich jeszcze więcej. Tuż przed zaśnięciem medytuje, czy przypadkiem nie odkrył w sobie skrytej potrzeby znalezienia zastępczej postaci ojca. Dochodzi do wniosku, że jedna mu wystarczy, dziękuję bardzo.

3

Nadszedł ów wielki dzień, dzień szczególny – dzień, na który Stewart Proctor i jego żona Ellen cieszyli się przez cały miesiąc: dwudzieste pierwsze urodziny ich bliźniaków, Katie i Jacka, przypadające w dodatku i dzięki Bogu właśnie w sobotę. Do wielkiej, sensownie zbudowanej posiadłości Stewarta i Ellen, położonej na uboczu wśród wzgórz hrabstwa Berkshire, zjechały trzy pokolenia Proctorów – od osiemdziesięciosiedmioletniego wuja Bena po trzymiesięcznego siostrzeńca Timothy'ego.

Rodzina Proctorów nigdy nie przyznawała się do arystokratycznego pochodzenia; Proctorowie jeżyli się nawet wtedy, gdy ktoś miał czelność nazwać ich „częścią establishmentu". Równie nieprzyjemnie brzmiały w ich uszach słowa „elita" i „przywileje". Rodzina wydawała zawsze samych liberałów, pochodziła z południa Anglii, była postępowa, aktywna i biała. Proctorowie mieli swoje zasady i byli społecznie zaangażowani. Obracali się we wszystkich warstwach społeczeństwa. Żyli z odsetek od świetnie ulokowanego kapitału, ale o tym nie rozmawiali. Najbardziej utalentowani odbierali szkolne wykształcenie w renomowanym Winchester College, nieco mniej utalentowani w Marlborough; niektórzy – w miarę potrzeby lub dla zasady – szli nawet do zwykłej państwowej szkoły. Kiedy trzeba było udać się do urn, nie znalazłby się wśród nich ani jeden zwolennik Partii Konserwatywnej. A gdyby się znalazł, nigdy by się do tego nie przyznał.

Tym razem na liście gości z rodziny figurowało dwóch sędziów, dwóch radców dworu, trzech lekarzy, jeden redaktor wpływowej gazety i dzięki Bogu nie znalazł się na niej ani jeden zawodowy polityk. Jeden z wujów Stewarta był przez całą wojnę urzędnikiem działu wizowego brytyjskiej ambasady w Lizbonie – wiadomo, co to znaczy. A na początku zimnej wojny pewna czarna owca rodziny

zebrała w Albanii własny oddział partyzancki. Oddział bardzo źle skończył, ale czarna owca nawet dostała medal.

Z kolei jeśli chodzi o żeńskie przedstawicielki rodu, dawniej właściwie nie było ani jednej Proctorowej czy Proctorówny, która przez jakiś czas nie pracowałaby w Bletchley Park lub Wormwood Scrubs, łamiąc niemieckie szyfry i wspomagając pracę wywiadu. Jak wszystkie rodziny tego typu Proctorowie wiedzieli już od urodzenia, że duchowym centrum brytyjskiej klasy rządzącej są jej tajne służby. To przeświadczenie, choć nigdy niewypowiadane na głos, jeszcze wzmacniało rodzinną solidarność.

Trzeba było być nie lada chamem, by pytać Stewarta, czym się zajmuje. Albo dlaczego w wieku pięćdziesięciu pięciu lat i po ćwierćwieczu spędzonym w londyńskim Foreign Office i na kolejnych placówkach dyplomatycznych nie jest teraz ani ambasadorem, ani stałym podsekretarzem stanu, ani chociaż sir Stewartem.

Po prostu: wiadomo dobrze dlaczego.

Taka więc była rodzina, która spotkała się w tę słoneczną wiosenną sobotę, by lać likier Pimm's do Prosecco, grać w głupie gry towarzyskie i obchodzić podwójne urodziny dwujajowych bliźniaków. I Katie (trzeci rok anglistyki), i Jackowi (trzeci rok biologii) udało się na weekend wymknąć ze swych uczelni i już od piątku wieczorem pomagali mamie marynować kurze skrzydełka, wycinać kotleciki jagnięce z kostką, kupować brykiety i torby z lodem i przede wszystkim pilnować, by zawsze miała pod ręką dżin z tonikiem, bo Ellen, choć żadna z niej alkoholiczka, broń Boże, nie umiała jednak gotować bez porządnego drinka.

Tylko trawnik do krokieta pozostawał nieskoszony na wyraźny rozkaz Stewarta, bo to zadanie miało czekać na jego powrót z Londynu osobowym o dziewiętnastej dwadzieścia z dworca Paddington. Ale gdy słońce zaczęło już chować się za wzgórza, Jack wziął sprawy – i kosiarkę – w swoje ręce, bo w ostatniej chwili się okazało, że „u taty w firmie była jakaś rozróba" – takie rodzinne powiedzonko – tak że biedny Stewart musiał zostać na noc w mieszkanku na Dolphin Square i dopiero następnego dnia łapać bladym świtem „ten zasrany ekspres" – kolejne rodzinne określenie.

No więc było trochę nerwów o to, czy tata w ogóle zdąży na imprezę i czy nie będzie musiał zostać w Londynie przez wspomnianą firmową rozróbę, dopóki – o szczęście niepojęte! – punkt dziewiąta w sobotę rano nie zauważono, że jego stare zielone volvo wspina się z trudem na wzgórze od stacji w Hungerford i że zza kierownicy macha do nich jak rajdowiec nieogolony Stewart. Ellen rzuciła się przygotować mu kąpiel, Katie się darła: „Już jedzie, mamo!" i na gwałt smażyła dla taty jaja na bekonie do wtóru krzykliwych odpowiedzi mamy w rodzaju: „Dajcie biedakowi odsapnąć, Matko Boska Najświętsza". Bo Ellen pochodziła ze starej irlandzkiej rodziny, co ujawniało się najbardziej w takich właśnie kryzysowych sytuacjach.

Teraz nareszcie wszystko zaczęło się dziać w czasie rzeczywistym. Z głośników, podpiętych przez Jacka do przedłużacza z salonu, dudni rock, odbywają się tańce na tarasie nad spartańskim basenem (u Proctorów nie ogrzewa się wody), gra w bule w dawnej piaskownicy bliźniaków oraz w krokieta w sześcioro na sześcioro dla dzieci. Grillem zajmują się skutecznie Katie, Jack i ich studenckie towarzystwo, Ellen, choć tak się napracowała, wygląda pięknie i statecznie w długiej sukni, rozpinanym swetrze i miękkim słomkowym kapeluszu na swych sławnych kasztanowatych włosach, gdy jak bogata dziedziczka wyleguje się na leżaku. Tylko Stewart co jakiś czas wymyka się do swego pokoiku w dawnej służbówce, by porozmawiać przez zabezpieczoną linię podpiętą do zielonego telefonu, ale mimo to starannie dobiera słowa i stara się ich używać jak najmniej, a za chwilę pojawia się znowu wśród gości – troskliwy, skromny, wesoły gospodarz, który jak zawsze ma coś miłego do powiedzenia a to starej cioci, a to nowemu sąsiadowi; który zawsze zobaczy, że komuś kończy się likierek albo że trzeba czym prędzej zabrać pustą butelkę po Prosecco, bo jeszcze się ktoś potknie…

A gdy pod wieczór zrobiło się chłodno i na placu boju została już tylko najbliższa rodzina i jej osoby towarzyszące, właśnie Stewart – po kolejnej krótkiej wizycie w dawnej służbówce – zasiada przy bechsteinie w salonie i zgodnie z rodzinną tradycją urodzinową wykonuje własną interpretację piosenki o hipopotamie Flandersa i Swanna, i jeszcze bisuje ulubioną piosenką Winstona Churchilla,

w której Noël Coward błaga panią Worthington: „na kolanach, pani Worthington, na kolanach panią błagam, pani Worthington, niech pani nie pozwoli córce występować na scenie”.

Młodsi goście podśpiewują do wtóru, nie wiadomo skąd w powietrzu zaczyna się unosić słodkawa woń marihuany. Z początku Ellen i Stewart udają, że niczego nie zauważyli, ale potem nagle oświadczają, że są zmordowani, i rzuciwszy wesoło, że „na nas, starych, już czas, niestety”, idą na górę do łóżka.

*

– No, Stewart, gadaj. Co się dzieje, do diabła? – pyta całkiem wesoło Ellen ze swym silnym irlandzkim akcentem. Mówi wprost do lustra na toaletce. – Bo od kiedy przyjechałeś rano, siedzisz jak na szpilkach.

– Nie siedzę jak na szpilkach – protestuje Proctor. – Byłem duszą towarzystwa. Dawno już tak dobrze nie śpiewałem. Przegadałem pół godziny z ciotką Meghan, twoją własną ciotką, Ellen, i nie dałem Jackowi szans w krokieta. Czego jeszcze chcesz?

Z wystudiowaną starannością Ellen zdejmuje diamentowe kolczyki. Najpierw odkręca maleńką nakrętkę za uchem, potem odkłada całość do wyścielanego atłasem pudełka i wreszcie wsuwa pudełko do lewej szufladki zabytkowej toaletki.

– Teraz też siedzisz jak na szpilkach. Widzę przecież. Nawet się jeszcze nie rozebrałeś.

– Bo o jedenastej znowu mam rozmowę przez zielony telefon i nie zamierzam paradować przed młodymi w szlafroku i kapciach przez cały dom. Do diabła, czułbym się, jakbym miał dziewięćdziesiąt lat.

– To co, ktoś znowu chce nas wszystkich wysadzić w powietrze? Znowu to samo? – pyta już bardziej stanowczo Ellen.

– Pewnie jak zwykle z dużej chmury będzie mały deszcz. Znasz mnie. Wiesz, że płacą mi za to, żebym się martwił.

– No to mam nadzieję, że płacą ci bardzo dużo. Bo ostatni raz w takim stanie widziałam cię w Buenos Aires.

W Buenos Aires Stewart był zastępcą szefa placówki tuż przed wybuchem wojny o Falklandy, a Ellen jego agentką. Bo Ellen,

absolwentka dublińskiego Trinity College, też ma za sobą karierę w służbach. Dla Proctora i połowy kolegów z Firmy w grę wchodzi tylko taka partnerka życiowa.

– W każdym razie nie zaczynamy kolejnej wojny, więc nie masz się z czego cieszyć – przekomarza się dalej Stewart, jeżeli to w ogóle jest przekomarzanie.

Ellen przekręca policzek w stronę lustra, przesuwa po nim wacikiem.

– To co? Znowu coś się kroi w kraju?

– No właśnie.

– Możesz mi powiedzieć czy to jedna z tych spraw, co…?

– No właśnie jedna z tych spraw. Przykro mi.

Teraz kolej na drugi policzek.

– Chodzi o jakąś kobietę, tak? Każdy głupi by się domyślił, że chodzi o kobietę. Bo taką masz minę.

Wciąż jeszcze, dwadzieścia pięć lat po ślubie, Proctora zaskakują nieprawdopodobne zdolności telepatyczne Ellen.

– Skoro pytasz, to owszem, chodzi o kobietę.

– Z Firmy?

– Pas.

– Była kiedyś w Firmie?

– Pas.

– Znamy ją?

– Pas.

– Spałeś z nią?

Takiego pytania nie zadała mu ani razu od początku małżeństwa. Dlaczego właśnie dziś? I dlaczego dokładnie na tydzień przed jej wyjazdem na dawno zaplanowaną wyprawę po Turcji z nieprzyzwoicie przystojnym opiekunem naukowym z uniwersytetu w Reading?

– O ile pamiętam, nie – odpowiada Stewart nonszalancko. – O ile wiem, ta pani sypia tylko z zawodnikami z pierwszego składu.

Tani chwyt i zbyt bliski prawdy. Nie trzeba było tego mówić.

Ellen rozpuszcza niezwykłe kasztanowate włosy i pozwala im opaść na nagie ramiona – proceder praktykowany przez piękne kobiety od początków ludzkości.

– No to uważaj na siebie, Stewarcie – ostrzega swe odbicie. – Jutro znowu zasrany ekspres bladym świtem?

– Chyba nie mam wyjścia.

– To może powiedz dzieciom, że masz zebranie w COBRA. Będą podekscytowane.

– Ellen, przecież to nie COBRA – oponuje bezradnie Proctor.

Ellen dostrzega plamkę pod okiem, poklepuje ją wacikiem.

– Tylko błagam cię, Stewarcie, nie siedź całą noc w tej swojej komórce, dobrze? Życie sobie zmarnujesz. Sobie i swojej biednej żonie.

Wśród odgłosów zabawy dobiegających ze wszystkich zakamarków domu Proctor dociera ukradkiem do dawnej służbówki. Zielony telefon tkwi na czerwonym postumencie, który do złudzenia przypomina tradycyjną skrzynkę na listy. Kiedy założono im go pięć lat temu, Ellen dla żartu sprawiła mu włóczkowe przykrycie na czajniczek, żeby telefonowi nie było zimno. I tak już zostało.

4

Następny tydzień po dwukrotnym spotkaniu z Edwardem Avonem upływa Julianowi pod znakiem licznych przygód.

Podstępnie złożony wniosek najbliższego sąsiada o pozwolenie na budowę grozi odcięciem zaplecza księgarni od jedynego źródła światła dziennego.

Wróciwszy któregoś wieczora z zebrania miejscowych bibliotekarzy, Julian nie zastaje już Belli, tylko zamknięte drzwi i kwiecistą kartkę pocztową, za pośrednictwem której Bella dziękuje mu za pracę i wyznaje gorącą miłość do pewnego rybaka z Holandii.

A w tej wspaniałej piwnicy, w której Julian jest już teraz zdecydowany urządzić siedzibę Republiki Literatury, właśnie zdiagnozowano mu grzyba.

Ale mimo tych wszystkich hiobowych wieści nie przestaje rozmyślać o jakże różnych obliczach starego kolegi szkolnego swego świętej pamięci ojca. Zbyt często mu się wydaje, że na zewnątrz właśnie przesuwa się cień Edwarda, lecz kapelusz z szerokim rondem nie odwraca się w jego stronę. Czemu nie wejdzie, nie poszpera w książkach? Nie musisz od razu kupować, Edwardzie, panie Edku, czy jak tam naprawdę się nazywasz.

Im więcej myśli o wielkich planach Edwarda, tym bardziej trafiają mu do przekonania. Tylko czy ta nazwa naprawdę najlepiej brzmi? Może jednak jest zbyt górnolotna? Może Republika Czytelników albo Nowa Republika Czytelników przyciągnęłyby więcej klientów? A może wręcz Republika Czytelników u Lawndsleya? A może po prostu Republika Literacka?

Nikomu nic nie mówiąc – bo nie ma z nim Edwarda, któremu mógłby to powiedzieć – Julian specjalnie odbywa podróż do pewnej drukarni w Ipswich po to tylko, by zamówić kilka wersji projektu reklamy na całą stronę do miejscowego szmatławca. Nadal najlepiej prezentuje się pierwotny pomysł Edwarda.

Co jednak nie przeszkadza Julianowi w przypływie gorszego humoru surowo go ganić – w myśli – za jego bezczelne teorie na temat ojca i syna:

Ja uciekłem z City? Gówno prawda! Ja traktowałem City jak teren łowiecki, a nie miejsce kultu religijnego. Przybyłem, nakradłem, zwyciężyłem, wyniosłem się stamtąd. Koniec kropka.

A mój nieodżałowany ojciec? No dobrze, przyjmijmy, że H.K. w jakiś sposób rzeczywiście uciekł od religii. Tylko że jak ktoś się prześpi z połową pobożnych niewiast w swojej parafii, to chyba wystarczający znak, żeby w ten czy inny sposób rozstać się z Panem Bogiem.

A te wszystkie wzruszające propozycje wsparcia duchowego, materialnego i nie wiadomo jeszcze jakiego, które Edward Avon miał jakoby wysuwać pod adresem starego kolegi szkolnego, gdy ten popadł w biedę? W tej sprawie Julian miał ustalony pogląd: przy następnym spotkaniu poproszę o dowody.

Bo choć o wielebnym H.K. Lawndsleyu, który tak nieszczęśliwie zakończył karierę, można powiedzieć wiele rzeczy, to nie miał sobie równych, gdy chodzi o gromadzenie niepotrzebnych szpargałów. Przechowywał najbłahsze drobiazgi, które mogły kiedyś przydać się jego przyszłym (choć nieistniejącym) biografom: przez oka jego egotystycznej sieci nie przechodziły ani notatki do kazań, ani niezapłacone rachunki, ani listy – wszystko jedno, czy pochodziły od porzuconej kochanki, od jej rozwścieczonego męża, od sprzedawcy czy od biskupa.

Owszem: w tej stercie śmieci pojawiały się – z rzadka – listy od przyjaciół, którzy się go jeszcze nie wyparli; niektóre z nich rzeczywiście zawierały propozycje wsparcia. Ale nie było ani karteczki, ani słówka od starego kumpla ze szkoły, Edwarda, pana Edka, Teda czy Teddy'ego.

I między innymi właśnie z powodu tych niewyjaśnionych nieścisłości, połączonych z niecierpliwością, by Republika Literatury mogła ruszyć z kopyta natychmiast po zlikwidowaniu grzyba, Julian postanawia wyzbyć się wszelkich skrupułów i złożyć wizytę swej współrobotnicy w winnicy Pańskiej (czyli z tej samej głównej ulicy tego samego miasteczka), pannie Celii Merridew, właścicielce

Dawnych Czasów Celii, pod pretekstem rozmowy o ewentualnym wskrzeszeniu miejscowego festiwalu artystycznego.

*

Sześćdziesięciolatka czekała na niego w progu na szeroko rozstawionych nogach i w niespodziewanie pełnym słońcu paliła cygaretkę. Tym razem wybrała ze swej garderoby jaskrawe zielono-pomarańczowe kimono, obfity biust zdobiły całe sznury wielobarwnych paciorków, barwione henną włosy miała związane w kok trzymający się na japońskich grzebykach.

– Ani pensa ci nie dam. Ani pensa, młody człowieku – ostrzegła jowialnie nadchodzącego Juliana. A gdy zapewnił ją, że co prawda potrzebuje wsparcia, ale moralnego, odpowiedziała: – Zły adres, koteczku. Moralności też nie mam za pensa. Wchodź, wchodź, dam ci dżiniku. Dżinik mam.

Na szklanych drzwiach wisiała kartka z odręcznym napisem „KOTY KASTRUJEMY ZA DARMO". Sławny salonik Celii był tak naprawdę zatęchłym składzikiem połamanych mebli, zakurzonych zegarów i wypchanych sów. Gospodyni wyciągnęła ze staroświeckiej lodówki srebrny czajniczek do herbaty z ceną na metce i nalała podejrzany płyn do dwóch wiktoriańskich pucharów. Dziś przedmiotem jej dwóch minut nienawiści był nowy supermarket.

– Załatwią ciebie, załatwią mnie – wieszczyła ponuro ze swym silnym akcentem z Lancashire. – O to tylko im chodzi, zasrańcom. Doprowadzić nas, porządnych kupców, do bankructwa. Jak tylko zobaczą, że jakoś wiążesz koniec z końcem, zaraz otwierają dział z książkami wielkości hali produkcyjnej i nie spoczną, dopóki nie wyprzedasz wszystkiego za bezcen. Dobra, pogadajmy o tym twoim festiwalu. Podobno trzmiel też nie powinien latać, a lata. Nie słyszałam tylko, żeby latał, jak już zdechł.

Julian wygłosił od dawna przygotowaną mowę. Powiedział, że można by powołać nieoficjalną grupę roboczą, która przedyskutuje różne możliwości. Czy Celia zgodziłaby się uświetnić obrady?

– Ale wezmę Bernarda, żeby mnie pilnował – ostrzegła.

Bernard to jej książę małżonek: badylarz, mason, pokątny agent nieruchomości i przewodniczący gminnej komisji planowania. Julian zapewnił ją, że obecność Bernarda będzie mile widziana.

Teraz rozmawiali już o wszystkim i o niczym. Celię wyraźnie korciło, by więcej się o nim dowiedzieć – a Julian nie miał nic przeciwko temu. To może jeszcze Jones, ten od warzywniaka, który kandyduje na burmistrza i zmajstrował dzieciaka swojej ukochanej, o czym nie wie tylko jego żona? A te niby tanie mieszkania, które budują za kościołem? Jakie one tanie, skoro swoją dolę muszą dostać prawnicy i handlarze nieruchomości. Kogo będzie na nie stać?

– A ty, młody człowieku, to chyba jesteś po dobrej szkole z internatem, co? – zapytała w pewnej chwili Celia, obrzucając go przychylnym spojrzeniem swych bystrych, choć małych oczek. – Pewnie chodziło się do Eton, jak cały nasz rząd?

– Ależ skąd, Celio. Chodziłem do państwowej szkoły.

– Ale muszę przyznać, że wyrażasz się elegancko. Jak mój Bernard. No i założę się, że masz jakąś fajną babeczkę, nie? – I dalej bez skrępowania kontynuowała oględziny.

– W tej chwili nie mam, Celio. Powiedzmy, że robię sobie wolne.

– Ale wolimy babeczki, prawda, młody człowieku?

– Tak – przyznał. – Babeczki jak najbardziej. – Ale bardzo się pilnował, by nie przesadzić z entuzjazmem, gdy Celia sugestywnie pochyliła się nad nim, dolewając mu dżiniku.

– Bo widzisz, młody człowieku, ja już co nieco o tobie słyszałam. I to więcej, niż ci się zdaje, szczerze mówiąc, a ja zawsze jestem szczera. Podobno był z ciebie szatan, nie makler. Jeden z najlepszych w branży. I miałeś więcej przyjaciół niż wrogów, co zdarza się w City nie tak często. Wiadomo, że tam jeden drugiemu najchętniej wbiłby nóż w plecy. A jak ci idzie ten księgarski interes, młody człowieku, czy lepiej nie mówić nic złego o zmarłych? – trajkotała, to zalotnie podnosząc długą spódnicę, to zakładając nogę na nogę, to pociągając dżiniku.

Julian nie mógł sobie wymarzyć lepszej sposobności, by po kilku dygresjach dla odwrócenia uwagi nie wspomnieć o zabawnym dziwaku, który wtargnął ostatnio do księgarni, mając już nieźle w czubie, obejrzał cały lokal od dołu aż po samą górę, zagadywał go

przez pół godziny, niczego nie kupił i w dodatku się okazało, że jest… To w zupełności wystarczyło.

– Młody człowieku, przecież to mój Teddy! – wykrzyknęła z udawanym oburzeniem Celia. – Wiesz, jaki był zachwycony? Zaraz potem przyszedł tutaj i zasiadł do komputera. No, ale jak się dowiedział o śmierci twojego tatusia… Który już przedtem tyle miał nieprzyjemności… Ojej, ojej! – dodała, smutnie kiwając głową, co Julian zrozumiał jako wyraz współczucia i dla swego zmarłego ojca, i przy okazji dla schorowanej żony Edwarda. – Biedny ten Teddy, biedny – powtórzyła, wciąż świdrując go oczkami. A potem niemal na tym samym wdechu: – Ale ty, młody człowieku, nie prowadziłeś z nim przypadkiem jakichś interesów, jak jeszcze byłeś postrachem City? – zapytała z miną niewiniątka. – Ani bezpośrednio, ani pośrednio? Przez podstawionych ludzi na przykład, dla niepoznaki?

– Interesów? W City? Z Edwardem Avonem? Przecież ja go dopiero poznałem dwa dni temu, a potem jeszcze przypadkowo natknąłem się na niego przy śniadaniu. – Tu naszła go nieprzyjemna myśl. – A co? Czy ty chcesz mnie przed nim ostrzec?

Celia puściła to pytanie mimo uszu, wciąż przyglądając mu się badawczo.

– Bo widzisz, młody człowieku, pan Edward Avon to mój bardzo dobry przyjaciel – powiedziała, uśmiechając się dwuznacznie. – Bardzo, bardzo dobry przyjaciel.

– Celio, ja się nie wtrącam w twoje prywatne sprawy – rzucił pośpiesznie Julian i znów został zignorowany.

– Znacznie lepszy przyjaciel, niż ci się zdaje. Ale mało kto o tym wie poza moim Bernardem. – W zamyśleniu popiła dżiniku, wciąż jednak nie spuszczała wzroku z Juliana. – Widzisz, przed tobą nie będę się z tym kryć, masz w końcu swoje kontakty w City… Gdybym wiedziała, że się nie wygadasz, to kiedyś mogłabym ci opowiedzieć jeszcze więcej… Zresztą ty już i tak sporo wiesz. Myślisz, że mogę ci zaufać?

– Zaufać?

– No pytam. Mogę?

– Cóż, to już musisz ocenić sama – powiedział z szacunkiem Julian, choć wiedział już, że nic jej nie powstrzyma.

*

Od razu go przygotowała, że to długa historia. Wszystko zaczęło się dziesięć lat temu, kiedy pewnej pięknej niedzieli Teddy po raz pierwszy wparował przez te drzwi z papierową torbą wypełnioną bibułą, wyciągnął z tej bibuły miskę z chińskiej porcelany, postawił ją na ladzie i zażądał informacji, ile by mu za nią dała, jakby miała dobry dzień.

– Ja na to, czy chodzi o kupno, czy o sprzedaż, bo go nie znam, tak? Przyszedł, powiedział, że ma na imię Teddy, zachowuje się, jakby był moim starym kumplem, a ja go przecież na oczy wcześniej nie widziałam. Mówię mu, że chce ode mnie wyceny, a ja takich interesów nie prowadzę. Jak chce, to mogę mu powiedzieć, ile bym dała, ale wtedy będzie mi winny pół procenta od kwoty, którą mu podam. No nie, Celio, mówi, nie bądź taka. Tak mniej więcej mi powiedz. No dobra, mówię. Jakbym chciała kupić, to dałabym jakieś dziesięć funtów, ale tylko dlatego, że mam takie dobre serce. A on na to, że jak dam mu dziesięć tysięcy, to mi sprzeda. I pokazuje mi wycenę od Sotheby's: osiem tysięcy. No, ale nie wiedziałam, co on za jeden. Mógł być jakiś niezły cwaniak. I jeszcze jakby trochę cudzoziemiec. A w dodatku co ja wiem o porcelanie z epoki Ming? Każdy by się domyślił, że nic, wystarczy popatrzyć na moją wystawę. Więc go pytam: a w ogóle kto ty jesteś? Avon, mówi, Edward Avon. A niech mnie, ja na to, ten Avon, co się ożenił z Deborah Garton z Silverview? Ten sam, mówi, ale mów mi Teddy. To bardzo w jego stylu.

Julian nie był dość zorientowany:

– Co to jest Silverview?

– To ten wielki ciemny dom na drugim końcu miasteczka, młody człowieku. W połowie drogi spod wieży ciśnień w dół. Piękny ogród. Przynajmniej kiedyś był piękny. Za czasów starego pułkownika dom nazywał się Willa pod Klonami, ale potem odziedziczyła go Deborah i od tego czasu jest Silverview. Nie warto pytać Celii, dlaczego ta zmiana.

– A ten pułkownik to kto? – zapytał Julian, nie mogąc jakoś wyobrazić sobie Edwarda w takim otoczeniu.

– Ojciec Deborah, młody człowieku. Miejscowy dobroczyńca, kolekcjoner sztuki, założyciel i mecenas miejskiej biblioteki, ale rąk to przy sobie trzymać nie potrafił. Mój Bernard miał z nim stały kontrakt na zajmowanie się ogrodem. Od czasu do czasu Deborah też go sobie wynajmuje. No i ta cała piękna porcelana to też spadek po pułkowniku – ciągnęła Celia, wzdychając ponuro. – To ci była kolekcja! Lepszej nie znalazłbyś w całym hrabstwie.

– Więc kiedy Teddy przyszedł do ciebie, to chciał ci na boku sprzedać trochę rodzinnego serwisu – podsunął Julian, ale Celia aż usta otwarła i zamknęła, tak ją to oburzyło.

– Teddy? Teddy miałby podkradać żonie jej rodzinne pamiątki? W życiu, młody człowieku! Mój Teddy jest czysty jak łza, nie wierz nikomu, kto by mówił inaczej!

Julian zrobił skruszoną minę i czekał na dalszy ciąg.

– Nie, nie. Teddy'emu chodziło o coś zupełnie innego – mówiła Celia. – Od kiedy przeszedł na emeryturę, o niczym innym nie marzył, tylko o tym, żeby wszystko, co w życiu zarobił, ucząc w takich krajach, do jakich ani ja, ani ty nigdy byśmy nie pojechali… Deborah z nim nie jeździła, bo miała swoje spółki skarbu państwa czy coś takiego… przeznaczyć na rozwinięcie wielkiej kolekcji pułkownika, żeby nie było drugiej takiej. Trochę drogą wymiany, trochę drogą zakupu.

I jeszcze chciał, żeby to Celia była jego pośredniczką, poszukiwaczką, przedstawicielką i agentką, ale tylko po cichu, nikomu ani słowa. Dostanie za to od niego stałą prowizję, obiecywał, dwa tysiące funciaków, i to gotówką, z rączki do rączki, i jeszcze jakiś procencik od rocznego obrotu, też gotówką albo wręcz w naturze, no przecież nie będziemy tym wszystkim zawracać głowy urzędowi skarbowemu. No co ty na to, Celio? No co ty na to, Julianie?

– I to wszystko po jednej krótkiej bytności w twoim antykwariacie?! – zawołał Julian, na własny użytek dostrzegając zadziwiające podobieństwo tej historii do wstrząsającego tempa, w jakim Edward mianował się przyszłym współzałożycielem i konsultantem Republiki Literatury, co zabrało mu tyle czasu, ile Julianowi zjedzenie, i to nie w całości, omletu z serem.

– Nie jednej, tylko trzech, młody człowieku – poprawiła go. – Drugi raz przyszedł tego samego dnia po południu, a następnego dnia rano przyniósł w kopercie dwa tysiaki w dziesięciofuntówkach. Miał je przygotowane, tak na wszelki wypadek, gdybym się zgodziła. A przy każdej transakcji, zapowiedział, też coś mi odpali wedle uznania, no i nie bardzo mogłam się targować, bo przecież on to sam wszystko załatwiał, nawet nie wiem jak.

– I co mu odpowiedziałaś?

– Że muszę spytać Bernarda. A potem jeszcze spytałam, i tak naprawdę powinnam była o to spytać, zanim go lepiej poznałam, po jaką cholerę przyszedł z tym akurat do mnie. Na miłość boską, przecież w takim badziewnym sklepiku jak mój nikt inny nie sprzedawałby takiej topowej chińskiej porcelany. Nie mówiąc już o kupowaniu! Tak mu powiedziałam. A w dodatku przecież takie rzeczy robi się teraz przez komputer, przez eBaya, a ja nawet komputera nie mam, nie mówiąc już o tym, że nie wiem, jak go używać. Bo my z Bernardem jesteśmy luddystami i jesteśmy z tego dumni. Tak mu powiedziałam, ale jego to ani trochę nie wzruszyło. Powiedział, że wie i że wszystko będzie dobrze. Celio, kochanie, mówi, ty nie musisz nawet palcem kiwnąć, ja się wszystkim zajmę i zawsze ci pomogę. Ja kupię komputer, ja go zainstaluję, ja go będę obsługiwał. I będę znajdował towar, czy to na kupno, czy na wymianę, i będę sprawdzał ceny na aukcjach. Od ciebie chcę tylko, mówi, żebyś za mnie gadała z klientami, żebyś to ty była twarzą naszego przedsięwzięcia, ja zawsze będę ci służył radą, jak będzie trzeba, wolę jednak zostać w cieniu i mieć cokolwiek do roboty na emeryturze.

Celia wydęła wargi, pociągnęła dżiniku i zaciągnęła się cygaretką.

– I wyście naprawdę robili to wszystko? Tylko we dwójkę? – zapytał zdziwiony Julian. – Przez całe dziesięć czy ile tam lat? Teddy handlował, ty brałaś ryczałt i prowizję?

*

Zdziwienie Juliana zwiększyło się jeszcze, gdy zauważył, że nastrój Celii dramatycznie się pogorszył.

Przez dziesięć długich lat od tego pierwszego dnia szło im jak po maśle. Zaraz pojawił się komputer, dostał własny domek, tutaj, młody człowieku, na tym ślicznym sekretarzyku, półtora metra od miejsca, w którym siedzisz. Edward wpadał, jak tylko miał ochotę, wcale nie codziennie, czasem nawet cały tydzień go nie było. Siadał tu, na tym krześle, obstawiał się katalogami i fachową prasą, tłukł w klawisze, pili razem dżinik, Celia odbierała telefon i udawała, że to ona wszystko załatwia.

I choćby się waliło i paliło, co miesiąc przynosił kopertę. Nawet nie musiała liczyć, tak sobie ufali. A jak Edward akurat gdzieś wyjechał, co się czasem zdarzało, to taka sama koperta przychodziła poleconym, i to najczęściej z przemiłą karteczką, jak to on tęskni za jej pięknymi oczyma, i takimi tam innymi głupotami, bo Teddy umiał się zachować i dziewczyny na pewno za nim szalały, jak był młody.

– A gdzie on wyjeżdżał?

– Za granicę, młody człowieku. Uczył tam czy co, bo Edward to intelektualista – odparła górnolotnie.

Jeszcze jedno westchnienie, jeszcze raz pruderyjnie poprawia dekolt, żeby przypadkiem Julian sobie czegoś nie ubzdurał, i w swoim opowiadaniu zbliża się do chwili, kiedy skończyła się ta dziesięcioletnia idylla.

Konkretnie stało się to w niedzielę wieczór. Tak, tydzień temu. Jedenasta wieczorem, dzwoni telefon. Celia i Bernard się relaksują, oglądają telewizję. Celia podnosi słuchawkę. Kiedy naśladuje Deborah Avon, jej sposób mówienia, to połączenie akcentu z Lancashire z angielszczyzną Jej Królewskiej Mości:

– Czy mam przyjemność z Celią Merridew? Tak, Deborah, mówię, tu Celia. Chciałam cię poinformować, że postanowiliśmy z Edwardem pozbyć się jak najszybciej naszej kolekcji chińskiej porcelany z epoki Ming. Jak to się pozbyć, Deborah? Tej pięknej rodzinnej kolekcji? Owszem, Celio, w samej rzeczy. Chcemy się jej pozbyć z domu, najchętniej i najpóźniej do jutra. W porządku, Deborah, mówię, tylko gdzie mam ją upchnąć? Bo przecież takiej kolekcji nie można tak po prostu rzucić gdzieś pod ścianę, nie? A ona mi na to, że skoro przez te wszystkie lata zbiłam na Edwardzie niezły mająteczek i skoro Edward zapewnił mnie, że masz dość miejsca, to

może umieścisz ją u siebie na zapleczu? Pomyślałam, że może sama sobie coś wsadzić na zaplecze, ale nie powiedziałam tego na głos przez wzgląd na Teddy'ego. No i następnego dnia o czwartej po południu meldujemy się na wezwanie jej królewskiej mości Pod Klonami, ale to już nie jest Pod Klonami, tylko Silverview. Bernard przywiózł skrzynie i trociny, ja folię bąbelkową i papier pakunkowy. Teddy już czeka w drzwiach, blady jak trup, a jej królewska mość nie raczy ruszyć się z buduaru na piętrze, tylko gra te swoje klasyczne kawałki na pełny regulator.

Celia przerywa, lecz nie na długo.

– No dobra, wiem, że jest chora. Żal mi jej. Nie mówię, że to było najbardziej dobrane małżeństwo, bo nie było, ale tej jej choroby nie życzyłabym najgorszemu wrogowi. Cały dom śmierdzi tym choróbskiem. Człowiek nawet nie wie, co tam śmierdzi, ale wie, że śmierdzi.

Julian przyznaje, że dokładnie wie, o co chodzi. Celia posila się łyczkiem dżiniku.

– No to pytam Teddy'ego po cichutku, Teddy, co się dzieje? On na to: nic się nie dzieje, Celio. Uznaliśmy razem z Deborah, że z powodu jej tragicznej choroby nie będziemy już powiększać kolekcji, to wszystko. No nic. Dopiero po północy udało nam się z Bernardem zwieźć to wszystko tu, do mnie, a ja odtąd o niczym innym nie myślę, tylko gdzie to teraz ubezpieczyć, tylu się tu teraz włóczy różnych Rumunów i Bułgarów… Bernard rozścielił sobie koce na podłodze, ja się kładę na tej wiktoriańskiej kanapie. Następnego dnia w południe dzwoni Teddy. Zwykle niechętnie rozmawia przez telefon. Celio, niedługo będą u ciebie ludzie naszego klienta, oni wszystko załatwią. Deborah postanowiła pozbyć się wszystkiego na aukcji, oczywiście ma do tego prawo. Bardzo proszę, daj mi znać, ile ci jestem winny za transport i ubezpieczenie. Mówię mu: Teddy, naprawdę nie chodzi mi o pieniądze, wiesz przecież, że nie. Tylko mi powiedz, co się dzieje. On na to, że nic się nie dzieje, że już mi mówił. Postanowili nie powiększać kolekcji, to wszystko.

Czy już skończyła? Chyba tak, i teraz czeka, by Julian coś powiedział.

– A co na to Bernard? – pyta.

– Że Deborah pewnie potrzebuje pieniędzy na leczenie. Ja mu na to, że głupio pieprzy, bo przecież ona ma kasę po ojcu, własne ubezpieczenie i nie wiadomo ile pieniędzy z tych różnych wyjazdów. A za całą kolekcję mogłaby wykupić pół Harley Street i jeszcze by jej zostało – odpowiada wzgardliwie Celia, rozgniatając niedopałek cygaretki. – No i co ty na to, młody człowieku, skoroś taki mądry? Bo jeżeli naprawdę jesteś taki bystrzak, jak słyszałam, i skoro nasz Teddy to kumpel ze szkoły twojego świętej pamięci tatusia, i skoro Teddy wypiera się teraz swojej starej kumpeli Celii, bo mu żona, niestety, zachorowała, i skoro ja mam za dużo taktu, żeby mu teraz zawracać głowę, to może chociaż za twoim pośrednictwem się dowiem… – Teraz już jest bardzo rozgniewana, co widać po nagłym rumieńcu na twarzy i słychać w podniesionym głosie. – To może się dowiem albo przez ciebie od Teddy'ego, albo od twoich licznych kolesiów i wielbicieli z City, co się stanie z pewną unikatową kolekcją chińskiej porcelany z epoki Ming. Może złakomił się na nią jakiś chiński milioner, o których tyle się teraz czyta? A może jakiś trust z tego twojego City? Tyle ci tylko powiem – i głos wznosi się w prawdziwym crescendo – że nie zarobiłam na tej sprzedaży ani pensa, więc będę ci bardzo wdzięczna, młody człowieku, drogi Julianie, jeżeli będziesz trzymał rękę na pulsie, a ja już ci się jakoś odwdzięczę, do wójta nie pójdziemy. Jeszcze niedawno nazywali mnie wszyscy „Porcelanowa Celia", a teraz już mnie tak nie będą nazywać, co? Już nigdy! Kurwa, to chyba Simon, chce u mnie kupić złoto.

Przybycie Simona oznajmiła kakofonia krowich dzwonków ze Szwajcarii przemyślnie umieszczonych przy wejściu. Z zupełnie nieprawdopodobną lekkością Celia zrywa się na równe nogi, naciąga poły kimona na uda i poprawia japońskie grzebyki w ufarbowanych henną włosach.

– Młody człowieku, lepiej wyjdź tylnym wyjściem, dobrze? Nie lubię mieszać przyjemności – mówi i kieruje się do antykwariatu.

5

Niezależnie od tego, czy bliźniakom się podobała, czy nie, przedstawiona przez Ellen wizja ich ojca skrytego przed oczami ciekawskich w jakichś kazamatach rządowych gmachów Whitehall i konferującego z najwyższymi władzami tajnych służb ich ojczyzny, sam zainteresowany tkwił w wagonie drugiej klasy, lecz nie wspomnianego niedzielnego ekspresu, a zwykłego pociągu osobowego, który niemiłosiernie trzeszcząc i skrzypiąc, docierał właśnie do jednej z najdalszych stacyjek kolejowych w całej Anglii Wschodniej. Na pierwszy rzut oka wygląd miał bardziej sobotni niż niedzielny, zapewne całkiem celowo – garnitur biznesowy, i to wcale nie najnowszy, czarne buty, niebieska koszula, nieokreślonego koloru krawat. Można by go wziąć za miejscowego urzędnika albo za małomiasteczkowego radnego, który całkiem chętnie przyjął propozycję niedzielnych nadgodzin.

Jak wszyscy inni pasażerowie on też czytał SMS-y. Wszystkie były otwartym tekstem:

Cześć tato! Jak mama wyjedzie mogę pożyczyć Vw? Jack

Mamo NIE KOP BLISKO GRANICY SYRYJSKIEJ!!! :) Przekaż jej tato!!! Całuski, Katie

A taki SMS przyszedł od jego asystentki Antonii poprzedniego dnia o dwudziestej trzeciej trzydzieści:

Analitycy z działu międzynarodowego NIE potwierdzili nieuprawnionego logowania się do sieci. A.

I jeszcze od zastępcy szefa:

Stewart rany boskie tylko nie narozrabiaj. B.

Na drugim końcu peronu stała ciężarówka RAF-u z białymi oznaczeniami. Za kierownicą siedział znudzony kapral i z daleka przyglądał się nadchodzącemu Proctorowi.

– Nazwisko?

– Pearson.

Kapral sprawdził na liście.

– Do kogo?

– Do pana Todda.

Kapral wyciągnął rękę przez okno. Proctor wręczył mu sfatygowaną plakietkę w plastikowej oprawie. Kapral skinął głową, zdjął oprawkę, plakietkę wrzucił do wnęki pod deską rozdzielczą, przez chwilę czekał, wreszcie zwrócił obie.

– A wie pan może, kiedy pan będzie wracał?

– Nie.

Proctor siedział przy kierowcy i gapił się na przesuwające się wzdłuż drogi puste pola. Zbliżała się wystawa psów w Suffolk. Dowiedział się tego z całego mnóstwa plakatów ogłaszających to wydarzenie, choć nie udało mu się odczytać daty. Po półgodzinie drogowskaz z napisem zrobionym od szablonu skierował ich na wyjeżdżoną betonową drogę, której środkiem biegł pas dzikiej trawy. Przed nimi pojawił się złowieszczy łuk bramy przypominający wjazd do podupadłego hollywoodzkiego studia. Nad łukiem tkwił na metalowym postumencie wielokrotnie przemalowywany spitfire. Proctor wysiadł z samochodu. Wartownicy w polowych mundurach trzymali w rękach karabiny maszynowe, jakby to były zawinięte w pieluszki niemowlęta. Nad nimi w przedpołudniowym słońcu zwieszały się smętnie flagi Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i NATO.

– Wie pan, kiedy będzie pan wracał?

– Już mnie pytaliście. Nie wiem.

Na wartowni zabezpieczonej workami z piaskiem i nie wiadomo dlaczego udekorowanej wstęgami z papieru pani sierżant w mundurze RAF-u sprawdziła jego tożsamość na liście przypiętej do tabliczki.

– Przepustka jednorazowa, pracownik cywilny, wejście tylko na teren brytyjski, kategoria trzecia – oznajmiła. – Zgadza się, proszę

pana?

– Zgadza się.

– I jest pan świadomy, że w trakcie pobytu na terenie bazy musi pan przez cały czas przebywać w towarzystwie uprawnionego pracownika bazy? – upewniła się, patrząc mu w oczy, tak jak ją szkolono.

Siedząc z tyłu jeepa, który wlókł się jak na pogrzebie przez lśniące morze świeżo ściętej trawy, z panią sierżant z przodu i z innym teraz kapralem za kółkiem, Proctor myślał o wszystkim, tylko nie tym, jak delikatna jest jego obecna misja. Wspominał mecze krykieta w szkole przygotowawczej, herbatę z cukrem i słodkie bułeczki na sali gimnastycznej. Myślał o Ellen, która teraz pewnie już dyżurowała w kuchni w fartuchu i czekała, by ktoś poprosił ją o śniadanie. Za tydzień wyjeżdża na tę swoją wielką wyprawę archeologiczną. Od kiedy właściwie tak ją pasjonuje starożytne Bizancjum? Odpowiedź: od dnia, w którym zaczęła odkładać stroje na wyprawę na łóżku w pokoju gościnnym naprzeciw ich sypialni. Myślał o Jacku, swym synu, i żałował, że chłopak trochę więcej nie interesuje się polityką, a trochę mniej pracą w City. Myślał o Katie, swej córce, i o tym jej rugbyście z Cambridge. Czy już mu powiedziała o aborcji? W sumie nie musiała, bo przecież to nie przez niego… I znów powrócił oskarżycielski obraz biednej Lily spuszczającej wózek po schodach w ulewnym deszczu.

Ogłuszający ryk silników odrzutowych brutalnie sprowadził go na ziemię. Zaraz potem rozległy się dźwięki rogów myśliwskich i kobieta z teksańskim akcentem zaczęła uwodzicielsko wyczytywać nazwiska przez megafon. Loterię wygrał w tym tygodniu kapral Enrico Gonzalez. Oklaski z taśmy. Inny jeep wymijał ten cały militarny Disneyland – hangary w kamuflażu deformującym, czarne bombowce – i zjeżdżał po trawie w stronę zielonych baraczków ustawionych w kółko i obwieszonych niebieskimi flagami. Na flagach róża wiatrów, wokół baraczków druciane ogrodzenie. Pani sierżant z tabliczką pod pachą poprowadziła go szybkim marszowym krokiem między grządkami z uroczystymi tulipanami do małego domku z gankiem. Sekwojowy parkiet był tak wypolerowany, że gdy Proctor stawiał stopy, widział w nim odbicie własnych butów. Na wątłych

drzwiach coś jakby tablica pamiątkowa z napisem: OFICER ŁĄCZNIKOWY WLK. BRYT. WCHODZIĆ BEZ WEZWANIA. Za biurkiem siedział szczupły mężczyzna w wieku Proctora, może nieco starszy, i czytał akta.

– Pan Pearson do pana – oznajmiła pani sierżant i dopiero podpis na podsuniętej przez nią kartce zdradził, że szczupły mężczyzna ma na nazwisko Todd.

– Witam, witam pana – powiedział, podnosząc się zza biurka i niedbale podając Proctorowi dłoń. – My się chyba jeszcze się nie znamy, prawda? Jak to miło z pana strony, że się pan fatygował w niedzielę. Mam nadzieję, że nie zepsuliśmy panu całkiem planów na weekend. Dziękuję, pani sierżant.

Drzwi się zamknęły, stuk kroków pani sierżant rozbrzmiał w korytarzu. Todd ruszył się od okna, dopiero gdy minęła tulipany.

– Stewart, do cholery, może powiesz mi z łaski swojej, co ty tutaj robisz? – powiedział. – Zakradasz mi się do bazy… Na miłość boską, wiesz przecież, że ja tu mieszkam.

A nie uzyskawszy żadnej odpowiedzi poza współczującym skinieniem głowy, ciągnął:

– Jak ja się wytłumaczę, kiedy zadzwoni ten telefon i mój kochany przyjaciel Hank z drugiej strony pasa startowego powie: „Cześć, Todd, słyszałem, że jest u ciebie Proctor. Weźże przyprowadź go do kasyna na drinka!”. No gadaj, co ja mu wtedy powiem?

– Jest mi tak samo przykro jak tobie. W Centrali mieli chyba nadzieję, że w niedzielę wszyscy będą na polu golfowym.

– Nawet gdyby byli, to co? Tu ciągle kręcą się ludzie z Agencji i Bóg wie jeszcze skąd. No dobra, może nie ciągle, ale się kręcą. Przecież ty jesteś doktor Proctor, na miłość boską, szef bezpieczeństwa wewnętrznego, młot na czarownice. Wszyscy cię znają. Co będzie, jak ktoś cię tu namierzy? Wiesz, co będzie? Wiesz, jaki smród się zrobi? A kto będzie śmierdział najbardziej? Ja! Siadaj, cholera, napij się kawy. Jezusie brodaty!

Po czym zamówiwszy przez interkom na biurku „dwie kawy, Ben, ale raz-dwa”, opadł ciężko na fotel i w rozpaczy przytknął czubki palców do skroni.

Jeżeli Firma daje jeszcze komuś urlop dla poratowania zdrowia – w co Proctor raczej nie wierzył – to mało kto tak go potrzebował jak Todd. A jeżeli nagradza wierną służbę, to ten tragicznie przystojny człowiek, który służył jej z całkowitym oddaniem w najstraszniejszych zakątkach świata – otrzymując za to dwa odznaczenia za męstwo i tracąc dwie żony – zasłużył na taką nagrodę jak mało kto.

– Ale w domu wszystko w porządku, co? – zapytał łagodnie. – Wszyscy zdrowi, szczęśliwi i tak dalej?

– Wszystko w najlepszym porządku, dzięki, że pytasz, Stewart, wszystko w porządku – odpowiedział Todd i zaraz mu się humor poprawił. – Góra dała mi jeszcze rok, a potem emeryturka i święty spokój. Pewnie słyszałeś. Dobudowałem do salonu zimowy ogród, to bardzo podniesie wartość domu, jeżeli zdecyduję się go opchnąć. Ciągle się zastanawiam. Sytuacja jest niejasna.

– A jak się mają twoje sprawy z Janice?

– Dzięki, Stewart, ciągle jesteśmy w kontakcie. I w dobrych stosunkach, tak, tak. Jak pewnie wiesz, ciągle bardzo ją kocham. Nawet się zastanawia, czyby do mnie nie wrócić. Nie wiem, czy powinna, ale może spróbujemy. U Ellen też wszystko w porządku?

– Jak najbardziej, dziękuję. Właśnie jedzie do Stambułu. Na pewno by kazała cię pozdrowić, gdyby wiedziała… A co słychać u dzieci?

– No cóż, właściwie już całkiem dorosłe. Na razie jeszcze nie likwiduję ich pokoi. Dominic trochę się pogubił. Wiadomo, ten koczowniczy tryb życia… Jednym dzieciom ludzi z Firmy to odpowiada, innym nie. Twierdzi, że nic teraz nie bierze, ale tam, gdzie ostatnio był na odwyku, trochę inaczej to przedstawiali. Ma nowego konika: gotowanie. Podobno zawsze chciał być kucharzem. Pierwsze słyszę, ale niech mu będzie. Może to mu akurat spasuje. Tylko musi się przyłożyć.

– A twoja zachwycająca córka? Ta, którą przyprowadziłeś na imprezę świąteczną?

– Dzięki Bogu z Liz nie ma żadnych kłopotów. Ten jej malarzyna ma, zdaje się, całkiem niezłe powodzenie w świecie sztuki nowoczesnej, jeżeli ktoś to lubi. Ja lubię, ale czy jego rzeczy będą się dobrze sprzedawały, nie wiem. Podrzucam jej czasem to, co mi

zostanie po alimentach dla obu byłych, więc mam nadzieję, że ten jej malarz zdąży zrobić karierę, zanim pójdę z torbami – powiedział Todd, uśmiechając się z rezygnacją na samą myśl o tym.

– Nadzieja umiera ostatnia – chętnie zgodził się Proctor i wtedy pojawiła się kawa.

*

Rozpędzając rozklekotanego jeepa cherokee na trzykilometrowym i całkiem teraz pustym pasie startowym do prędkości, którą Proctor oceniał na co najmniej sto dwadzieścia kilometrów na godzinę – nie miał pewności, bo prędkościomierz nie działał – Todd wyglądał przez kilka pięknych sekund na bohaterskiego lisa pustyni, którym przecież kiedyś był.

– Czyli jesteś tu dzisiaj wyłącznie z powodu usterki technicznej?! – Todd usiłował przekrzyczeć hałas. – Dobrze zrozumiałem?

– Bardzo dobrze! – odkrzyknął w odpowiedzi Proctor.

– Nie błąd ludzki, tylko usterka techniczna. Tak? Usterka techniczna, jak w tym starym gracie?

– Tak jest.

– Góra twierdzi, że to absolutny drobiazg. Był piątek, czwarta po południu…

– Tak jest. Drobiazg. Niczyja wina. Usterka techniczna i tyle – potwierdził Proctor.

– Ale już o dziewiątej wieczór to było zaniedbanie. Co jest gorsze? Usterka czy zaniedbanie?

– Nie mam pojęcia. To ich słowa, nie moje.

– A z kolei dziś rano zrobiła się z tego dzika afera. Wytłumacz mi, do cholery, jak w ciągu dziesięciu godzin można z drobiazgu zrobić zaniedbanie i jeszcze nazywać to usterką techniczną? Przecie na zdrowy rozum za zaniedbanie odpowiada człowiek, tak?

Samochód udało się zatrzymać dopiero hamulcem ręcznym. Todd wyjął kluczyk ze stacyjki, ale musiał chwilę odczekać, by silnik zgasł. Siedzieli wciąż obok siebie w pełnym napięcia milczeniu.

– Kurwa, no wytłumacz mi, Stewart, w jaki sposób zaniedbanie może być usterką techniczną? – Todd wciąż nie mógł się uspokoić. – Zaniedbać coś może człowiek, a nie, kurwa, światłowód. Nie kabel przecież, tylko jakiś facet. Tak czy nie?

Proctorowi jednak ta płomienna przemowa jakoś nie przypadła do gustu.

– Todd, mam rozkaz natychmiast sprawdzić sprzęt i zameldować o jakimkolwiek problemie. Koniec kropka.

– Jezu, Stewart, przecież żaden z ciebie, kurwa, technik – wściekał się Todd, wysiadając z jeepa na asfalt. – Ty jesteś pies, pies gończy. I tylko o to mi chodzi.

Wydzielona sala konferencyjna w rzeczywistości była pozbawionym okien dwunastometrowym wagonem kolejowym, na którego jednym końcu umieszczono ekran telewizyjny. W imitacjach okien wymalowano błękit nieba i ozdobiono je sztucznymi kwiatami. Wzdłuż całej długości wagonu ciągnął się stół konferencyjny ze sklejki z całym rzędem komputerów, po obu stronach obstawiony szkolnymi krzesłami.

– Czyli to tutaj tak kiedyś ciężko harował ten twój zespół mieszany? – zapytał Proctor.

– Za pozwoleniem: dalej haruje, jeśli trzeba. Prawda, nie zdarza się to zbyt często. Jak wszystko jest w porządku, siedzimy tutaj, ale jak jest alarm, to raz-dwa jazda w dół do Rezerwatu Jastrzębi.

– Do jakiego Rezerwatu Jastrzębi?

– To nasz własny schron atomowy. Dziewięćdziesiąt metrów pod ziemią. Podobno na drzwiach była kiedyś tabliczka z napisem, tylko ją ktoś zwinął: TU MYŚLIMY O TYM, CO NIE DO POMYŚLENIA. Średnio śmieszne, ale jak ktoś siedzi po uszy w teorii odstraszania, to dobry żart tynfa wart. Zrobić ci wykład?

– Czemu nie?

Wykład Todda był tak naprawdę brykiem z historii sporządzonym na potrzeby coraz rzadziej zwiedzających to miejsce dyplomatów. Proctor wcale by się nie zdziwił, gdyby za parę lat ten sam wykład, tylko odpowiednio ocenzurowany, dawała tu jakaś dobrze poinformowana dama z Urzędu Ochrony Zabytków – ale już nie dyplomatom, tylko turystom.

Obiekt ten, recytował Todd, pochodzi z czasów zimnej wojny, co oczywiście nie było dla Proctora niespodzianką. Miał tylko jedno przeznaczenie: przechowywać broń atomową, używać broni atomowej i – jeśli trzeba – przyjąć na siebie uderzenie broni atomowej, przez cały czas pełniąc rolę centrum dowodzenia:

– Stąd tu w podziemiu tyle komór magazynowych i ta niesamowita plątanina tuneli. Tunele prowadzą do wszystkich baz w okolicy: do bazy lotnictwa myśliwskiego, bombowego, taktycznego, strategicznego i do samego Pana Boga. Wszystko megatajne oczywiście, również dla ciebie i dla mnie. Tutaj ludzie żartują, że Jankesi wydrążyli całą Anglię Wschodnią, tylko na wierzchu zostawili skorupkę. Początkowo tunelami biegły zwykłe kable. Jak wyszły z mody, zastąpiono je światłowodami i tak już zostało. I pozostaną tu, aż śmierć nas rozdzieli, a nawet jeszcze dłużej. Tak?

– Tak – zgodził się Proctor.

– Tylko że wspomniane tunele ze światłowodem tworzą całkowicie zamknięty obwód. Odcięty od wszystkiego, przeznaczony tylko dla nas. Połączenia ze światem zewnętrznym brak. Nie da się przez niego kupić sprzętu AGD ani przekazać pomocy na Ukraińców i żaden idiota nie może tu sobie ściągać pornoli. Nie włamie się żaden nastoletni haker ani żaden wścibski holenderski anarchista. To fizycznie niemożliwe. Więc co mi tu Centrala pieprzy o włamaniu? Jakie włamanie? Jeżeli coś, to mógł to być tylko ludzki błąd…

Todd zasiadł na jednym ze szkolnych krzeseł, rozparł się na nim i czekał na odpowiedź, ironicznie gapiąc się w sufit. Ale Proctor w odpowiedzi mógł tylko uśmiechnąć się ze współczuciem. I też się zastanawiał, jak długo potrwa cała ta zabawa.

*

– No to opowiedz, jak wyglądał tu wasz zwykły dzień pracy – zaproponował Proctor z zapałem. – I jak dalej tu pracujecie, jeśli trzeba.

Po równie karkołomnej jeździe byli już z powrotem w gabinecie Todda, żeby zjeść lunch składający się z kanapek i dietetycznej coli.

– O ile wiem, tak jak zawsze się tu pracowało – odpowiedział niechętnie Todd.

– Czyli jak? I kiedyś, i teraz?

– No więc jak był jedenasty września albo trwała druga wojna w Iraku, to robota szła praktycznie przez całą dobę. Cała baza zmieniała się wtedy w taki amerykański think tank z brytyjskimi dodatkami. Pięciogwiazdkowi generałowie to przylatywali, to odlatywali. Jak jo-jo. Cała wierchuszka z Langley, NATO, Departamentu Obrony i Białego Domu. Wszyscy. No i nasi kochani gospodarze: profesor Iks z Instytutu Spraw Międzynarodowych, doktor Igrek z Instytutu Studiów Strategicznych, paru mądrali z tego czy innego koledżu w Oksfordzie. Przyjeżdżali i odjeżdżali i nic innego nie robili, tylko myśleli o tym, co nie do pomyślenia. Wiesz, jak w tym filmie *Gry wojenne*: planowanie na wypadek armagedonu, rysowanie czerwonych linii, zastanawianie się, komu kiedy przywalić bombą atomową. Dzięki Bogu nie mój poziom tajności. Niestety ich zresztą też nie.

– A czy wtedy zajmowali się też czymś bardziej konkretnym, czy tylko bawili się władzą nad całym światem? – zapytał Proctor.

– No tak, nawet teraz mamy jeszcze parę lokalnych podkomisji. Jedna jest od Rosji posowieckiej. Azja Południowo-Wschodnia też miała swoją, ale już nie ma. Bliski Wschód działa, choć tylko do pewnego stopnia.

– Do jakiego stopnia?

– W czasach Busha i Blaira działał pełną parą. Ale potem dostał się nam spokojniejszy prezydent Ameryki, to i ruch w interesie zmalał. Słuchaj, Stewart…

– No, słucham.

– To jak, chodzi tu w końcu o problem techniczny czy nie? Bo ja nie mam dopuszczeń do ani jednego zasranego skrawka papieru, który stąd wychodzi. Nie należę i nie chcę należeć do zamkniętego kręgu. A Centrala sama sobie nie może zaglądnąć do dupy?

– Domyślam się, że Centrala bardzo uważnie przypatruje się zamkniętemu kręgowi – powiedział Proctor, uznawszy, że nadeszła odpowiednia chwila.

*

Kiedy stali na samym dnie schronu, czyli w owym Rezerwacie Jastrzębi, Proctor miał uszy wciąż zatkane od jazdy w dół. Taki sam konferencyjny stół ze sklejki, takie same szkolne krzesła, taki sam olbrzymi ekran w trybie czuwania. Taki sam rząd wyłączonych komputerów. Takie same wstrętne jarzeniówki, takie same imitacje okien, sztuczne kwiaty i błękit nieba. Jak na opuszczonym i powoli tonącym statku. Smród stęchlizny, starości i ropy.

– Brytyjczycy z tej strony, Amerykanie z tamtej – zaintonował Todd. – Komputery połączone ze sobą. I tylko ze sobą.

– Czyli nie ma żadnych zewnętrznych łączy?

– Były, kiedy w Anglii Wschodniej było mnóstwo baz. Jak któraś się zamykała, łącze odcinano. Znajdujesz się teraz dziewięćdziesiąt metrów pod ostatnią czynną amerykańsko-brytyjską bazą strategiczną na Wyspach Brytyjskich, oczywiście nie licząc tych, które należą do Operacji Specjalnych, bo oni mają swoje. Włamanie do sieci byłoby możliwe tylko wtedy, gdyby Al-Kaida albo Chińczycy czy kto tam jeszcze wykopali nocą zajebistą dziurę w pasie startowym i w dodatku zdążyli wynieść się przed świtem.

– A gdyby tak jutro ogłoszono alarm? Powiedzmy, gdyby nagle miała się zebrać dawna komisja do spraw Związku Sowieckiego? – zapytał Proctor, starając się o przykład jak najbardziej odległy od prawdziwego przedmiotu śledztwa. – To wtedy byłoby tak: wszyscy zaproszeni do bazy, tu, na sam dół, i zamykamy, tak? I gdyby ten profesor Iks z instytutu spóźnił się na pociąg…

– No niestety. Nie wejdzie.

– I to samo z komisją do spraw Bliskiego Wschodu, chociaż jak mówisz, ona pracuje trochę bardziej na bieżąco?

– No, może czekaliby tylko na Deborah. Ale to specjalny przypadek.

– Na Deborah?

– No, na Debbie Avon. Na miłość boską, przecież to nasza najlepsza analityczka od Bliskiego Wschodu. Albo była. Znasz przecież Debbie. Opowiadała mi kiedyś, że raz była u ciebie. Zapytała

mnie wtedy, czy gdyby miała jakiś problem z bezpieczeństwem osobistym, to czy warto z tym iść do ciebie. Powiedziałem, że warto.

– Dlaczego: „albo była”?

– Bo umiera. Nie powiedzieli ci w Centrali? Jezu. To jest dopiero usterka techniczna, niech ich szlag.

– Na co umiera?

– Na neo. Już parę lat się to ciągnie. Najpierw miała remisję, potem remisję diabli wzięli, no a teraz jest umierająca. Nawet do mnie zadzwoniła, żeby się pożegnać i przeprosić, jeżeli od czasu do czasu zachowywała się jak świnia. Powiedziałem jej, że nie od czasu do czasu, tylko stale. I płakałem jak bóbr. A ona ani trochę, taka jest. No, nie chce mi się wierzyć, że ci nie powiedzieli.

Chwila przerwy poświęcona uzgodnieniu poglądów na temat leniwych pierdzieli z kadr, których ktoś wreszcie powinien pogonić do roboty.

– I wtedy też kazała mi natychmiast skasować jej łącze, bo już się jej nie przyda. Nie no. Jezus…

– A kiedy dokładnie to było?

– Tydzień temu. Potem jeszcze raz zadzwoniła, żeby sprawdzić, czy na pewno kazałem wyłączyć. Cała Debbie.

– I mówiłeś, że Deborah to specjalny przypadek. Dlaczego specjalny?

– Mówiłem? A tak. Szczęśliwie się złożyło, że Debbie mieszka w prawdziwym pałacu niecałe dziesięć kilometrów stąd. Spadek po ojcu, który też pracował w Firmie. Okazało się, że ten pałac stoi dokładnie nad bezpośrednim tunelem do jednej bazy pod Saxmundham, która umarła śmiercią naturalną. Debbie gorzej się czuła, brała chemię czy coś, a akurat coś się działo na Bliskim Wschodzie… No i jak to Debbie, nie chciała Firmie sprawić zawodu, a Firma nie chciała stracić swojej najlepszej analityczki… Koszty, żeby wywiercić dziurę i ją podłączyć, były praktycznie zerowe… – Tu Todd przeraził się własnej myśli. – Ale na miłość boską, Stewart, od niej nie mogło być żadnego włamania! Ona była na samym końcu kabla, a dalej wokół nie było już nic.

Na co Proctor odpowiedział, żeby się uspokoił, bo obaj wiedzą przecież, że jak Centrala coś sobie umyśli, to zaraz dostaje fioła na

tym punkcie.

*

Gdy później znów w gabinecie Todda czekali, aż pani sierżant przyjedzie jeepem, powrócili na chwilę do biednej Deborah Avon.

– A wiesz, że nigdy u niej nie byłem? – powiedział z żalem Todd. – Teraz już za późno. Oczywiście pojechałbym natychmiast, gdyby mi pozwoliła. Ale dla niej praca w Firmie to zawsze było jedno, życie prywatne drugie. Podobno ma męża. Wiem nie od niej. Podobno jakiś przybłęda. Trochę uczy, trochę robi w dobroczynności. Dużo czasu spędza za granicą. Dzieci chyba nie mieli. Jak ją raz zapytałem, czy ma kogoś w swoim życiu, to mi powiedziała, żebym się odpieprzył. No i co, wiesz już, co się stało?

– Z tym włamaniem? Nie mam pojęcia, ale to chyba burza w szklance wody. I nie wiem, po co to wszystko. Jeżeli się z tobą nie skontaktuję w ciągu paru najbliższych dni, to znaczy, że nie ma sprawy. I dopilnuj tego swojego syna, Todd – dodał, gdy już zajechał jeep. – Nasz kraj potrzebuje każdego dobrego kucharza.

*

Stojąc przed ubikacją w hałaśliwym połączeniu między dwoma wagonami, Proctor pisze SMS-a do zastępcy szefa:

> Potwierdzam istnienie nieudokumentowanego łącza. Łącze skasowano tydzień temu na osobiste życzenie użytkownika.

Ma wielką ochotę dodać: kolejny przykład, że Centrala nie umie kojarzyć faktów. Ale jak zwykle się powstrzymuje.

6

Kurier przywozi dwanaście egzemplarzy *Pierścieni Saturna* W.G. Sebalda. Julian przywłaszcza sobie jeden z nich i co wieczór udaje mu się przebrnąć przed snem przez parędziesiąt stron, pilnie googlując kolejnych wielkich pisarzy.

Z konieczności wyjeżdża do Londynu, sprawdza, czy w mieszkaniu wszystko w porządku, i przypomina agentowi nieruchomości, że bardzo mu zależy na szybkiej sprzedaży. Agent tłumaczy, że ceny rosną, więc jak poczeka parę miesięcy, to może zarobić o pięćdziesiąt tysięcy więcej.

Przez wzgląd na dawne czasy telefonuje do byłej dziewczyny, która właśnie wychodzi za bogatego inwestora. Bogaty inwestor jest akurat nieobecny, okazuje się, że dawne czasy nie są wcale tak bardzo dawne. Z trudem udaje mu się uchronić cnotę.

Odbywa jednodniową pielgrzymkę do pobliskiego Aldeburgh, gdzie siedząc u stóp właścicieli niezależnego antykwariatu o wielkiej renomie, rozmawia o festiwalach i klubach książki i obiecuje im pilnie się uczyć. Wyjeżdża stamtąd z całkowitym przekonaniem, że nigdy się tego nie nauczy, choćby nie wiadomo ile Sebaldów przeczytał; ale potem humor mu się poprawia, bo wczesna wiosna przechodzi niepostrzeżenie we wczesne lato. W jego księgarni pojawiają się prawdziwi ludzie i co dziwniejsze, kupują u niego książki. Ale wśród klientów nie ma Edwarda Avona. Republika Literatury staje się coraz odleglejszym marzeniem.

Czy to możliwie, że Deborah umarła, tylko Julian o tym nie słyszał? Miejscowy szmatławiec o niczym nie wie, miejscowe radio też nie, a Celia z Bernardem wyjechali na wakacje na Lanzarote.

– Pan Edek już nie przychodzi, wie pan… – zapewnia go Adrianna, gdy wpada do jej jadłodajni w trakcie porannej przebieżki. – Może żona mu powiedziała, żeby siedział w domu. Siedź w domu, Edek, bądź tak dobry.

– A co u Krzyśka?

– O, Krzysiek już nie robi na państwowym, Krzyś jest teraz prywaciarz.

Trzeba znaleźć kogoś, kto by zastąpił uciekinierkę Bellę. Wystarczyło jedno ogłoszenie, żeby zgłosił się cały tłum kompletnie nieodpowiednich kandydatów, których Julian racjonuje sobie po dwoje dziennie.

A po zamknięciu księgarni idzie na przechadzkę. Poranny bieg to coś dla ciała, wieczorne spacery – dla duszy. Już w dniu, kiedy kupił antykwariat, obiecywał sobie solennie, że postara się przemierzyć wszystkie ulice swej nowej małej ojczyzny. Nie tylko te, które tak kochają letni turyści, nie tylko te, przy których wznosi się nad miasteczkiem romański kościół z cegły i krzemienia, z dzwonnicą już od lat tysiąca służącą naszym godnym mieszczanom za punkt obserwacyjny, a naszym dzielnym marynarzom za drogowskaz – jeśli wierzyć zeszłorocznemu przewodnikowi turystycznemu, przecenionemu na 5,96 funta, nim w końcu ukaże się długo oczekiwane nowe wydanie. Nie tylko te wiktoriańskie hoteliki w pastelowych barwach, staroświeckie pensjonaty czy stateczne edwardiańskie wille wzdłuż wybrzeża. Nie, Julian chce poznać prawdziwe ulice, robotnicze bloki i wąskie zaułki rybaków ciągnące się jak od linijki od drzewiastego wzgórza po żwirową plażę.

I teraz wreszcie, gdy remont księgarni jest właściwie na ukończeniu, bo na koniec zostawił sobie już tylko montaż regałów w piwnicy, ma dość czasu, by niczym odkrywca badać miejskie krajobrazy z dawno powstrzymywaną energią kogoś, kto aż do bólu pragnie poszerzyć swą wiedzę o nowe horyzonty i zapomnieć o starych. Nie dla niego już klimatyzowane siłownie, solaria i sauny. Nie dla niego alkoholowe celebracje jeszcze jednej podejrzanej i społecznie bezużytecznej transakcji finansowej i związanych z nimi jednonocnych przygód erotycznych. Umarł londyńczyk, niech żyje małomiasteczkowy księgarz i kawaler z poczuciem misji.

Oczywiście to prawda, że gdy od czasu do czasu napotka wzrok tej czy innej pięknej nieznajomej, natychmiast opadają go wspomnienia najbardziej wstydliwych ekscesów, z których spowiada się teraz zacnym mieszczańskim domom migotającym ekranami telewizorów

przez koronkowe firanki. Ale wystarczy, że skręci za róg, że przejdzie na drugą stronę ulicy, by uspokoić własne sumienie. Owszem, byłem taki, a nawet jeszcze gorszy. Ale teraz jestem lepszym człowiekiem. Porzuciłem brzęczące złoto dla zapachu starego papieru. Zacząłem życie godne tego miana – a to dopiero początek.

Jeden tylko Matthew, dwudziestodwuletni bezrobotny scenograf teatralny, którego przyjął do pracy w chwili słabości, ośmiela się kwestionować jego zapał. Matthew, uniósłszy głowę znad komputera na zapleczu i zobaczywszy Juliana w pełnym rynsztunku – buty turystyczne, peleryna, nieprzemakalny kapelusz – patrzy przez okno na ten sam ulewny deszcz, który przez cały dzień szaleje na ulicy, i wydaje okrzyk całkiem szczerej rozpaczy:

– Julian, ty chyba nie wybierasz się na dwór w taką pogodę? Zaziębisz się na śmierć. – I nie otrzymawszy innej odpowiedzi prócz pobłażliwego uśmiechu pracodawcy, dodaje: – Za jakie straszne grzechy chcesz się sam tak pokarać? Strach myśleć.

*

Nic więc dziwnego, że w trakcie tych nocnych wędrówek często – częściej, niż chciałby się do tego przyznać – niby przypadkiem wspina się na zalesione wzgórze na końcu miasteczka i wymija błotniste kałuże na uliczce prowadzącej wzdłuż kamiennego muru nieczynnej szkoły, skąd po zejściu w dół trafia przed kutą w żelazie bramę z dumnym napisem SILVERVIEW. W mroku wybrukowanego podjazdu stoją trzy samochody: stary land rover, volkswagen garbus i mikrobus z oznaczeniami miejscowego szpitala.

Poniżej domu ogród schodzi do morza dwoma tarasami. Czyżby harmonia w małżeństwie została przywrócona? Wpatrując się w Silverview, usiłuje z całych sił uwierzyć, że to prawda, że sensacje Adrianny i jej Krzysia były wyssane z palca. Może właśnie teraz Edward wiernie klęczy przy łożu Deborah, tak jak kiedyś Julian klęczał przy swej matce w tym strasznym domu opieki, śmierdzącym nieświeżym jedzeniem i starością, o korytarzach pełnych zgiełku rozklekotanych wózków i pogawędek marnie opłacanych pielęgniarek?

Po jakimś czasie odkrył jeszcze jeden punkt z dobrym widokiem na dom – nawet lepszy, chyba że ktoś nie chciał zakradać się na teren prywatny, ale Julianowi to wcale nie przeszkadzało. Wystarczyło zejść ze wzgórza do nowego ośrodka zdrowia, pokonać znajdujący się na jego tyłach parking, zignorować tabliczkę z histerycznym zapewnieniem, że pójście dalej może skończyć się śmiercią lub kalectwem, wczołgać się pod drucianym ogrodzeniem, wspiąć na kamienny wzgórek przy stacji transformatorowej, by oczom ukazał się widok tego samego, spoglądającego może z pewną dezaprobatą domu z czworgiem przeszklonych drzwi prowadzących na taras, starannie zasłoniętych tak, że z każdej strony widać było tylko wąskie pasemka światła, i piątym oknem, może w kuchni. Na pierwszym piętrze kolejny rząd okien, z których oświetlone były tylko dwa skrajne, oddalone od siebie najdalej, jak tylko można.

I może właśnie w jednym z tych okien Julianowi rzeczywiście udało się dostrzec samotny cień siwowłosego Edwarda Avona chodzącego tam i z powrotem po pokoju. I może tak bardzo pragnął znów się z nim zobaczyć, że już nazajutrz, po przedpołudniu poświęconym na roztaczanie wspaniałych wizji festiwalu artystycznego przed niezbyt entuzjastycznie do tego nastawioną radą miejską, kogóż to widzi wieczorem na progu księgarni tuż przed zamknięciem? Któż to prosi, aby go nie wyganiać? Ni mniej, ni więcej tylko sam Edward Avon w kapeluszu i beżowym prochowcu.

– Julianie, może przychodzę nie w porę? Czy miałbyś dla mnie chwilkę?

– Tyle chwilek, ile zechcesz – woła ze śmiechem Julian i podobnie jak przy poprzednim spotkaniu krzywi się z bólu z powodu nieoczekiwanie silnego uścisku dłoni.

Ale skutecznie opiera się pokusie, by natychmiast zaciągnąć Edwarda do pustej piwnicy. Najpierw musi wyjaśnić z nim pewną sprawę. Do tego znacznie lepiej nadaje się nowo otwarty bar kawowy.

*

Bar kawowy Guliwer jest sposobem Juliana na przyciągnięcie czytających mam i ich potomstwa. Ukrywa się u szczytu czarodziejskich schodów zaludnionych przez elfy i krasnoludki w szpiczastych czerwonych czapeczkach. Na ścianie dobroduszny Guliwer rozdaje książki małym ludzikom. Na łatwo zmywalnej wykładzinie stoją plastikowe krzesła, stoliki i regały w rozmiarze dziecięcym. Za kawiarnianą ladą wzdłuż całej ściany biegnie różowe lustro, również w motywach Guliwerowych.

Julian zaparza dwa podwójne espresso w nowym ekspresie do kawy. Edward wyciąga piersiówkę z bocznej kieszeni płaszcza i dolewa szkockiej do obu filiżanek. Czy ten tak czujny człowiek wyczuwa w powietrzu pewne napięcie? Bo Julian zdążył już mu się przyjrzeć w świetle lamp u sufitu. Edward się zmienił, czego zresztą można się spodziewać po kimś, komu umiera żona: spojrzenie ma teraz bardziej zamyślone, szczęka jest silniej zarysowana, przez co wyraz całej twarzy stał się bardziej zdecydowany, siwe włosy jakby poddały się pewnej dyscyplinie. Tylko zaraźliwy uśmiech jest tak samo rozbrajający jak poprzednio.

– Najpierw, jeśli łaska, musimy wyjaśnić sobie jedną sprawę – zaczyna Julian i pozwala, by w jego głosie zabrzmiały na chwilę poważniejsze, ostrzegawcze nutki. – Chodzi o twoje związki z moim świętej pamięci ojcem.

– Ale oczywiście! Ze wszech miar, mój drogi. Masz do tego pełne prawo.

– Chodzi mi tylko o to, że powiedziałeś, o ile dobrze pamiętam, że kiedy przeczytałeś w angielskiej prasie o skandalu z jego udziałem, o wywłóczeniu go z kapłaństwa i tak dalej, napisałeś do niego miły list, proponując pomoc pieniężną, duchową, no, po prostu każdą pomoc.

– Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie – odpowiada z powagą Edward, popijając wzmocnioną kawę naprzeciw różowego lustra.

– Bardzo pięknie. Tylko widzisz, po jego śmierci przeglądnąłem całą korespondencję. Tata był chomikiem. Nigdy niczego nie wyrzucał.

– I nie znalazłeś listu ode mnie? – Na ruchliwej jak żywe srebro twarzy Edwarda pojawia się wyraz autentycznego niepokoju.

– Inaczej. Był tam taki jeden list, którego w żaden sposób nie mogłem sobie wytłumaczyć – przyznaje Julian. – Na kopercie był angielski znaczek, stempel poczty z Whitehall. A w środku list napisany odręcznie… Szczerze mówiąc, nabazgrany jak kura pazurem… Na papierze listowym brytyjskiej ambasady w Belgradzie. I rzeczywiście była to propozycja pieniężnego wsparcia i pomocy. Podpisane: Faust.

Twarz Edwarda w lustrze na ułamek sekundy zamiera z niepokoju, ale zaraz rozjaśnia się wesołym uśmiechem. Mimo to Julian brnie dalej:

– I wiesz co? Odpisałem na niego. „Szanowny Panie/Szanowna Pani Faust, bardzo dziękuję za list. Z przykrością zawiadamiam, że ojciec nie żyje". A potem, po trzech miesiącach, dostałem swoją odpowiedź z powrotem z opryskliwym dopiskiem, że u nich nie ma i nigdy nie było ani pana Fausta, ani pani Faust. – Kończy i widzi, że twarz Edwarda jeszcze szerzej uśmiecha się do niego z lustra.

– Bo to ja jestem Faust – oświadcza. – Kiedy przybyłem do naszej okropnej szkoły, z racji cudzoziemskiego wyglądu i posępnego nastroju zostałem natychmiast przezwany przez kolegów Faustem. Wcale się im nie dziwię. Kiedy postanowiłem napisać do H.K., by go pocieszyć w strapieniu, miałem nadzieję, że przezwisko starego druha sprawi mu przyjemność. Niestety, łudziłem się na próżno, jak widać.

Ulga, jaka ogarnia Juliana na tę wiadomość, jest jeszcze większa, niż się spodziewał. Edward nie może tego nie zauważyć. Ich rozweselone oczy spotykają się w lustrze.

– Tylko co ty, na Boga, robiłeś wtedy w Belgradzie? – Julian nie może się nadziwić. – Przecież to było chyba w samym środku wojny w Bośni i Hercegowinie.

Edward trochę dłużej zbiera się z odpowiedzią, niż oczekiwał Julian. Na jego twarzy pojawia się cień, a on sam zaczyna skubać wargę, jakby zatopił się we wspomnieniach.

– No cóż, mój drogi, co można robić, kiedy jest wojna? – pyta jak każdy rozsądny człowiek. – Oczywiście tylko jedno: starać się ją

powstrzymać.

– Chodź, zobaczymy, jak się urządziłem na dole – proponuje Julian.

*

Stoją teraz ramię w ramię w milczeniu, obaj pogrążeni w myślach. Grzyb został zlikwidowany. Według architekta piwnica jest teraz jedną wielką suszarnią. Republiki Literatury nie pożrą już mole książkowe.

– Fantastyczne – mówi nabożnie Edward. – Widzę, że i ściany przemalowałeś.

– Biel jest trochę zbyt jaskrawa. Nie uważasz?

– Czy to klimatyzacja?

– Wentylacja.

– Nowe gniazdka? – pyta dalej Edward, nawet nie usiłując ukryć niepokoju.

– Kazałem zrobić je wszędzie. Im więcej, tym lepiej.

– A ten zapach?

– Za dwa dni już go nie będzie. Mam też próbki półek. Zobacz, jeśli jesteś ciekawy.

– Jestem, jestem. Ale najpierw muszę ci coś powiedzieć. Jak wiesz, choć z grzeczności tego nie mówisz, moja droga żona Deborah cierpi na nieuleczalną chorobę i wkrótce odejdzie z tego świata.

– Rzeczywiście wiem, Edwardzie. Bardzo mi przykro i jeśli tylko mogę w czymś pomóc…

– Już mi pomogłeś, i to bardziej, niż sobie wyobrażasz. Od kiedy wpadłeś na pomysł stworzenia ogólnodostępnej biblioteki z klasyką i poprosiłeś mnie o pomoc, to było dla mnie wielkim wsparciem.

– Ja wpadłem na ten pomysł?

Jeszcze przed swoją ostatnią wypowiedzią Edward wydobył z głębi płaszcza złożony wzdłuż stos kartek papieru kancelaryjnego chroniony przed deszczem plastikową kopertą.

– Pozwolisz? – pyta.

Nowe lampy w piwnicy bardzo przydają się Julianowi, gdy z rosnącym entuzjazmem czyta listę około sześciuset tytułów wraz

z nazwiskami autorów – co prawda tylko niektóre cokolwiek mu mówią – wykaligrafowanych wzruszająco cudzoziemskim pismem. Edward na ten czas odwrócił się dyskretnie i poświęcił oględzinom gniazdek elektrycznych.

– Czy uważasz, że moje propozycje to dobra podstawa dla naszych wspólnych działań?

– Dobra? Świetna, Edwardzie! Fantastyczna. Naprawdę bardzo ci dziękuję. To kiedy zaczynamy?

– Niczego ważnego nie przeoczyłem?

– Nic nie przychodzi mi głowy.

– O niektóre z tych pozycji może być trudno. Nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek zdobyli je wszystkie, ale taka już jest natura zrodzonego w twojej głowie pomysłu. Nam chodzi o dyskurs między książkami, nie o muzeum.

– Lista jest doskonała.

– Co za ulga! A czy ta godzina będzie ci odpowiadała? Bo pod wieczór moja żona zawsze odpoczywa…

*

Od tej pory wszystko zaczęło się toczyć zgodnie ze stałym rytmem. Gdy pod wieczór Matthew wyprowadzał rower na ulicę i wesoło żegnał się z Julianem, Edward wślizgiwał się przez drzwi księgarni. Nigdy nie można było przewidzieć, w jakim przyjdzie nastroju. Czasem miał tak zgnębioną minę, że Julian natychmiast brał go na górę do Guliwera, gdzie specjalnie na takie okazje trzymał pod kluczem butelkę szkockiej. Czasem Edward miał tylko parę minut i zaraz uciekał, a czasem siedział kilka godzin.

Wyczulony słuch Juliana pozwalał mu się zorientować, że wraz ze zmianami nastroju Edwarda zmienia się też jego angielszczyzna: raz była dźwięczna, raz niepewna, raz miała wyraźny obcy akcent, raz wręcz arystokratyczny. Obserwując te zmiany tożsamości, Julian nie mógł nie zastanawiać się, ile było w tym gry, a ile prawdy. Gdzie on się nauczył tych wszystkich różnych głosów? Kogo udawał, gdy nimi mówił? Ale Julian nie chciał go krytykować. Za pomoc i serce okazane jego ojcu chciał odpłacić tym samym komuś, kto cierpiał.

A zysk mój jest taki – jak pomyślałby typowy cwaniak z City, którym kiedyś był – że mam za darmo doradcę i nauczyciela. Czego chcieć więcej?

Ale zyskiwał jeszcze trochę więcej, bo pierwszy raz w życiu słyszał od kogoś innego dobre rzeczy o swoim ojcu. Edward opowiadał, jaki dzielny był za młodu H.K., jakie miał dobre serce i jakie zdobył uznanie, organizując w szkole agitację przeciwko wojnie w Wietnamie.

– A najlepsze, że on właściwie do końca nie wydoroślał – oznajmił raz Edward nad tradycyjnym już wzmocnionym espresso. – H.K. nie zabił w sobie dziecka. Szkoda, że inni tak nie umieją.

– A ty umiesz? – zapytał Julian i zaraz się zawstydził swej śmiałości. – Czy też raz zostawszy Patrycjuszem, zawsze byłeś Patrycjuszem?

Czy nie przesadził? Wyrazista twarz Edwarda pogrążyła się w mrocznej melancholii – ale zaraz rozjaśniła się w promiennym uśmiechu. Zachęcony tym Julian postanowił zaryzykować:

– Bo nie wiem o tobie wiele, ale mam wrażenie, że jesteś znacznie bardziej dorosły, niż kiedykolwiek był mój ojciec, który jakby nigdy nie dorósł. Poszedł do Oksfordu i dostał fioła na punkcie Jezusa. A ty? Dokąd ty poszedłeś? Bo chyba sam mówiłeś, że jesteś jednym z tych ludzi, którzy robią nie wiadomo co.

W pierwszej chwili Edward bynajmniej nie był zachwycony tym cytatem z samego siebie.

– Chcesz poznać mój rodowód? O to ci chodzi? – I zanim Julian zdążył zaprotestować, podjął: – Za stary jestem, żeby cię okłamywać, Julianie. Mój kochany ojciec był niezbyt utalentowanym, za to bardzo sympatycznym handlarzem sztuki. Uciekł z Wiednia, kiedy właściwie było już na to za późno, i co zawsze powtarzam, nigdy nie wyzbył się wdzięczności dla Anglii. Ja też nie.

– Edwardzie, naprawdę nie chciałem…

– Gdy mój naturalny ojciec umarł przedwcześnie, czyli podobnie jak twój, moja matka związała się z równie sympatycznym skrzypkiem, utalentowanym co prawda, ale bez grosza przy duszy, i wyjechali razem do Paryża, gdzie żyli w pełnym godności ubóstwie. Mój ojciec zupełnie niepotrzebnie życzył sobie, bym dokończył

studia w Anglii. Udało mu się nawet odłożyć trochę pieniędzy na ten straszliwy cel. Czy już wystarczy ci tych informacji, czy muszę nadal się tłumaczyć?

– Absolutnie wystarczy, naprawdę nie chciałem… – Ale w tej samej chwili w głowie zakołatała mu zupełnie inna myśl. Ja znam ten ton, bo sam go czasem używam. Ja też od czasu do czasu wymyślałem moim rodzicom nowe scenariusze.

Na szczęście Edward postanowił zmienić temat.

– Powiedz mi jedno, Julianie. Ten twój Matthew… Czy masz o nim dobrą opinię?

– Jak najbardziej. Chce u mnie przeczekać do lata, kiedy zaczną działać teatry. Ma nadzieję, że gdzieś się przyda, a ja, że wcale nie.

– Czy można liczyć na niego, że czasem cię zastąpi?

– Pewnie, od czasu do czasu. A co?

Edward pytał chyba z czystej ciekawości, bo teraz już nie odpowiedział. Zamiast tego zainteresował się, czy Julian nie miałby jednego wolnego komputera. Julian miał nawet więcej niż jeden. A w takim razie może to całkiem rozsądny pomysł, by Republika miała własny adres e-mailowy, skoro to Edward ma prowadzić poszukiwania rzadkich i niewydawanych już książek? Julian chętnie zaaprobował oba te pomysły.

– Oczywiście, Edwardzie, żaden problem. Zaraz się tym zajmę.

I już następnego wieczora Edward miał swój komputer, Republika – własny e-mail, a Julian uświadomił sobie, że tym samym został właśnie następcą Celii.

Ale w jaki sposób następcą? Podczas swoich dni w City przyzwyczaił się do tego, że ktoś go wykorzystywał, a on wykorzystywał innych. I że ludzie mówili jedno, a robili coś zupełnie innego. Skoro mowa o Celii, myślał sobie, to może Edward potrzebuje komputera, by za jej plecami samodzielnie opchnąć gdzieś swoją wielką kolekcję porcelany? Jeżeli tak się stanie, zaraz jej o tym doniesie.

I z tego powodu czasem zakrada się do piwnicy i zagląda do maszyny Edwarda. Ale znajduje tylko ślady korespondencji z wydawcami i antykwariatami, prośby o katalogi rzadkich i niedostępnych książek. Nigdzie ani słowa o bezcennej porcelanie

z epoki Ming – ani w „Wysłanych”, ani w „Koszu”. A tymczasem do piwnicy zaczynają powoli spływać – po jednej, po dwie – książki zawierające myśli wielkich kobiet i mężczyzn.

– Julianie, drogi przyjacielu.

– Słucham, Edwardzie.

Okazuje się, że rozmowa będzie dotyczyć mieszkania Juliana w Londynie. Czy Julian czasem z niego korzysta? Nie korzysta, ale może Edward… Ach, nie, mój drogi, te dni mam już za sobą, Bogu niech będą dzięki. Ale czy sam Julian nie wybiera się tam w ciągu paru najbliższych dni?

Julian się nie wybiera. Ale nie przejmuj się, pretekst jakiś się znajdzie, bo jak nie trzeba pogadać z adwokatem, to może z księgowym, bo wiecznie są jakieś zaszłości…

W takim razie czy byłby to straszny kłopot, gdyby Edward poprosił Juliana o załatwienie pewnej drobnej sprawy w Londynie?

Wręcz przeciwnie, zapewnia Julian.

Czy zatem Julian orientuje się może, kiedy wspomniane przez niego zaszłości mogą wymagać jego obecności w stolicy – tym bardziej że sprawa, która zaprząta uwagę Edwarda, jest całkiem pilna, by nie rzec: nagląca.

– Jeżeli sprawa jest nagląca i zaprząta twoją uwagę, to mogę jechać choćby jutro – odpowiada uprzejmie Julian.

– Czy mogę też domniemywać, że nie jesteś człowiekiem bez doświadczenia w dziedzinie miłości?

– Możesz domniemywać, Edwardzie, jeśli tylko chcesz – zapewnia Julian z nieco niepewnym śmiechem i z trudem skrywaną ciekawością.

– A gdybym ci się przyznał, że przez wiele lat bez wiedzy mojej żony utrzymywałem stosunki z inną osobą płci żeńskiej? Czy byłbyś tym oburzony?

Kto to mówi: stary druh H.K. czy świętej pamięci H.K. we własnej osobie?

– Nie, Edwardzie, nie byłbym oburzony. – Byle tylko nie chciał wszystkiego ze szczegółami opowiedzieć.

– A gdyby uprzejmość, o którą cię proszę, polegała na przekazaniu tej osobie poufnej wiadomości ode mnie, to czy mógłbym liczyć na

twoją absolutną i stałą dyskrecję niezależnie od wszelkich okoliczności?

Edward mógłby liczyć. I najwyraźniej liczy, bo natychmiast przystępuje do przekazania Julianowi instrukcji, których precyzja wręcz zapiera dech w piersi:

– Kino Everyman naprzeciw stacji metra Belsize Park… Egzemplarz *Pierścieni Saturna* Sebalda jako znak rozpoznawczy… Po prawej stronie będą dwa białe plastikowe krzesła… Jeżeli będą zajęte, można też usiąść w głębi przedsionka… Jeżeli z jakiegoś powodu kino będzie nieczynne, idź do sąsiedniej francuskiej restauracji, o tej porze jest tam pusto… Usiądź przy oknie i upewnij się, że Sebald jest dobrze widoczny.

– A jak ją rozpoznam? – pyta Julian, który teraz już nie posiada się z ciekawości.

– Wcale nie musisz jej rozpoznać, Julianie. To ona zobaczy Sebalda i podejdzie do ciebie. Wtedy całkiem otwarcie wręczysz jej list i pójdziesz sobie.

Julianowi przychodzi na pomoc poczucie, że to jakiś absurd.

– A jak mam ją nazywać? Mary?

– Świetnie, może być Mary – odpowiada poważnie Edward.

*

Czy Julian w ogóle spał tej nocy? Prawie nie zmrużył oka. Czy zadawał sobie pytanie, w co dał się wplątać, na miłość boską? Zadawał – wielokrotnie. Czy nie miał ochoty zatelefonować do Edwarda i powiedzieć mu, że jednak nie pojedzie? Ani przez chwilę. Albo zatelefonować do kogoś innego, poradzić się? Ależ skąd! Przecież na szafce nocnej leżała starannie zaklejona koperta z listem Edwarda, któremu na wszystkie świętości przysiągł, że ją dostarczy!

Wstał wcześnie, nałożył swój najlepszy codzienny strój. Jaki zresztą strój obowiązuje dbającego o swą powierzchowność mężczyznę, który udaje się na randkę w ciemno z kochanką przyjaciela ojca w kinie Everyman naprzeciw stacji metra Belsize Park? Z kopertą od Edwarda w kieszeni i z *Pierścieniami Saturna* w miękkiej oprawie w aktówce udało mu się wcisnąć do zatłoczonego

pociągu z Ipswich na dworzec Liverpool Street. Dalej pojechał metrem do Belsize Park, gdzie punktualnie o oznaczonej godzinie zajął pozycję na białym plastikowym krześle w pustym przedsionku kina Everyman, trzymając przed sobą otwarty egzemplarz Sebalda.

I zaraz pojawiła się osoba, która zapewne była ową Mary – pchnęła szklane drzwi i skierowała się wprost do niego. I pierwszą i całkowicie oczywistą rzeczą, jaką można było o niej powiedzieć, było to, że nie chodziło o jakąś przelotną znajomość Edwarda. Mary była kobietą nie pierwszej młodości, ale z wielkim poczuciem stylu i z wielką pewnością siebie.

Na jej widok wstał i ruszył w jej stronę z Sebaldem w lewej ręce. Prawą uniósł ku kieszeni płóciennej marynarki, by wyjąć niezaadresowaną kopertę od Edwarda, ale powstrzymał się w pół gestu, bo musiał poczekać, aż Mary coś powie. Oczy piwne, starannie podkreślone. Skóra jedwabista, koloru oliwkowego. Wiek niemożliwy do ustalenia – między czterdzieści pięć a sześćdziesiąt pięć lat. Niemal niezauważalny makijaż, strój biznesowy, lecz nie do końca konwencjonalny: bardzo elegancka długa spódnica, za to z głębokimi praktycznymi kieszeniami. Wcale by się nie zdziwił, gdyby się okazało, że wyszła właśnie z ważnej konferencji gdzieś w City. Czeka, by się odezwała. Mary się nie odzywa.

– Wydaje mi się, że mam list właśnie dla pani – mówi wreszcie Julian.

Mary zastanawia się na tym. I nad samym Julianem. Wpatruje się w niego, nie odrywając odeń wzroku.

– Jeżeli czytuje pan Sebalda i jest pan od Edwarda, to rzeczywiście ma pan dla mnie list – przyznaje.

Czy ona się uśmiecha? A jeśli tak, czy jest to uśmiech do Juliana, czy raczej kosztem Juliana? Akcent ma jakby francuski. Wyciąga rękę. Na serdecznym palcu pierścionek z szafirem, lakieru do paznokci brak.

– Czy mam to przeczytać na miejscu?

– Edward nic na ten temat nie mówił. Może na wszelki wypadek niech pani przeczyta.

– Na wszelki wypadek? – powtarza z pewną dezaprobatą.

– Możemy pójść tu obok na kawę, jeśli pani woli. Żeby tutaj nie stać. – To ze strony Juliana rozpaczliwa próba przedłużenia rozmowy.

Edward był doskonale zorientowany – francuska restauracja rzeczywiście jest pusta o tej porze. Julian wybiera stolik na cztery osoby. Mary prosi o wodę z lodem, najlepiej Badoit. Julian zamawia dużą butelkę, dwie szklanki, osobno lód i osobno cytrynę. Mary bierze nóż ze stołu, rozcina kopertę. W środku zwykły biały papier formatu A4 zapisany z obu stron odręcznie przez Edwarda. Na pierwszy rzut oka jest tego pięć kartek.

Mary trzyma list z boku, by Julian nie mógł do niego zajrzeć. Rękaw lekko zsunął się jej z prawej ręki. Na oliwkowej skórze wyraźna blizna – długa, biała, nierówna. Samookaleczenie? Niemożliwe, to nie ten typ kobiety.

Składa kartki i z powrotem wsuwa je do koperty. Otwiera oba G w swej torebce od Gucciego, umieszcza w niej list i zatrzaskuje zamek. Jej dłonie są tym piękniejsze, że spracowane.

– Jaka ja jestem niemądra – mówi Mary. – Nie mam przy sobie papieru listowego.

Julian szuka pomocy u kelnerki, ale ona też nie ma papieru. Przypomina sobie, że parę domów dalej widział mały sklep papierniczy. Czy poczeka pani na mnie? Cóż to za pytanie? A co innego miałaby zrobić?

– Przydałaby się też koperta – mówi Mary.

– Oczywiście.

Pędzi chodnikiem na złamanie karku, lecz potem i tak musi odstać swoje w kolejce do kasy. Gdy wraca, Mary siedzi dokładnie tam, gdzie ją zostawił, popija wodę z lodem i obserwuje drzwi. Papeteria Basildon Bond w kolorze niebieskim, do tego opakowanie pasujących kolorem kopert. To dla pani.

– Widzę, że kupił pan też taśmę klejącą. Mam nią zakleić kopertę?

– Po to ją kupiłem.

– Nie mogę panu ufać?

– Edward swoją zakleił.

Chciałaby się uśmiechnąć, ale zbyt jest zajęta pisaniem i osłanianiem pisma dłonią, choć Julian ostentacyjnie odwraca

wzrok.

– Przepraszam, jak panu na imię?

– Julian.

– On też zna pana pod tym imieniem? – Głowa spuszczona, Mary wciąż pisze.

– Tak.

– Kiedy to dostanie?

– Jutro wieczorem. Kiedy przyjdzie do mnie do księgarni.

– To pan ma księgarnię?

– Tak.

– A jak on się ma? – Wciąż pisze.

O co jej chodzi: czy o to, jak Edward się trzyma, gdy jego żona umiera? Czy Mary wie, że jego żona umiera? Czy też, jak podejrzewa Julian, chodzi jej o coś zupełnie innego?

– Ma się całkiem nieźle, jak na to, że… – No właśnie: na co?

– Kiedy będzie pan miał okazję porozmawiać z nim na osobności?

– Jutro.

– Czy nie uraziłam pana?

– Czym? Ależ skąd. Wcale nie.

Dopiero teraz się orientuje, że chodzi jej o taśmę klejącą. Silna dłoń odmierza odpowiedni kawałek taśmy i zakleja kopertę.

– Kiedy będzie pan z nim rozmawiał, proszę mu powiedzieć, co pan widział. Czuję się dobrze, jestem opanowana, znalazłam spokój. Chyba takie sprawiłam na panu wrażenie, prawda?

– Tak.

Wręcza mu kopertę.

– W takim razie proszę mnie opisać taką, jaką mnie pan widział. Jemu bardzo na tym zależy.

Mary wstaje. Julian odprowadza ją aż do drzwi. Mary się odwraca, kładzie dłoń na jego ramieniu i przelotnie muska jego policzek swoim. Z odsłonionego karku unosi się zapach perfum. Gdy Mary wychodzi na ulicę, Julian zauważa, że czeka na nią peugeot z szoferem. Kiedy kierowca pośpiesznie podbiega do tylnych drzwi, by je przed nią otworzyć, sprytny biznesmen z City zapisuje numer rejestracyjny w kalendarzyku i jedzie metrem na dworzec Liverpool Street.

*

Julian dotarł przed drzwi księgarni o jedenastej wieczorem i chyba nigdy w życiu nie był bardziej zmęczony. Nic dziwnego, że dopiero po chwili uświadomił sobie, że tym, co tkwi na szybie, jest zupełnie inna koperta, z przyczepioną karteczką zapisaną pismem Matthew: JAKAŚ PANI PRZYNIOSŁA TO DLA CIEBIE!!

Z głębokim przeświadczeniem, że ma na dzisiaj serdecznie dość tajemniczych listów, Julian otworzył kopertę.

Drogi Julianie (wybacz, że od razy przejdę z Tobą na Ty),
słyszałam o Tobie tyle dobrych rzeczy. Jakie to ciekawe, że mój mąż chodził z Twoim Ojcem do tej samej szkoły! I jak to miło z Twojej strony, że dałeś mu zajęcie, którego bardzo teraz potrzebuje. Jak może wiesz, od dziesięciu lat pełnię po moim Ojcu obowiązki patronki naszej wspaniałej miejscowej biblioteki, na której Ojcu zawsze bardzo zależało i w której zarządzie, jak się okazuje, zasiadasz z urzędu. Czy z tych wszystkich powodów mogłabym zaprosić Cię do mnie na skromną kolację?

Ostatnio nie czuję się zbyt dobrze, więc wybacz, że nie będzie to wystawne przyjęcie. Obecnie każdy wieczór mamy wolny, przyjdź zatem w pierwszy odpowiadający Ci dzień.

Z poważaniem

Deborah Avon

– Jaka pani to wczoraj przyniosła? – zapytał Julian następnego dnia Matthew natychmiast po otwarciu księgarni.

– Była w tandetnej brązowej budrysówce, ale miała prześliczne oczy.

– Wiek?

– W twoim wieku. Oglądałeś wczoraj *Doktora Żywago*?

– Nie, nie oglądałem.

– Miała na głowie taką samą chustkę jak Lara. No mówię ci, identyczną. Myślałem, że padnę.

7

– Stewart, kochany! Jak to miło! I co za niespodzianka! Ach, nie trzeba było… – wołała z progu Joan, przyjmując jednak w darze od gościa dwie butelki czerwonego burgunda.

Patrząc przedtem na mapę, Proctor wyobrażał sobie czarującą, typową dla hrabstwa Somerset chatkę spowitą powojem, dlatego nie wierzył własnym oczom, gdy wysiadł z taksówki i zobaczył krzykliwy, kryty zieloną dachówką bungalow, który niewątpliwie co starszym mieszkańcom wsi kazał rwać włosy z głowy.

– Stewart, stary! Dobrze cię widzieć, niech cię diabli. Czyli co, ty dalej w kieracie? Szczęściarz z ciebie! – wołał z kolei rubaszny Philip, jowialny Anglik z krwi i kości o pięknej, niemal w ogóle nieprzyprószonej siwizną głowie, wsparty na jesionowej lasce, uśmiechający się przyjaźnie zza ramienia Joan. Zaraz przykuśtykał bliżej, by przywitać się męskim uściskiem dłoni.

Ale Proctor zauważył, że przyjazny uśmiech jest nieco zbyt nieruchomy, a powieka z jednej strony twarzy się nie domyka.

– Tak, tak, widzę, że zauważyłeś – mrukliwie przyznał Philip, bezbłędnie zgadując myśli Proctora. – Trochę mnie sponiewierało, co, Joan? Już nigdy nie będę nadawał na naszą państwową służbę zdrowia. Zachowali się świetnie od początku do końca.

– Szczególnie pielęgniarki! Wszystkie robiły do ciebie słodkie oczy. Bezczelne! – dopowiedziała Joan z zapałem. – Myślę, że właśnie to najszybciej postawiło go na nogi. Powiedzmy sobie szczerze, kochanie, przecież do szpitala przewieźli cię prawie bez ducha. – Wspólny śmiech. – A potem myślałam, że mi się tu przekręci. On przecież tak uwielbiał Loganberry Cottage! Po prostu tak na szybko nie mogłam znaleźć żadnego innego parterowego domu. Ale on jest teraz w siódmym niebie. Raz w tygodniu przychodzi prześliczna fizjoterapeutka, a jemu całkiem spodobało się życie na przedmieściu. Jeszcze trochę i będziesz mnie męczył o krasnale ogrodowe, co?

– Byle ślicznie pomalowane – powiedział Philip ku wspólnej radości.

Czy to naprawdę ta sama idealna wspaniała para, którą Proctor pamiętał sprzed dwudziestu pięciu lat? Philip po wylewie zgięty nad laską i Joan, niezgrabna baba w spodniach na gumce i bawełnianej koszulce z panoramą starego Wiednia na olbrzymim biuście? Bo Proctor pamiętał ją jako nieprawdopodobnie atrakcyjną dyrektorkę operacji lewantyńskich, której mąż, Philip, palił fajkę i prowadził wschodnioeuropejskie siatki Firmy z placówki niedaleko Lambeth Palace. Mówiło się, że to najlepsze i najbystrzejsze małżeństwo w Firmie. A kiedy na początku wojny w Bośni i Hercegowinie Philip dostał rozbudowaną placówkę w Belgradzie i zastępcę w osobie własnej żony, oklaski rozległy się w całej kwaterze głównej od poddasza po piwnicę, gdzie siedziały finanse i księgowość.

W połączonej z salonem jadalni, której wielkie okno wychodziło na maleńki ogród warzywny i dalej na średniowieczny kościółek, do którego Joan dostarczała kwiaty dwa razy w miesiącu, raczyli się wołowiną po burgundzku jej roboty, ziemniakami, za które odpowiadał Philip, oraz burgundem od Proctora i wesoło omawiali sytuację Anglii – fatalna – i Afganistanu – beznadziejna, trzeba się stamtąd wynieść za wszelką cenę – oraz niezwykłą inteligencję ich labradorki nazwanej Chapman – nie wiadomo, czy na cześć sławnego tłumacza Homera, czy niemal jeszcze sławniejszego podwójnego agenta.

I choć wcale się tak nie umawiali, sprawą, która sprowadziła do nich Stewarta, uznali za stosowne się zająć, dopiero gdy zasiedli nad kawą i koniakiem w maleńkim zimowym ogrodzie. Bo w pewnym wieku wszyscy zawodowi pracownicy wywiadu wiedzą doskonale, że jeżeli o pewnych rzeczach trzeba w ogóle porozmawiać, to najlepiej w pustym pomieszczeniu bez ścianek działowych i bez żyrandoli.

Joanna na tę rozmowę nałożyła staroświeckie okulary w ciężkiej oprawie i zasiadła jak na tronie w wysokim ratanowym fotelu, którego oparcie tworzyło za jej głową rodzaj aureoli. Philip rozsiadł się na rzeźbionej indyjskiej skrzyni pokrytej mnóstwem poduszek, brodę opierał na trzymanej oburącz lasce, a u jego obutych w miękkie pantofle stóp wyciągnęła się Chapman. Na rozkaz Joan

Proctor zajął bujany fotel – tylko uważaj, nie odchylaj się za bardzo do tyłu.

– Czyli teraz to ty jesteś od historii – zauważyła, nawiązując do skąpych informacji, które Proctor przekazał jej wcześniej przez telefon.

– No rzeczywiście – zgodził się ochoczo Proctor, robiąc dobrą minę do złej gry. – Muszę się przyznać, że jak mnie wezwali, byłem pewny, że ze mną koniec. A zamiast tego zaproponowali mi tę całkiem interesującą pracę. Bylebym tylko trzymał się z daleka od kwatery głównej.

– No, to ci się udało – mruknął Philip.

– I co masz robić? – zapytała Joan.

– Mam robić za piąte koło u wozu w dziale szkolenia – wyjaśnił Proctor. – Podstawowe zadanie: przygotowywać odpowiednio ocenzurowane opisy przypadków jako materiał szkoleniowy dla nowych pracowników. Pod wspólnym tytułem „Agent w terenie". Częściowo jako temat wykładów, częściowo do ćwiczeń praktycznych.

– Szkoda, że czegoś takiego nie było, jak myśmy zaczynali, co, kochanie? – To znowu Philip. – Cholera, za naszych czasów szkolenia właściwie nie było.

– Dwutygodniowy kurs roboty papierkowej i tyle – potwierdziła Joan, wpatrując się bez przerwy w Proctora swymi mądrymi oczami w okularach. Oczywiście nie uwierzyła w tę bajeczkę. – No to w czym możemy ci pomóc?

Proctor tylko czekał na to pytanie.

– No cóż, to chyba oczywiste, że bardzo chętnie dodajemy osobiste świadectwo uczestników konkretnych zdarzeń, jeśli to tylko możliwe. Kierowników sekcji, analityków i przede wszystkim dawnych oficerów prowadzących własnych agentów, bo to jest kawałek życia.

Philip był zajęty tarmoszeniem Chapman za uszy, ale twarde spojrzenie Joan ani na chwilę nie opuszczało twarzy Proctora.

– Kawałek życia – powtórzyła i nagle się roześmiała. – Jakie piękne i romantyczne określenie! Sam je teraz wymyśliłeś, Stewarcie? Tylko dla nas?

– Ależ skąd, kochanie. Nie wygłupiaj się. My już jesteśmy ludzie starej daty. Oni tam teraz mają zupełnie nowy język. I nowych szefów. I zasrane „zasoby ludzkie” zamiast normalnego działu kadr. I „grupy fokusowe” zamiast porządnej pracy. Komu to przeszkadzało?…

– No więc jeżeli tylko się zgodzicie – mówił dalej niewzruszony Proctor – to jest jeden przypadek, który mógłby być przydatny i na całe szczęście wiąże się z wami, czyli można powiedzieć, dwie pieczenie na jednym ogniu. Liczyłem zresztą, że zgodzicie się na małe przesłuchanko, taki żart, i mam ze sobą standardowy list z sekretariatu pozwalający wam opowiadać o wszystkim całkiem otwarcie. Opowiecie tyle, ile zechcecie, i nie musicie się powstrzymywać przed krytykowaniem Centrali – tu gniewne prychnięcie Philipa – bo my i tak wszystko odpowiednio zredagujemy. I jeszcze jedna bardzo ważna uwaga na początek: nie martwcie się, czy coś mamy w aktach czy nie. Wiecie oboje lepiej niż wszyscy, że w aktach agentów najciekawsze jest to, czego w nich nie ma. W dodatku stare akta są pod tym względem jeszcze gorsze niż nowe. Przecież większość z tego, co się dzieje w terenie, i tak na papier nie trafia, a zresztą dzieje się tak z pożytkiem dla wszystkich. Krótko mówiąc, dział szkolenia radzi, a raczej prosi, żeby zakładać całkowity brak wiedzy z naszej strony. Opowiedzcie nam wszystko od początku, od strony swoich osobistych odczuć, a nie z punktu widzenia Firmy, bo to wszystko może się przydać. A jeżeli poczujecie nagle, że chcecie przywalić Centrali, to nie bójcie się, nikt wam nie cofnie emerytury, nic z tych rzeczy.

Dłuższe milczenie, które zapadło, trochę zaniepokoiło Proctora. Joan bardzo uważnie przeczytała list – nawet założyła inne okulary, które wisiały jej na łańcuszku na szyi. Potem podała go Philipowi, który przeczytał tekst równie dokładnie, nim wreszcie zwrócił list Proctorowi z chłodnym skinieniem głowy.

– Coś takiego. Czyli naprawdę zesłali wielkiego doktora Proctora do działu szkolenia – powiedziała Joan niby do siebie. – Nie do wiary.

– Nie zesłali, tylko oddelegowali, Joan. Zresztą ja już swoje w życiu zrobiłem.

– No to kto teraz jest naszym głównym psem gończym, skoro ty już tylko zbierasz po aktach „kawałki z życia”? Tylko mi nie mów, że nikt nie pilnuje interesu…

Na to Proctor mógł tylko pokręcić głową z żalem, dając do zrozumienia, że nie jest upoważniony do ujawnienia jej szczegółów bieżącej struktury organizacyjnej Firmy. Joan wpatrywała się w niego nieustępliwie, Philip wciąż tarmosił uszy Chapman.

– I jeszcze jedno. Tak na wszelki wypadek – powiedział Proctor, przybierając bardziej oficjalny ton. – Chociaż człowiek, którego dotyczy ta konkretna sprawa, żyje i ma się dobrze, nie chcemy, aby się dowiedział, że się nim interesujemy. Powiem prosto i węzłowato: macie szlaban na wszelkie z nim kontakty. Do odwołania. Zrozumiano?

Joan westchnęła ciężko i przeciągle i powiedziała:

– O Boże. Biedny Edward. Cóż on tym razem zmalował?

*

Otwierając ich – jak to nazywał – „małe zaimprowizowane seminarium”, Proctor wyliczył kilka zagadnień, które wymyślił na poczekaniu w trakcie podróży koleją:

– Ogólnie rzecz biorąc, chodzi nam o pochodzenie agenta, czynniki, które go ukształtowały, potem sposób zwerbowania, szkolenie i prowadzenie i wreszcie techniki i wyniki wywiadowcze, a jeżeli doszło do zakończenia współpracy, szczegóły tego zakończenia. Philipie, może ty zaczniesz?

Ale Philip wcale nie był pewny, czy ma ochotę cokolwiek zaczynać. Jego częściowo nieruchoma po wylewie twarz stała się jeszcze mniej wyrazista na pierwszą wzmiankę o Edwardzie.

– Mówimy o Florianie, tak? Naszym TW z Warszawy. Bo to o niego ci chodzi, tak czy nie?

Proctor potwierdził, że rzeczywiście chodzi o Floriana.

– Tyle ci powiem, że Florian był świetnym agentem. Wpadka siatki to nie jego wina, niech mówią teraz, co chcą.

– Z pewnością właśnie tak chcemy to przedstawić – powiedział uspokajająco Proctor. – Pozytywnie i sprawiedliwie. Ale musicie nam

pomóc.

– Tylko niech ci się nie wydaje, że to ja go zwerbowałem. To Barnie. Ja byłem wtedy jeszcze w Londynie.

Pełna uznania chwila wspomnień o Barniem, nieżyjącym już specjaliście od werbunku z czasów zimnej wojny, bywalcu najlepszych paryskich klubów gejowskich i w ogóle całej paryskiej Dzielnicy Łacińskiej, który był dla swych agentów nie tylko Flecistą z Hamelin, ale też wiernym ojcem i matką równocześnie.

– Tylko że Florian właściwie sam się zwerbował, zanim jeszcze Barnie wziął go w obroty – ciągnął wyzywającym tonem Philip. – Wielkiej zasługi Barniego w tym nie było, Florian aż się palił do roboty. Nie dla pieniędzy, nie dla satysfakcji. Florian był ideowy. Wystarczyło wskazać mu ideę, z którą by się identyfikował, i szedł jak w dym. To wszystko dzięki Ani, nie Barniemu. Ale to Barnie się tym pochwalił. On się nie patyczkował, potrafił się przyznać do każdego cudzego sukcesu.

Philip pewnie mówiłby o tym jeszcze dłużej, gdyby Proctor wzrokiem nie wezwał na pomoc Joan.

– Kochanie, nie możesz tak zaczynać od środka. Przecież Stewart pewnie nawet nie wie, kim była Ania. Albo będzie udawał, że nie wie. Nie możesz się z nią wyrywać jak ten filip z konopi. Mam rację, Stewarcie? Najpierw musisz przedstawić pochodzenie agenta i czynniki, które go ukształtowały.

Przywołany w ten sposób do porządku przez żonę Philip przez chwilę siedział z obrażoną miną, nie wiedząc, czy chce jej posłuchać, czy mówić swoje.

– No to zaraz ci powiem, jakie miał pochodzenie – zaczął. – Florian miał najbardziej zasrane dzieciństwo, jakie można sobie wyobrazić. Pewnie słyszałeś o jego ojcu?

Proctor musiał znów delikatnie przypomnieć Philipowi, by nie zakładał, że cokolwiek wie na ten temat.

– Ale chyba wiesz, że miał ojca Polaka? I to najbardziej pojebanego Polaka, największego sukinsyna, jakiego można sobie wyobrazić. No bo że odjechany katol, to rozumiem, ale do tego zagorzały folksdojcz, strasznie mu się hitlerowcy podobali. Całował ich po dupie, jak przyszli, wydawał Żydów, aż się kurzyło, pakował

ich do wagonów i w końcu dostał ciepłą posadkę za biurkiem, zza którego dalej organizował transporty. No, ale jak wojna się skończyła… – Przerwa na zaczerpnięcie oddechu. – Ale jak wojna się skończyła, to się za niego rodacy zabrali. Nic mu nie pomogło, że się ukrył na wsi i udawał wieśniaka. Proces miał szybki i raz-dwa powiesili go na rynku w mieście. Podobno przyszła kupa ludzi, żeby to zobaczyć. Żona też była nie lepsza, więc jej szukali, ale nie znaleźli. A wiesz, czemu nie znaleźli?

– Ty mi powiedz – odpowiedział z uśmiechem Proctor.

– Bo zanim go złapali, kochany mężuś zdążył ją wysłać do Austrii, gdzie pod przybranym nazwiskiem ukryła się w jakimś klasztorze w Grazu i właśnie tam powiła dziecię. Siedem lat później była już w Paryżu razem z małym, właśnie z Florianem. Trochę popracowała na Pigalle, ale dwa lata później wyszła za jakiegoś Brytyjczyka, starego nudziarza z jednego z naszych pięciu największych banków. A to oznaczało, że i ona dostała brytyjski paszport, i chłopczyk też. Całkiem nieźle jak na polską dziwkę, wdowę po folksdojczu i zbrodniarzu wojennym.

– A kiedy Florian się o tym dowiedział? – zapytał Proctor, pilnie zapisując coś w notatniku.

– Jak miał czternaście lat. Matka mu powiedziała. Zawsze się obawiała, że Polacy wpadną kiedyś na jej ślad i znajdzie się z powrotem w Warszawie razem z chłopcem. Niepotrzebnie się bała, lewe papiery miała dobre. Polacy nigdy się o niej nie dowiedzieli. Sprawdziliśmy to bardzo dokładnie, możesz mi wierzyć – powiedział Philip i zamknął usta z grymasem niesmaku.

Ale była to tylko kolejna przerwa na nabranie tchu.

– I z tego, co wiem, Florian do tego jednego szczegółu ze swojego życiorysu nigdy nikomu się nie przyznał. Nie mógł sobie dać rady z tym pieprzonym ojcem, więc wymyślał na jego temat niestworzone historie. Dla każdej kobiety miał inną wersję. Pytałem go kiedyś, po co naopowiadał tej… jak jej tam było… chyba Gerda… takich bzdur, że jego ojciec był bohaterskim kapitanem statku. Czy tylko po to, żeby zaciągnąć ją do łóżka? Ale nawet mnie do niczego się nie przyznał. W końcu świetnie go wyszkoliliśmy. Twierdził, że chodziło o jego dobrego brytyjskiego ojczyma. Gówno prawda.

I jeszcze po chwili namysłu dodał:

– Więc jak nie wiesz, skąd mu się wzięła taka nienawiść do religii, to chyba oczywiste, że stąd: z jego wściekłego antykatolicyzmu. O takie rzeczy ci chodzi?

*

– A teraz te czynniki, które go ukształtowały – powtórzył Philip, z pogardą wymawiając te słowa. – Na miłość boską, popatrz w kartotekę. Tak, tak, wiem, oficjalnie nie ma żadnej kartoteki. Od dnia, kiedy mamusia opowiedziała mu o biologicznym tatusiu: czerwony antyfaszysta, antyimperialistyczny bolszewik, więc od razu chryja za chryją w angielskiej szkole z internatem, w której go zamknęli. Herszt bandy protestującej przeciwko wojnie w Wietnamie, nie chodził na szkolne nabożeństwa, członek Ligi Młodych Komunistów. Nic dziwnego, że zaraz po szkole przyjęli go z pocałowaniem w dupę na Sorbonę, gdzie jeszcze bardziej namącili mu w głowie, i sześć lat później na własne życzenie trafił do rodzinnego kraju ojca. Potem był rok w Zagrzebiu, rok w Hawanie, po drodze jeszcze rok w Uppsali i proszę: został wykładowcą marksizmu-leninizmu na Uniwersytecie Gdańskim, żeby nawracać zagorzałych polskich katolików żyjących w dyktaturze proletariatu, która nigdy jakoś nie działała jak trzeba. Kto się do tej pory temu dziwi, po prostu nic nie wie o Europie Środkowej. A to przecież oczywiste – zakończył wojowniczo Philip.

– I właśnie po przyjeździe do Polski miał to swoje objawienie, prawda, kochanie? – podsunęła Joan, ukradkiem zabierając mu kieliszek do koniaku, nim zdążył sobie dolać, i stawiając w to miejsce szklankę wody.

– Święta prawda, Joan! Polacy raz-dwa go przekabacili – oświadczył z satysfakcją. – Wystarczył mu rok w Gdańsku, żeby uznać komunizm za największe oszustwo od czasu wynalezienia religii. A co najlepsze, nikomu się nie przyznał, dopóki nie pojechał na Boże Narodzenie do Paryża. I dopiero tam szepnął to na uszko Annie. W łóżku. To dopiero była wspaniała dziewczyna, prawda, kochanie? Baletnica. Uciekinierka z Polski. Śliczna jak obrazek,

odważna jak lwica. I uwielbiała Floriana. Dobrze mówię, kochanie? Dobrze mówię?

– Sam miałeś bzika na jej punkcie – odparła sucho Joan. – Bogu niech będą dzięki, że wtedy już sypiała z Edwardem.

– I to Ania była pośrednio odpowiedzialna za zwerbowanie Floriana? Można tak powiedzieć? – zapytał Proctor, bazgrząc niewyraźnie w notatniku.

– Słuchaj no! – Philip kurczowo zacisnął dłonie na rączce laski, podniósł się na całą wysokość i stanąwszy plecami do okna, przejął od Proctora rolę wykładowcy: – Muszą jedno zrozumieć ci twoi koledzy i koleżanki. Agent Florian był jedyny w swoim rodzaju. Był darem z niebios. Nigdy już nie trafi im się agent zdolny do takich poświęceń i z taką wspaniałą legendą. Przepiękna komunistyczna przeszłość, wszystko jak najbardziej w porządku, z którejkolwiek strony patrzeć. Był na miejscu, akurat tam, gdzie trzeba, genialna przykrywka akademicka, fantastyczne papiery.

– A co miała z tym wspólnego ta Ania? – przypomniał mu Proctor.

– Ania miała rodzinę w polskim ruchu oporu. I to na samej górze. W nagrodę po wojnie jednego jej brata torturowali i zastrzelili, drugi gnił w więzieniu. Kiedy ich aresztowali, Ania była w Paryżu i już tam została. Barnie pracował z polskimi emigrantami, więc ją znał. Florian właściwie sam mu się nawinął. Trudno o łatwiejszy werbunek pierwszorzędnego agenta – powiedział Philip, wracając na indyjską skrzynię jak aktor, który kończy występ.

– A jego techniki? – zapytał Proctor, przechodząc do kolejnego punktu programu. – Czy można go od czasu do czasu zaprosić na wykład? Gdzieś napisałeś o Florianie, że jest jak nurek głębinowy. Nasi kursanci na pewno chcieliby się dowiedzieć, co miałeś na myśli.

Dłuższe zamyślenie, a potem nagły potok słów:

– Przecież to oczywiste. Jak coś robił, to nie unosił się na powierzchni, tylko schodził w głąb. I zawsze coś wywęszył. I nigdzie nie chodził sam, tylko zawsze w tłumie. Jak miał się z kimś spotkać w Warszawie, a do Warszawy była akurat wycieczka z jego uczelni, to jechał autobusem. Pożyczał ludziom maszynę do pisania. Jak miał tego swojego polskiego fiata, to też go pożyczał innym. Potem zawsze mu się ktoś jakoś odwdzięczył, ale on nikogo do niczego nie

zmuszał. Jak ktoś jechał z wizytą do mamusi do Poznania, to może podrzuciłby dla kolegi tę książkę, te czekoladki? Nie musieliśmy go tego uczyć, Florian sam to wszystko umiał. My mogliśmy mu najwyżej trochę podpowiadać. W końcu nie na wiele mu się to przydało. Właściwie na nic. Każda siatka ma jakąś datę ważności. Powiedziałem mu to na samym początku. Któregoś dnia siatki po prostu się kończą, więc bądź gotowy. Nie posłuchał. Taki to był agent.

*

Nadeszła chwila, którą zgodnie starali się opóźnić, póki się dało. Głowa Philipa opadła w przód, wbił gniewny wzrok w dłonie zaciśnięte na lasce trzymanej teraz na kolanach. Joan lepiej panowała nad sobą. Przeczesywała palcami włosy i patrzyła przez okno na kościółek.

– Na miłość boską, za bardzo go eksploatowaliśmy – wybuchnął z goryczą Philip. – Tego nie wolno robić. Przecież to pierwsza zasada. Mówiłem to Centrali. Nie chcieli słuchać. Mówili, że za bardzo utożsamiam się z agentem. Przesadzasz, Philipie. Mamy wszystko pod kontrolą. Weź urlop. Chryste Panie!

Zawstydzony tym wybuchem Philip pocieszająco poklepał Chapman, która zaniepokojona właśnie uniosła łeb. Po chwili kontynuował spokojniejszym tonem. Zaczął opowiadać, że przed pojawieniem się Floriana warszawska placówka miała kupę roboty.

– Trzeba było trzech dni zabawy w kotka i myszkę, żeby wysłać zwykły krajowy list. Każdy polski pracownik ambasady był z założenia kapusiem. Wszyscy byli śledzeni, łącznie z kotem pani ambasadorowej, obserwowani, na podsłuchu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Aż tu nagle, chwała Bogu, ni stąd, ni zowąd pojawia się ten agent z Gdańska, czysty jak łza, który aż się prosi o robotę. – Kolejny wybuch, równie gwałtowny jak poprzedni: – W kółko powtarzałem Centrali: Florian nie może napełniać i opróżniać wszystkich skrzynek kontaktowych między Gdańskiem a Warszawą. Nie może obsługiwać każdego źródła informacji, każdego, kto ma cokolwiek nam do powiedzenia. Mówiłem im:

Polacy aż się palą, żeby dla nas pracować. Mamy w kim wybierać. Ale jak będziecie go tak eksploatować, cała siatka zawali się jak domek z kart. I tak się stało. Dwóch najlepszych gości aresztowano w jeden dzień, potem jeszcze jednego następnego dnia rano. Nic o sobie nie wiedzieli, ale w każdej chwili mogło paść na Floriana. Mieliśmy całkiem niezły plan eksfiltracji: rozklekotana nyska do przewozu mięsa w nieużywanym garażu na przedmieściach Warszawy, w środku skrytka w sam raz na jednego człowieka. Mało oryginalne, ale raz zrobiliśmy próbę, wszystko poszło jak z płatka. Wysłałem mu alarm: Florian, natychmiast jedź do Warszawy. Bez odpowiedzi. Pojawił się po dwóch dniach i zaczął się stawiać. Że to też jego Polska, że woli pójść na dno z całym statkiem. Mówię mu: przecież od dawna ci tłumaczę, że prędzej czy później sprawa się rypnie, no i właśnie się rypła, więc zamknij ryj i ładuj się do skrzyni. Dwa dni później był już w jednym domu w Devon, zalewał się łzami i twierdził, że to wszystko jego wina, że to przez jego własną głupotę. Wcale nie. Technikę miał świetną, niczego nigdy nie przeoczył. Wpadka była przez nas, bo złamali nasz szyfr. Ale on się uparł: jego wina i już. Taki był. Zawsze brał całą odpowiedzialność na siebie. Człowiek ideowy. Więc bądź tak dobry i to jedno przekaż swoim kursantom: jak ci z Centrali każą zaharować agenta na śmierć, to nie mówcie: „Tak jest!” ani „Rozkaz!”, tylko każcie im iść do diabła.

– Joan – powiedział Proctor. – Twoja kolej.

Ale się pośpieszył. Zaczęła się sprzeczka małżeńska, i to z jego winy. Bo Proctor zapytał – mogłoby się wydawać, że z czystej ciekawości – w którym momencie zakończył się romans między Anią a Edwardem i czy stało się to wtedy, gdy Edward wrócił do Anglii i na scenie pojawiła się Deborah, która miała go przesłuchać.

Według Philipa pytanie było bezzasadne: romans skończył się jak wiele innych, Edward sypiał z kim popadnie, Ani znudziło się rozstanie. Jej pasją był taniec, a na świecie mężczyzn nie brakowało. W efekcie, gdy Centrala rozpoczęła normalne postępowanie w sprawie wpadki – co Philip uważał zresztą za wyjątkowe marnotrawienie pieniędzy podatnika – Edward był już „rycerzem błędnym”, którego „błędne wiodły szlaki”, więc Deborah czy

jakakolwiek inna „piękna, bezlitosna dama”[1] miały do niego pełne prawo.

Joan zaprotestowała gwałtownie:

– Pieprzysz, kochanie. Ania uwielbiała Edwarda. Wystarczyłoby, żeby na nią zagwizdał, a pobiegłaby za nim w te pędy, wszystko jedno skąd, i miałaby gdzieś ten swój taniec. Edward przyjechał do Anglii jako strzęp człowieka. Sam nie wiedział, czy jest biednym chłopakiem z Polski, który posłał swoich kolegów na pewną śmierć, czy angielskim bohaterem wracającym w sławie do ojczystego Albionu, jak mu wmawiała Deborah. Nasi analitycy zamknęli się z nim na całe dwa tygodnie w przepięknym angielskim dworku na wsi, ale z wszystkimi wygodami. Deborah siedziała przy nim, ocierała mu czółko z potu i kadziła mu, że był najlepszym agentem w historii Firmy. Biedak nie miał szans.

– A w tamtych czasach Deborah była u nas właściwie królową Europy – przypomniał im Proctor. – Założę się, że jeżeli tylko Deborah oświadczyła, że Florian jest naszą gwiazdą, to został tą gwiazdą i już.

Joan jednak nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa na temat Deborah:

– Zaciągnęła go do łóżka, zanim doszedł do siebie. To wbrew wszelkim zasadom.

Philip mógł sobie mruczeć pod nosem, ale Joan miała rację. Firmowa etyka stawiała nieprzekraczalny mur między pracownikami Centrali a agentami w terenie. Dla Deborah i Floriana zrobiono wyjątek.

Mimo wszystko to Philip chciał mieć ostatnie słowo:

– Na miłość boską, Joan, on się w niej po prostu zakochał! Była dla niego symbolem Wielkiej Brytanii! – Tu Joan roześmiała się szyderczo, co zignorował. – On już taki jest. Dopasowuje sobie kobietę do własnego ideału i bez pamięci zakochuje się w ideale. Edward miał w sumie kupę szczęścia.

Jeżeli udało mu się przekonać żonę, to Proctor musiał przegapić moment, kiedy to się stało.

*

Słowa, którymi Joan rozpoczęła kolejny rozdział tej historii z przeznaczeniem dla szerszej publiczności, zabrzmiały niemal wagnerowsko:

– Bośnia! Mówiło się kiedyś: nigdy więcej wojny. No, za dobrze to się nam nie udało. Sześć małych kraików pożarło się między sobą o spadek po Wielkim Ojcu, po Ticie. Każdy z nich miał Boga po swojej stronie, każdy chciał być najważniejszy, każdy nienawidził każdego. I jak zwykle każdy miał rację, i wszyscy toczyli tę samą wojnę, którą dwieście lat temu toczyli i przegrali ich dziadkowie.

No i Joan chyba nie musi dodawać, że zrobił się z tego zupełnie niewiarygodny horror? Okaleczenia, krzyżowanie, wbijanie na pal, masakry losowe i hurtowe, specjalność: kobiety i dzieci. Spodziewała się co prawda, że będzie strasznie, lecz nie połączenia wojny trzydziestoletniej z hiszpańską inkwizycją. Centrala zarządziła następujący gryplan: Philip miał utrzymywać kontakt z niezliczonymi agencjami wywiadowczymi, które tłoczyły się tam jedna przy drugiej, nie wyłączając szefów sześciu zwalczających się nawzajem tajnych służb państw byłej Jugosławii. Już samo to byłoby ponad siły jednego człowieka, ale miał również za zadanie naradzać się na bieżąco z dowództwem sił ONZ i NATO i w dodatku informować wybrane organizacje pozarządowe o sytuacji na froncie oraz o szczególnie niebezpiecznych strefach.

– Krótko mówiąc, działałeś całkiem jawnie, prawda, kochanie? I bardzo dobrze, bo im jawniej ty działałeś, tym ja miałam łatwiej. Byłam przecież twoją głupiutką żoneczką, która nadawała się tylko do tego, żeby na przyjęciach uprzejmie rozmawiać z sąsiadem po prawej.

– Piąte koło u wozu, kompletnie nieprzydatna, kto jej w ogóle pozwolił jechać z Anglii do Belgradu – potaknął z dumą Philip. – Wszyscy się na to łapali. Ach, sam o mało się nie złapałem! – Na to wspomnienie aż zaśmiał się z satysfakcją i zachwycony szturchnął Chapman palcem u nogi.

Podczas gdy Philip działał jawnie, pierwszym zadaniem Joan jako jego tajnej zastępczyni było pozbieranie wszystkich czynnych jeszcze źródeł informacji, jakie Firmie zostały z czasów Tita – Serbów, Chorwatów, Słoweńców, Czarnogórców, Macedończyków,

Bośniaków, z których wielu ciągle jeszcze mieliśmy na garnuszku, choć włos się jeży na samą myśl – i wkrótce znalazła się w tej samej sytuacji co kiedyś Philip w Warszawie: potrzebowała na gwałt doświadczonego głównego agenta, który by nad tym wszystkim zapanował.

Nic więc dziwnego, że Florian znowu znalazł się na tapecie. Przecież on w swym wcześniejszym życiu był nawet przez jakiś czas młodym docentem na uniwersytecie w Zagrzebiu! Przecież jego byli studenci i koledzy pewnie zajmowali teraz wysokie stanowiska w swoich różnych nowo powstałych krajach! A w dodatku doskonale mówił po chorwacku!

No i przede wszystkim jako półkrwi Polak, czyli słowiański brat każdego z walczących narodów, był znacznie bardziej pociągający – znacznie seksowniejszy, jak to określiła Joan – niż najsympatyczniejszy choćby Anglik czystej krwi. Wystarczy podkreślić tę jego polskość, stłumić angielskość – i znowu mamy istny dar z niebios dla przepracowanej placówki.

Tylko czy Florian da się zaprosić do tej zabawy? Czy nie zużył już całej swej odwagi w tej wpadce w Polsce? Czy nie zmienił się, odkąd został ojcem? I przede wszystkim: czy Centrala pójdzie na ponowne zatrudnienie wycofanego z terenu agenta, który w dodatku był teraz mężem jednej z najważniejszych ekspertek w Firmie? Otóż Centrala na to poszła, co według Joan było dość zaskakujące. Nigdy nie dowiedziała się na sto procent, kto za tym stał, kto to przeforsował, ale chyba się domyślała.

– Córka była jeszcze bardzo mała – opowiadała. – Edward ją uwielbiał, ale nie miał wielkiej smykałki do gonienia za dziecinnym rowerkiem ani do zabawy misiami. Mieli kupę kasy, zatrudniali nianie. Po ewakuacji z Polski Edward wykonał dla Firmy parę drobnych zadań: albo jako kurier, albo w zastępstwie na placówkach zagranicznych, jeżeli ktoś musiał wyjechać, parę mniej lub bardziej ważnych werbunków. A czym wtedy zajmowała się Deborah? O, Deborah rosła w siłę i robiła karierę. Uwiła sobie wygodne gniazdko na Bliskim Wschodzie, w tym była najlepsza, i błyszczała w różnych anglo-amerykańskich think tankach. A biedny Edward tymczasem nudził się w domu, pluł i łapał, i chodził z córeczką do zoo.

Ustalili, że Philip z nim pogada.

Bo Florian został co prawda wysłany na zieloną trawkę, ale to Philip prowadził go w Polsce. Teraz, grzecznie zapytawszy żonę o zgodę, na chwilę zastąpił ją w opowiadaniu:

– Poleciałem do Londynu i pojechałem się z nim spotkać. To był pomysł Joan. U niego w domu. No, ściśle mówiąc, u niej, u Deborah. Śliczna pogoda. Wielka edwardiańska willa w Anglii Wschodniej. Zastałem go. Siedział przed telewizorem i oglądał wojnę. Razem z dzieckiem. Dobrze go znałem, toteż nawet mnie to nie zdziwiło. Wiedział, że przyjadę, więc przygotował całą scenografię. Nalał nam obu szkockiej, zapytałem go, jak się ma, a on od razu: „To kiedy zaczynamy?". Prosto z mostu. Żadnych targów, żadnych pytań o pieniądze, o rentę, nic z tych rzeczy. Interesowało go tylko, jakie tam mamy źródła i kogo można uruchomić od zaraz. O to już pytaj Joan, powiedziałem. Od tej pory to Joan jest twoim szefem, nie ja. Ja teraz jestem urzędas z ambasady w Belgradzie. Wcale go to nie zniechęciło. Lubił Joan. Poznał ją, jak przyjeżdżał na urlop, więc tu nie było problemu. Zdaje się, że nawet wolał pracować wtedy dla kobiety. Szczególnie dla takiej pięknej kobiety. Widzisz, jak ona się teraz rumieni? Ale tak naprawdę pytał w kółko o jedno: jak szybko możemy go tam wysłać, żeby zabrał się do roboty i zrobił coś dobrego? Wiem, co teraz powiesz, kochanie: za wszelką cenę chciał uciec od Debbie. Widzisz, wcale tak nie było. Po prostu znalazł sobie kolejną wielką sprawę. Jemu zawsze tylko na tym zależało.

– A ta wielka sprawa to co? – zapytał Proctor, jeszcze przez chwilę nie pozwalając Joan dojść do głosu.

– No, pokój. Bez dwóch zdań – odpowiedział bez wahania Philip. – Natychmiast zakończyć tę wojnę. Powstrzymać faszystów. Wiedział dobrze, że w Bośni było ich zatrzęsienie. Nie wolno nie doceniać znaczenia historii jego ojca. I jego własnej komunistycznej przeszłości. Prawda, Joan, że to była jedyna rada, jaką dla ciebie miałem, kiedy go przejęłaś? Radykał to radykał, wszystko jedno, czy ekskomunista, czy eks- co innego. To zawsze ten sam gość. Taki nie przestaje rozumować inaczej tylko dlatego, że doszedł do innych wniosków. Doszedł do innych wniosków i tyle. Taka jest ludzka natura. Skoro o tym mowa, lepiej to powiedz tym swoim kursantom,

Stewart, jeżeli będą kiedyś werbować eksfanatyków. Trzeba zawsze pamiętać, że nimi byli, bo to zawsze w nich trochę siedzi.

*

Oczywiście przede wszystkim, opowiadała teraz Joan, trzeba było znaleźć Florianowi odpowiednią przykrywkę. To już nie była komunistyczna Polska, tylko rozpadająca się Jugosławia i w całym kraju roiło się od wariatów różnej maści: handlarzy bronią, misjonarzy, przemytników ludzi i narkotyków, wojennych turystów, wojennych reporterów, szpiegów… Tylko normalni ludzie wyglądali tam podejrzanie.

Ale najwięcej było pracowników najróżniejszych i najdziwniejszych organizacji pomocowych. Centrala uznała, że do Floriana najlepiej będzie pasowała nie brytyjska czy polska, tylko niemiecka, bo wtedy takie instytucje mogły liczyć na największą przychylność, szczególnie u Chorwatów. Akredytowanie Edwarda w niemieckiej organizacji pomocowej nie było żadnym problemem, bo w jednej z nich Firma miała nawet udziały. Miał zacząć w Zagrzebiu, ponieważ tam kiedyś wykładał…

– Ale Florian nie chciał siedzieć w jednym miejscu – mówiła ponuro Joan. – Puściłby nas z torbami, gdybyśmy płacili mu od kilometra. Zaraz otoczył się całym tłumem dawnych studentów i kolesiów, i przyjaciół całkiem nowych, ale od razu najlepszych. Wszystko jedno, gdzie teraz byli. W ogóle go nie obchodziło, kim byli i co robili. Jemu chodziło wyłącznie o informacje, więc im byli straszniejsi, tym lepiej. A możesz mi wierzyć, że było tam sporo przyjemniaczków. Nazwać ich faszystami to za mało. A już Serbowie wprost go ubóstwiali. Śpiewał z nimi, zachwycał się ich heroiczną poezją i wysłuchiwał gadek o ich boskiej misji wyrżnięcia wszystkich muzułmanów, mężczyzn, kobiet, dzieci, dla dobra ich świętej serbskiej sprawy. I potem zaraz raport przez radio albo kolejne spotkanie w jakiejś zabitej dechami wsi w górach.

– A jak mu szło z Bośniakami? Z muzułmanami? – zapytał Proctor.

Choć na ogół trudniej było wprawić w zmieszanie ją niż jej męża, tym razem się zawahała i zrobiła minę zwiastującą złe wiadomości.

– No tak, co tu dużo mówić, od początku było wiadomo, że ofiarami będą przede wszystkim muzułmanie. Prawda? Można powiedzieć, że tak było napisane drobnym maczkiem w umowie. A Edward, jak to Edward, w ofiarach zawsze zakochiwał się na całego. No i musiało się tak skończyć, jak się skończyło – wyznała, zwracając się do swojego ogródka warzywnego, i znów zaczęła bawić się włosami.

– O ile dobrze pamiętam, dość wcześnie pojawiły się jakieś znaki ostrzegawcze – podsunął z szacunkiem Proctor, gdy zdecydował się przerwać milczenie. – Dobrze by było, gdyby moi kursanci umieli je rozpoznać, jeżeli będą się kiedyś martwili o drobne przywary własnych agentów. Wszyscy się martwimy. Może parę przykładów, Joan? – Długopis zawisł nad kartką.

– Pierwszym znakiem ostrzegawczym, jeżeli tak chcesz to nazywać, o którym zresztą zaraz zameldowaliśmy w Centrali, było to, że Florianowi okropnie się nie podobało, że jego serbskie materiały idą do Londynu i potem do Amerykanów, a nie są od razu przekazywane Bośniakom. Według Floriana Londyn zawsze za późno informował Bośniaków, żeby zdążyli się dobrze przygotować na kolejny napad. Sugerował w dodatku, że Londyn robi to celowo, co oczywiście było bujdą na resorach. Tylko że Londyn nie mógł mu ustąpić ani na krok, no bo jak? Przecież agent w terenie nie ma prawa od razu przekazywać wszystkiego, czego się dowie, jednej z walczących stron. A nasz sojusz angielsko-amerykański? A NATO? I dokładnie to samo powiedziałam Edwardowi: że co on sobie myśli, że Amerykanie to nasi sprzymierzeńcy, że jesteśmy z nimi na dobre i na złe. Tylko że nie wiedziałam, nikt nie wiedział, że on tymczasem zdążył już zakochać się na zabój w jednej neutralnej rodzinie w górach. Od razu w całej rodzinie. Świeckiej, bo dla Edwarda to grunt, ale głęboko zakorzenionej w muzułmańskiej tradycji i pracującej dla jednej arabskiej organizacji pozarządowej. Tego wtedy nie wiedzieliśmy, ale przecież nie da się wiedzieć wszystkiego o prywatnym życiu agenta, prawda?

– Ano nie da się – zgodził się ponuro Philip, na chwilę wyrwany z zamyślenia.

– No więc skąd mogliśmy wiedzieć? Skąd mógł ktokolwiek wiedzieć, skoro Florian nikomu się nie zwierzył? Tak potem mówiłam w Centrali. Co ja mogłam zrobić, skoro miałam na głowie całą placówkę w Belgradzie, a Florian szalał za górami, za lasami?

– Kochanie, nic więcej nie mogłaś zrobić. Nic a nic – zapewnił Philip, klepiąc ją po dłoni.

*

Bo Joan zobaczyła tę wieś dopiero po wszystkim. I Joan prosi teraz Proctora, żeby wziął to pod uwagę. Zobaczyła bowiem tę wieś, kiedy – jak z wielu innych wsi w Bośni – została po niej tylko kupa gruzu i mnóstwo grobów.

Ale dla Floriana ta właśnie wieś była wyjątkowa. Bo on wziął ją pod swoją opiekę i wracał tam, kiedy tylko mógł. To akurat Joan wiedziała od początku. Nie krył się z tym, tylko było to dla niego coś bardzo osobistego. A kiedy kilka razy jej o tym opowiadał – najczęściej na pace jakiejś ciężarówki, gdy składał jej raport – mówił nie tyle o samej wsi, ile o ludziach, którzy tam mieszkali.

Szczerze mówiąc jednak, nie bardzo go słuchała. Ani o wsi, ani o ludziach. Bardziej przejmowała się tym, czy Florian dobrze się czuje, ustalała kolejne spotkanie, odbierała informacje i przekazywała je dalej, do Belgradu.

Z opowieści Floriana wynikało zresztą, że to wioska jak każda inna w Bośni, tkwiąca między trawiastymi górkami o dzień drogi od Sarajewa. Był tam meczet, katolicki kościół i prawosławna cerkiew, a kiedy czasem głos muezina mieszał się z biciem dzwonów, nikomu to nie przeszkadzało. Florian był tym wprost zachwycony.

– Oczywiście on w życiu by się nie przyznał, że religia może komukolwiek wyjść na dobre, ale tam przynajmniej nikomu nie szkodziła, więc hip, hip, hura. Tam w święto wszyscy śpiewali te same piosenki i uwalali się tą samą rakiją.

No tak, przyznała, wieś jak z bajki. Ale tylko dlatego taka była, że żyła tak, jak żyło się w Bośni przez pięćset lat, zanim wszystkim totalnie odbiło.

– I właśnie ta wieś była dla Floriana takim rajem, bo poznał tam fantastyczną rodzinę, z którą się zaprzyjaźnił. I znowu muszę się przyznać, że to do mnie wtedy nie dotarło. A pojechał tam właściwie przypadkiem, miał nadzieję, że może się dowie, kto ma w okolicy jakie siły, i nagle, ni stąd, ni zowąd, siedział przy stole rodzinnym z piękną kulturalną parą z Jordanii i ich nastoletnim synem, i dyskutował z nimi o pewnych ciekawych aspektach dziewiętnastowiecznej powieści francuskiej. Może wydam ci się zblazowana, ale to nawet nie było takie dziwne. Tam się działy takie rzeczy, że tego typu dziwne i zmieniające całe życie zdarzenia trafiały się czasem raz, a częściej pięć razy dziennie. Więc niestety: nie słuchałam zbyt uważnie, kiedy Florian ślinił się z zachwytu nad nimi. Bo mnie bardziej interesowało, co ma do powiedzenia o ruchach wojsk – wyjaśniła.

– I trudno się dziwić – mruknął z aprobatą Proctor, wciąż pisząc.

Joan teraz wyliczała na palcach wszystko, o czym dowiedzieli się, kiedy już było za późno. Bo jak już było za późno, Centrala po fakcie oczywiście zarządziła dokładną rekonstrukcję. Stewarcie, nie za szybko? Nadążysz?

– Nadążę, Joan, nadążę.

– Więc tak: lekarz z Jordanii imieniem Fajsal. Studia i specjalizacje we Francji. Jego żona, też z Jordanii, imieniem Salma, absolwentka uniwersytetów w Aleksandrii i w Durham. Uwierzyłbyś? Trzynastoletni chłopak imieniem Araw, syn wyżej wymienionych. Trzynastoletni, więc chodził do szkoły w Ammanie, ale akurat były wakacje, a on już teraz chciał być lekarzem jak tata. Zanotowałeś?

Proctor zanotował.

– Fajsal prowadzi z Salmą ośrodek zdrowia pod patronatem neutralnej, opłacanej z Arabii Saudyjskiej organizacji pozarządowej. Ośrodek znajduje się w opuszczonym klasztorze na skraju wsi. W klasztorze jest, a raczej był refektarz i stajnia, środkiem płynął strumyk. Po prostu sielanka. Pani Salma, według Edwarda genialna organizatorka, przekształciła klasztor w szpital polowy pełną gębą. Panu Fajsalowi dzielnie pomagają lekarze i pielęgniarki sprowadzeni przez tę samą organizację pozarządową. Co wieczór przyjeżdżają ciężarówki, wyładowują rannych. Najcięższe walki toczą się

w Sarajewie, ale w górach też się biją. We wsi uważają, że nikt im nic nie zrobi, bo mają szpital. Błąd.

*

Północ. W Belgradzie jest stosunkowo spokojnie. Joan i Philip już się położyli do łóżka. Joan właśnie wróciła z terenu. Florian nie odzywa się od paru dni, ale to nic nadzwyczajnego. Ostatnio miał kontakt operacyjny z serbskim pułkownikiem artylerii. Materiał był tak dobry, że Centrala przysłała specjalne podziękowanie. Dzwoni zielony telefon przy łóżku. Zielony jest tylko dla agentów i tylko w sytuacjach podbramkowych. Odbiera jak zwykle Joan, bo to ona jest głównym oficerem prowadzącym.

– Słyszę ochrypły głos. Tu Florian. Jaki Florian? mówię. Kto to jest Florian? Nie znam żadnego Floriana. Bo w tym momencie nawet przez myśl mi nie przeszło, że to może być Edward. Nawet głos niepodobny. Nie jestem pewna, czy on w ogóle pamiętał w tej chwili, jaki ma pseudonim. Więc pierwsza myśl jest taka, że Floriana wzięli na zakładnika i że mówię z porywaczem. I wtedy słyszę: Joan, to koniec. Taki beznamiętny głos i zupełnie obcy akcent. Od tego momentu ty już też słuchałeś, prawda, kochanie?

– Najlepsze, co można zrobić, to jak najdłużej podtrzymywać rozmowę – odparł Philip. – Ten gość wie o Florianie i wie o Joan. Czyli sukinsyn wie dużo. Więc macham do niej, żeby starała się rozmawiać jak najdłużej. – Pokazał, jak wtedy machał palcami. – A ja się postaram, żeby nasi zidentyfikowali połączenie.

– Oczywiście nie musiał mi tego tłumaczyć, sama wiedziałam, co mam robić – powiedziała Joan. – Wiedziałam, że muszę mu się stawiać. Jaka Joan?, pytam. Z czym koniec? Proszę się przedstawić, to powiem, czy to pomyłka, czy nie. I nagle on staje się Edwardem. I tym razem ja wiem, że to Edward, bo nie mówi z polskim akcentem ani z żadnym innym, tylko swoim własnym głosem. Zabili ich, Joan. Zabili Fajsala razem z synem. Więc ja na to: straszne, Edwardzie, gdzie ty jesteś i czemu dzwonisz na ten numer? On mówi, że jest we wsi. Pytam, w jakiej wsi. W tej jego wsi. Wtedy w końcu dowiedziałam się od niego, jak się wieś nazywa.

*

To, co Joan wtedy zrobiła, było tak niezwykłe – choć opowiadała o tym, jakby nic dziwnego w tym nie było – że chwilę trwało, nim Proctor uświadomił sobie, że wykazała się wtedy szaleńczą odwagą. Wzięła jednego tłumacza, jednego kierowcę i jednego sierżanta służb specjalnych w cywilu i po prostu pojechała w góry. Następnego dnia wieczorem znaleźli tę wieś czy raczej to, co z niej zostało. Meczet był jedną wielką ruiną, wszystkie domy starte z powierzchni ziemi. A na cmentarzu przed świeżymi grobami klęczał stary mułła.

Gdzie mieszkańcy?, spytała go Joan.

Zabrał ich serbski pułkownik. Żołnierze serbscy popędzili ich gęsiego przez pole minowe. Ludzie musieli iść po tych samych śladach, bo inaczej pourywałoby im nogi.

A pan doktor?

Zabili go. I syna też. Serbski pułkownik najpierw z nimi rozmawiał, a potem obu zastrzelił, bo leczyli muzułmanów.

A co z żoną? Ją też pułkownik zastrzelił?

Pojawił się tu jeden Niemiec, co mówił po serbsku, ale przyjechał za późno, żeby ocalić doktora z synem, powiedział stary mułła. Ten Niemiec często tu przyjeżdżał i mieszkał wtedy u doktora. Niemiec najpierw długo coś pułkownikowi tłumaczył. Po serbsku. Gadali jak starzy kumple. Niemiec był sprytny. Udawał przed pułkownikiem, że kobietę chce dla siebie. Pułkownik śmiał się do rozpuku, chwycił kobietę za ramię i dał ją Niemcowi w prezencie. A potem kazał swoim ludziom wsiadać do ciężarówek i pojechali.

A ten Niemiec?, zapytała Joan. Co się z nim stało? Niemiec pomógł kobiecie pochować męża i syna, a potem zabrał ją gdzieś swoim jeepem.

*

Philip się uparł, żeby Proctor się umył i przeczesał przed podróżą, a skoro tak, to jeszcze chciałby mu pokazać swoją kryjówkę. Chapman poszła przodem, prowadząc ich obok maleńkich grządek z warzywami do ogrodowej chatki z biurkiem, fotelem

i komputerem. Na ścianie z desek wisiało grupowe zdjęcie firmowej drużyny krykietowej rocznik 1979. Z belki pod sufitem zwieszał się warkocz czosnku. Na półkach wzdłuż ścian stały gliniane garnki z kabaczkami i cebulą.

– Bo prawda jest taka, stary… Tylko nie mów tego na kursie, bo stracisz emeryturę… Bo przecież prawda jest taka, że nam nie za bardzo udało się zmienić bieg historii – powiedział Philip. – Mówię ci jak jeden stary szpieg do drugiego: pewnie byłoby z nas więcej pożytku, gdybyśmy prowadzili dom kultury. Nie wiem, jakie jest twoje zdanie.

*

Każda firma, każdy sklep, w którym figurant bywa regularnie.

Każdy sprzedawca, z którym figurant się zaprzyjaźnił albo któremu za wszelką cenę chciał wyświadczyć przysługę. Każda przysługa, jaką ten ktoś wyświadczył w zamian figurantowi.

Każdy przypadek, gdy figurant pożyczał od kogoś telefon lub komputer. Zapis wszystkich połączeń przychodzących i wychodzących.

Tylko o jedno cię proszę, Billy: na miłość boską, nie narozrabiaj.

8

Julian włożył ciemny, szyty na miarę garnitur. Uznał, że wygląda, jakby znów wybierał się do City, więc sięgnął po sportową marynarkę w kratę. Uznał, że sportowa marynarka jest zbyt luzacka, więc w końcu ubrał się w granatową marynarkę, szare spodnie i jedwabny krawat w ptasie oczy od pana Budda, krawca z Piccadilly Arcade – pozostałość po dawnych rozrzutnych latach. Zawiązał krawat, rozwiązał go i schował do kieszeni marynarki. Teraz wiązał krawat już nie wiadomo który raz i zmagał się z pytaniami dręczącymi go od chwili, gdy czterdzieści osiem godzin wcześniej odbył pewną rozmowę telefoniczną.

– Halo. – Głos kobiety. W tle hałaśliwy współczesny rock. Ktoś wyłączył muzykę.

– Halo. Nazywam się Julian Lawndsley…

– O, świetnie. Pan ma tę księgarnię. Kiedy chce pan przyjść?

To nie mogła być Deborah. Może to ta od chustki z *Doktora Żywago*?

– No na przykład w czwartek, jeśli można…

– W czwartek. Doskonale. Powiem mamie. Jada pan ryby? Tata nie cierpi ryb, ale mama może jeść tylko ryby. Aha, a ja jestem Lily. Ich córka. – To ostatnie powiedziała ciszej, jakby istnienie córki miało kogoś odstraszyć.

– Bardzo mi miło. Ja jem wszystko – rzekł Julian wciąż wstrząśnięty do gruntu, że choć spędził z Edwardem tyle godzin, do tej pory nie wiedział, że Deborah Avon ma córkę, nie mówiąc już o tym, że córkę ma także Edward. Zauważył też, że jej głos, w odróżnieniu od wystudiowanych tonów ojca, jest świeży i bezpośredni.

– Może być siódma? – spytała. – Bo mama woli raczej wcześniej niż później. I tak wytrzyma pewnie tylko trochę ponad godzinę.

– Siódma, bardzo dobrze.

*

I nie była to w tej chwili jedyna tajemnica w jego życiu. Z księgarni zniknęły dwa laptopy. Jeden z zaplecza, drugi z piwnicy. Policja, kiedy się w końcu zjawiła, potrafiła na ten temat powiedzieć nie więcej niż Julian.

– Porządna profesjonalna robota – skwitował tylko sierżant w cywilu. – Minimum trzy osoby. Jedna odwraca uwagę, dwie robią swoje. Nie pamięta pan jakiejś pani, która dostała ataku histerii albo nie mogła znaleźć dziecka? Nie pamięta pan. Bo kiedy ona odwraca uwagę, wspólnik A zakrada się na zaplecze i bierze, co chce, a wspólnik B równocześnie zbiega na paluszkach po schodach i robi to samo w piwnicy. Nie przypomina pan sobie jakiejś pani, która była szczególnie grubo ubrana? – Po czym zniżywszy głos do szeptu: – Bo raczej pan nie przypuszcza, że to robota z wewnątrz, co? Ten pana człowiek, ten Matthew… Z tego, co wiem, kartotekę ma czystą, ale od czegoś trzeba zacząć, nie?

W tym wszystkim najdziwniejsza była reakcja Edwarda, gdy tego samego wieczoru dowiedział się od Juliana, że wraz z komputerem z piwnicy przepadła jego bezcenna korespondencja na temat powstającej biblioteki klasyki. Twarz mu nawet nie drgnęła, nie wykonał żadnego gestu, ale wzrok znieruchomiał mu tak, jakby właśnie usłyszał wyrok śmierci.

– Drugi komputer zresztą też zniknął – stwierdził Julian. – I pewnie nie robiłeś kopii, co?

Edward oprzytomniał na tyle, by pokręcić głową.

– No, to wygląda na to, że straciliśmy wszystko. Na szczęście mamy wydruk, a u mnie na górze jest jeszcze jeden laptop, więc dalej będziesz miał na czym pracować. Oczywiście jak odtworzymy to, co straciliśmy.

– Doskonale – powiedział Edward, który tymczasem jak zwykle doszedł już do siebie.

– A ja mam dla ciebie list. – Wręczył mu go. – Od Mary.

– Od kogo?

– Od Mary. Od tej pani, z którą się spotkałem w Belsize Park. Napisała odpowiedź. Oto ona.

Czy on już zapomniał, że Julian miał doręczyć jej ten jakże ważny list?

– A tak. Dziękuję. Jak to miło. – Ale Julian nie był pewny, kto zrobił to coś miłego: on, Julian, czy ta anonimowa pani.

– I jeszcze prosiła, żeby coś ci przekazać. Ustnie. No co, jesteś gotowy?

– Rozmawiałeś z nią?

– A to grzech?

– Jak długo?

– Wszystkiego osiem, może dziewięć minut. W tej francuskiej restauracji obok kina. Ale przez większość tego czasu pisała do ciebie.

– Czy rozmawialiście o jakichś ważnych sprawach?

– Nie, raczej nie. Tak naprawdę głównie o tobie.

– Jak się czuje?

– To właśnie miałem ci od niej przekazać. Czuje się dobrze. Jest spokojna. Pogodzona ze światem. To jej słowa. I jest też piękna. Tego już nie mówiła ona. To mówię ja.

Zatroskana twarz Edwarda rozjaśniła się tym jego dobrze znanym uśmiechem, choć tylko na chwilę.

– Jestem ci dozgonnie wdzięczny. – Chwycił oburącz dłoń Juliana, omal jej nie zgniótł w uścisku i wreszcie wypuścił. – Dziękuję, stokrotnie dziękuję.

Coś takiego – czy to naprawdę łzy?

– Pozwolisz? – Co miało znaczyć: czy Julian pozwoli mu w spokoju przeczytać list i pójdzie sobie na chwilę?

Ale Julian jeszcze nie chciał pozwolić.

– Nie wiem, czy wiesz, ale jutro przychodzę do was na kolację.

– To dla nas zaszczyt.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi, że masz córkę? Czyżbym miał tak fatalną reputację? Nie wierzyłem w pierwszej chwili. To było…

Co było? Sam nie miał pojęcia, co chciał powiedzieć.

Edward zamknął oczy, jakby nie mógł już oglądać tego świata. Wydał z siebie przeciągłe, powolne westchnienie. Po raz pierwszy od początku ich znajomości wydawał się teraz kimś, kto ma już wszystkiego dość. Ulgę przyniosły mu dopiero wypowiedziane słowa:

– Bardzo żałuję, ale moja córka Lily już od kilku lat woli prowadzić własne życie w Londynie. Nasze więzi rodzinne nie zawsze były tak silne, jak bym chciał. Zawiodłem ją. To dla nas wielka radość, że wróciła do domu teraz, gdy jej matka znalazła się w potrzebie. Czy wreszcie mogę przeczytać ten list?

*

Uporawszy się wreszcie z krawatem od pana Budda, Julian wyciągnął z lodówki pięknie zapakowaną butelkę szampana, którą przed południem kupił w delikatesach, zamiast płaszcza z City włożył stary prochowiec, zamknął księgarnię i rozdarty między ogromną ciekawością a poczuciem nadchodzącej katastrofy ruszył znaną mu już drogą do Silverview. Gdy dotarł do niebrukowanej ścieżki, minął starą białą furgonetkę zaparkowaną w zatoczce. Na przednim siedzeniu młoda para obłapywała się ochoczo. Brama do ogrodu była otwarta na oścież. Frontowe drzwi stanęły otworem, nim jeszcze dotknął przycisku dzwonka.

– Ty jesteś Julian, tak?

– A ty jesteś Lily.

Była drobna i pełna życia. Ciemne włosy miała obcięte na chłopczycę, usta zaciśnięte i lekko wykrzywione, na sobie obszerne dżinsy i kuchenny fartuch w pasy z czerwonymi kieszeniami w kształcie serca. Pierwsze spojrzenie, jakim obrzuciła jego granatową marynarkę, jedwabny krawat i materiałową torbę z logiem Lepsze Książki Lawndsleya, było długie i szczere. Miała takie same soczyście brązowe oczy jak jej ojciec. Przekroczyła próg, nieco przymykając za sobą drzwi, i zeszła o jeden stopień w dół w jego stronę. A potem jakby z gestem ulgi wsunęła dłonie w kieszenie fartucha i trąciła go ramieniem jak stara znajoma.

– No, koleś, coś tam przyniósł w tej torbie? – zapytała.

– Szampana. Schłodzony, gotowy na wszystko.

– Super. Teraz słuchaj: oficjalnie leczenie mamy wciąż trwa. Ale to kwestia dni. Wie o tym dobrze i bardzo nie lubi, jak się ktoś nad nią lituje. Mówi, co myśli, a myśli dużo, więc różnie może być. Rozumiesz? Chcę, żebyś wiedział, w co się pakujesz.

Wszedł za nią po schodkach z poczuciem, że jest intruzem, znalazł się w przepastnej sieni domu, który – mówiąc językiem agentów nieruchomości – od dawna oczekiwał gruntownej modernizacji. Na pożółkłej tapecie pokrywającej ściany niegdysiejszej posiadłości pułkownika wisiały odziedziczone przez jego córkę popękane olejne malowidła statków na morzu i ustawione jak żołnierze w szeregu staroświeckie barometry. Jedynym źródłem światła była zwieszająca się z sufitu żelazna obręcz z elektrycznymi świecami ociekającymi żółtym plastikiem. Na drugim końcu sieni unosiły się w mrok kręte mahoniowe schody z białymi uchwytami dla niepełnosprawnych. Co to za muzyka? Może Beethoven?

– Mamo! – wrzasnęła Lily w stronę schodów. – Masz gościa! Bąbelki przyniósł! Kończ się malować i zejdź! – I nie czekając na odpowiedź, powiodła Juliana przez otwarte drzwi do równie przepastnego salonu, gdzie w palenisku marmurowego kominka stała miedziana urna pełna suszonych kwiatów.

Przed kominkiem dwie szare kanapy, ustawione naprzeciw siebie jak okręty wojenne. W wyłożonej boazerią wnęce rządki ciasno stłoczonych książek w skórzanych oprawach. A w najdalszym kącie pokoju – kolejna wersja znanego skądinąd pana Edwarda Avona, pana na Silverview, czekającego, aż ktoś go zauważy, w wypłowiałym kasztanowatym smokingu i takich samych pantoflach ozdobionych złotą tasiemką. Jego siwe włosy były starannie zaczesane, ale na uszach układały się w małe różki.

– Julian, kochany druhu! Cudownie, że jesteś! – Wyciągnięcie gościnnej dłoni. – Widzę, że już się poznaliście z Lily. Cudownie! Ale, na Boga, cóż ty tam przyniosłeś takiego? Czy dobrze słyszałem? Szampana? Lily, kochanie. Czy mama rozpoczęła już swoje spektakularne zejście po schodach?

– Będzie za parę minut. Idę wsadzić to do lodówki i zaraz podaję kolację. Ale jak zawołam, macie biec na złamanie karku. Tak, panie Tedski?

– Doskonale, kochanie. Oczywiście.

Edward i Julian usiedli naprzeciw siebie. Na stoliku kawowym między nimi stała srebrna taca z karafką i kieliszkami. A w oczach

Edwarda widniało coś, czego Julian w nich przedtem nie widział: niemal strach.

– Czy skuszę cię na kieliszek sherry, Julianie? A może coś troszeczkę mocniejszego? Rzecz jasna, nikt tutaj nie ma pojęcia o twojej wycieczce do Londynu.

– Jestem tego świadomy.

– Natomiast nasze wspólne przedsięwzięcie, tworzenie biblioteki klasyki w twojej wspaniałej księgarni, jest tutaj dobrze znane. Jeśli mogę coś sugerować, to informacja o skradzionych komputerach może wywołać niepotrzebne zaniepokojenie, więc lepiej o tym nie mówić. Deborah zanadto przejmuje się różnymi sprawami. O tej porze dnia jest najbardziej kontaktowa.

Beethoven na piętrze umilkł. Teraz dom rozbrzmiewał tylko zwykłym skrzypieniem i poszeptami starych domów i dopiero po chwili z kuchni zaczął dobiegać hałaśliwy rock. Edward nalał dwa kieliszki sherry, jeden wręczył Julianowi, drugi uniósł do ust, przechylając go w niemym toaście. W odpowiedzi Julian lekko uniósł swój kieliszek. Jakby na znak niewidzialnego suflera Edward powrócił do głośniejszej rozmowy:

– Deborah bardzo się cieszy na wasze spotkanie. I zawsze bardzo sobie ceniła wieloletnie związki, które łączyły jej ojca z tutejszą biblioteką publiczną. Zresztą rodzina nadal hojnie sponsoruje bibliotekę.

– Wspaniale – odpowiedział równie głośno Julian. – To naprawdę… – Chciał powiedzieć „ekscytujące”, ale usłyszawszy głośny brzęk z kuchni, postanowił zamiast tego zapytać o Lily.

– Czym ona się zajmuje? To znaczy zawodowo? – Edward się zamyślił, jakby nigdy przedtem się nad tym zastanawiał. – W tej chwili gotowaniem, no i oczywiście swoją drogą matką. Ale zawodowo… – Dlaczego to dla niego takie trudne? – Zawodowo, powiedziałbym, jej mocną stroną jest sztuka. Może nie aż tak piękna sztuka, jak mógłbym sobie życzyć jako jej ojciec, ale jej pierwszą miłością jest właśnie szeroko pojęta sztuka. No właśnie.

– A co konkretnie? Grafika? Sztuka użytkowa?

– Właśnie. Tego rodzaju sztuka. Świetnie to ująłeś.

Uratował ich melodyjny męski głos z akcentem z Barbados zbliżający się do nich po schodach:

– Spokojnie, kochanieńka, ostrożnie… Kroczek po kroczku… O widzisz… Spokojnie, nie śpiesz się, kochanieńka… Bardzo dobrze, świetnie, o właśnie tak… – A każdej z tych zachęt towarzyszyło szuranie pantofli po podłodze.

Po reprezentacyjnych schodach kroczy w dół, ramię w ramię, dostojna para, jakby szli do ślubu. Pan młody jest młody, czarnoskóry i uderzająco przystojny w swoich dredach, jego usta ledwie się poruszają, gdy wypowiada w kółko małżeńską przysięgę. Panna młoda szczupła, ubrana na ciemnogranatowo z jasnozłotym paskiem, jej siwe włosy zaczesane są do tyłu po obu stronach jej dziecinnej twarzy; jedna ręka kurczowo trzyma się poręczy, czubek złotego sandałka szuka po omacku kolejnego stopnia.

– Czy to ty, młody człowieku? – pyta surowym tonem.

– Jak najbardziej, Deborah. Dzień dobry. Bardzo dziękuję za zaproszenie.

– Dali ci coś do picia? Bo obsługa ostatnio trochę tu szwankuje.

– Przyniósł nam szampana, kochanie! – woła do niej Edward.

– Jak to miło, że znalazłeś dla nas czas – mówi dalej Deborah, nie zwracając uwagi na męża. – A przecież na pewno masz urwanie głowy z tą księgarnią… O ile wiem, tutejsi rzemieślnicy są po prostu okropni. Zgadzasz się, Miltonie?

– Okropni, a jakże – potakuje pan młody.

Edward popycha Juliana do przodu.

– To może chodźmy już do stołu, dobrze, Miltonie? – rzuca w stronę schodów. – Na miejsce honorowe, bardzo proszę, to najbliżej drzwi.

– W porządku, Ted.

Teraz znowu Edward, tym razem swym ojcowskim głosem:

– Lily, kochanie, czy byłabyś taka dobra i przyciszyła tę swoją muzykę w kuchni, zanim wypłoszysz mamę z powrotem na górę? Jak cię proszę…

– Ojej, już, już. Przepraszam, mamo. – Muzyka cichnie.

Wchodzą do kolejnego równie ponurego pokoju. Na przeciwległej ścianie zwraca na siebie uwagę brązowy drewniany całkowicie pusty

regał. Czy to na nim spoczywała kiedyś sławna kolekcja chińskiej porcelany z epoki Ming? Olbrzymi stół jadalny nakryty jest tylko na jednym końcu: adamaszkowe serwety, srebrne kandelabry, takież podstawki pod kieliszki i figurki bażantów, solniczki i pieprzniczki. U szczytu stołu wielki tron dla Deborah obłożony szpitalnymi poduszkami.

– Nie trzeba ci tam pomóc, kochanie? Czy tylko bym ci przeszkadzał jak zwykle? – zwraca się Edward do córki przez otwarte okienko do kuchni, ale w odpowiedzi słyszy tylko brzęk talerzy, trzaśnięcie drzwiczek kuchenki i wymamrotane, ale całkiem wyraźne przekleństwo.

– Może ja pomogę? – proponuje Julian, lecz Edward już się zajął szampanem, Lily zaś ma znacznie więcej naczyń kuchennych, którymi może rzucać.

Tymczasem Deborah i Milton tańczą własny balet. Milton trzyma ją za nadgarstki i odchyla się do tyłu. Deborah bardzo wdzięcznie pozwala mu opuścić się na poduszki.

– Szanowna pani pójdzie spać o wpół do dziesiątej? – pyta Milton.

– Nie uważasz, Julianie, że odpoczywanie jest okropnie męczące? – narzeka Deborah. – Ależ siadaj, siadaj. Niech inni się trudzą, my zasiadajmy.

Czy to jakiś cytat? Może oni zawsze tak tu ze sobą gadają – cytatami? Julian siada. Już teraz odczuwa wielki przypływ czułości względem Deborah. Czułości, a może podziwu. Albo nawet miłości. Jest jego matką i zaraz umrze. I jeszcze oszukuje ją jej własny mąż. Jest piękna, dostojna i dzielna jak lwica i jeżeli się jej teraz nie kocha, to zaraz będzie za późno. Edward ceremonialnie rozstawia kieliszki do szampana na srebrnych podstawkach. Deborah jakby tego nie widziała.

– Wpół do dziesiątej pasuje ci, Ted? – pyta Milton Edwarda nad głową Deborah.

– Bardzo mi pasuje, Miltonie – mówi Edward, odstawiając kieliszek dla Lily do okienka.

Milton wychodzi na prawo.

– On ma kochankę – konfidencjonalnie informuje Juliana Deborah, gdy tylko za Miltonem zamykają się drzwi. – Gdzieś

w miasteczku, nie wiedzieć gdzie. Nie wiem nawet, czy to kochanka, czy kochanek. Lily mówi, że niegrzecznie o to pytać.

– Bo niegrzecznie, cholera – odgryza się Lily zza okienka. – Zdrowie, mamusiu.

– Twoje zdrowie, kochanie. I twoje, Julianie.

A Edwarda nie?

– Czy ty już się tu przeniosłeś na stałe, Julianie, czy jedną nogą ciągle kurczowo trzymasz się Londynu, tak na wszelki wypadek? – pyta Deborah.

– Wcale nie kurczowo, naprawdę. W ogóle za Londynem nie tęsknię. Mam tam jeszcze mieszkanie, ale właśnie próbuję je sprzedać.

– Na pewno ci się uda. Czytałam, że ceny mieszkań idą ostro w górę.

Czyli to się robi, jak się umiera? Czyta się o domach, w których już się nie zdąży zamieszkać?

– Ale od czasu do czasu jeszcze jeździsz do Londynu?

– Od czasu do czasu. – Nigdy jednak do Belsize Park.

– Tylko jeśli musisz? Czy tylko kiedy się nami nudzisz?

– Jeśli muszę, a już na pewno nie znudzę się tobą, Deborah – odpowiada niezbyt pewnie, z całych sił usiłując nie napotkać wzroku Edwarda.

I nie myśleć o Mary. Od kiedy pierwszy raz zobaczył Deborah, nie przestaje porównywać i zestawiać ze sobą obu kobiet Edwarda. Ale to nierówna walka. O ile od Mary biło ciepło, o tyle od Deborah tylko opanowanie.

Lily kilkakrotnie wybiegała z kuchni – najpierw po to, by poprawić matce fryzurę, która odniosła pewne szkody podczas zejścia po schodach, potem by pocałować ją w czoło, potem po kolejny łyk szampana, potem żeby przynieść z okienka grzanki i małe talerzyki, nim wreszcie zasiadła po prawicy Juliana, podczas gdy Edward zakrzątnął się przy półmiskach i butelkach na bufecie.

– Kto chce chrzanu? – pyta Lily. – Najlepszy, jaki jest, prosto z supermarketu. Chcesz chrzanu, stary? – To do Juliana, którego równocześnie szturchnęła łokciem w żebra.

– Wspaniale, dziękuję. Wszystko w porządku?

– Pełny luzik, stary – odpowiada, jakby razem chodzili do szkoły.

– I jeszcze wędzony węgorz, kochanie! – woła z zachwytem jej matka, jak gdyby talerz z tym daniem nie leżał przed nią na stole, od kiedy przy nim usiadła. – Uwielbiam węgorza. Świetnie to wymyśliłaś. I jeszcze możemy go popijać szampanem od Juliana. Doprawdy, co za luksus. Julianie?

– Tak?

– Chodzi mi o tę twoją piękną nową księgarnię. Czy to się uda? Nie chodzi mi o to, czy zarobi na siebie, to nie ma żadnego znaczenia, zresztą podobno jesteś okropnie bogaty. Ale czy uda się jej zaistnieć jako księgarni z porządną literaturą na potrzeby naszej społeczności? Jako instytucji siostrzanej dla naszej świetnej biblioteki? Tu, w tym naszym prowincjonalnym miasteczku, do którego turyści i przejezdni zaglądają tylko w weekendy?

Już ma gotową odpowiedź twierdzącą, ale ona szpilkę wbija dopiero teraz:

– Chodzi mi o to, czy rzeczywiście możesz zapewnić mnie z ręką na sercu, że biblioteka klasyki literackiej skusi, nie bójmy się tego zwrotu, przeciętnego Anglika.

– Jemu to się uda, mamo, możesz mi wierzyć. Julian to jest ktoś. Nie, Jules? Ja widziałam ten jego przybytek. To taki literacki Fortnum. Nie ma co się przejmować nami, przeciętnymi Anglikami. Będą tam waliły całe tłumy japiszonów.

Lily skończył się szampan, więc popija łyk białego wina.

– Ale czy na pewno, Julianie? Naprawdę, w naszych czasach? – upiera się Deborah. – Bo czy jesteś całkowicie pewien, że Edward nie wmanewrował cię w coś kompletnie nieopłacalnego? On, jak chce, potrafi każdemu zamącić w głowie. A już szczególnie synom swoich starych kolegów ze szkoły.

– Czy ty mi mącisz w głowie? – woła Julian wesoło do Edwarda, który do tej pory był zbyt zajęty ciągłym dolewaniem do kieliszków, by brać udział w rozmowie toczącej się w odległości paru kroków od niego.

– Oczywiście, że mącę, Julianie! – odpowiada zbyt wesoło. – I dziwię ci się, że jeszcze tego nie zauważyłeś. Zmuszam cię, żebyś miał otwarte po godzinach pracy. I żebyś co wieczór przyjmował

takiego bezpańskiego psa jak ja. Lily, sama powiedz, czy to nie mącenie w głowie pierwszej kategorii?

– No, w każdym razie uważaj, Julianie, tyle ci powiem – ostrzega go chłodno Deborah. – Bo inaczej pewnego pięknego dnia obudzisz się rano i okaże się, że zbankrutowałeś, bo on ci kazał kupować nie te książki, co trzeba. Julianie, czy ty jesteś chrześcijaninem?

Odpowiedź na to pytanie przychodzi mu jeszcze trudniej, bo równocześnie czuje, że Lily chwyta go za rękę pod stołem – i dlatego, że od razu się orientuje, iż nie chodzi o flirt, tylko że Lily zaciska palce na jego dłoni w taki sposób, jakby oglądali razem przerażający film i jakby już nie mogła wytrzymać ze strachu.

– Nie sądzę – odpowiada ostrożnie i równie ostrożnie ściska dla otuchy dłoń Lily, po czym ją wypuszcza. – Obecnie raczej nie.

– To oczywiste, że masz awersję do instytucji religijnych. Ja też. Mimo to przez całe życie szanowałam przesądy mojego plemienia i zamierzam być pochowana zgodnie z jego rytuałami. Czy ty należysz do jakiegoś plemienia, Julianie?

– Powiedz mi, do jakiego, Deborah, to postaram się należeć – odpowiada i ze zdumieniem znów czuje dłoń Lily na swojej.

– Dla mnie chrześcijaństwo to nie tyle religia, ile system wartości, które są mi drogie. I poświęcenia, na które jesteśmy gotowi, by te wartości ocalić. Czy będąc w bibliotece miejskiej, widziałeś ordery mojego ojca?

– Niestety nie.

– Same najwyższe odznaczenia – dodaje Lily. – Z najwyższej półki.

– To oczywiście nasza rodzinna darowizna. Kochanie, czy naprawdę powinnaś tyle pić?

– To tylko na wzmocnienie, mamo – mówi. Jej dłoń spoczywa już w dłoni Juliana, jakby przyjaźnili się od lat.

– Są zaraz przy wejściu, przy zachodniej ścianie. Leżą sobie skromnie w takiej małej gablotce z mosiężną tabliczką. Ojciec lądował w Normandii w pierwszym rzucie. Dostał za to drugi Wojskowy Krzyż Zasługi. Można poznać po baretce. Taka baretka jest w sumie niepozorna, ale znaczy naprawdę wiele.

– No tak, na pewno.

– Skoro mowa o baretce… Julianie, słyszałem, że masz bar. Bar kawowy. Na górze. Matthew mi mówił.

– A ojciec pułkownika zginął pod Gallipoli. Edward ci o tym nie mówił?

– O ile pamiętam, nie.

– No tak. Mało prawdopodobne, żeby ci mówił.

– No, panie Tedski, jak ci idzie z tym węgorzem? – pyta przez stół Lily, ani na chwilę nie puszczając dłoni Juliana.

– Na pewno przepyszny, kochanie. Zaraz się za niego zabiorę – odpowiada Edward, który nie cierpi ryb.

Julian, który właśnie przed chwilą uznał, że jego życie jest jedną niekończącą się klasą mistrzowską w unikaniu sytuacji niezręcznych, jeszcze raz bohatersko usiłuje za wszelką cenę nie dopuścić do otwartej kłótni:

– Naprawdę mam nadzieję, że uda mi się wpłynąć na władze miejskie, by wskrzesić festiwal kultury – zwraca się do Deborah. – Nie wiem, czy ktoś ci już o tym mówił.

– Nie. Nikt mi nie mówił.

– Mamo, właśnie teraz Jules ci mówi, posłuchaj – wtrąca się Lily.

– Na razie niestety mam z tym trochę pod górkę – ciągnie „Jules". – Decydenci nie są jakoś szczególnie zmotywowani. Tak sobie myślę, czy mogłabyś mi coś poradzić, w końcu znasz ich lepiej niż ja…

Mogłaby? Czy nie mogłaby?

Dłoń Lily się cofa, bo Lily musi pozbierać brudne talerze po węgorzu, żeby Edward mógł odłożyć je na okienko. Deborah zastanawia się nad odpowiedzią. Wypite pół kieliszka szampana wywołało na jej policzkach jaskrawe wypieki. Wielkie jasne oczy wręcz oślepiają bielą.

– Mój mąż, liberał z przekonania, zwierzył mi się z oryginalnego pomysłu. Według niego Wielka Brytania potrzebuje nowej elity – odzywa się wreszcie bardzo głośno. – Może to byłby twój motyw przewodni?

– Dla festiwalu?

– Nie. Nie dla festiwalu. Dla twojej biblioteczki klasyki. Precz ze starą gwardią, niech żyje… No właśnie… Niech żyje nie wiadomo co.

A jak nie nowa elita, to może nowy elektorat. Tylko że to trochę takie wycie do księżyca, prawda?

Powszechne zmieszanie. Co ona ma na myśli? Edward mianował się kuchcikiem i podaje wszystkim rybną zapiekankę. Lily siadła z powrotem za stołem, opiera podbródek na wolnej dłoni i zamyśla się głęboko. Dzielny Julian brnie dalej bez wsparcia:

– Dziwię się, że masz Edwarda za liberała, Deborah. – Jakby Edward był teraz gdzieś daleko, w innym kraju. – Bo ja raczej miałem go do tej pory za konserwatystę. Może zmylił mnie ten jego kapelusz – mówi dla żartu i zostaje nagrodzony pełnym wdzięczności parsknięciem Lily. Ale Deborah w odpowiedzi już marszczy brwi.

– To może ci wyjaśnię, Julianie, dlaczego musieliśmy zmienić nazwę domu mojego ojca na Silverview – proponuje, dopiwszy resztkę szampana jednym gniewnym haustem.

– Ależ, mamo!

– A może Edward już ci przedstawił własne podejrzane powody?

– Nie przedstawiał mi ani podejrzanych powodów, ani żadnych innych – zapewnia ją Julian.

– Kurwa, mamo, jak cię proszę…

– Zakładam, Julianie, że nawet ty słyszałeś o Fryderyku Nietzschem, ukochanym filozofie Hitlera? Chociaż Edward mówił mi, że masz pewne zaległości w niektórych dziedzinach wiedzy o kulturze…

– Mamo, naprawdę… – prosi ją Lily i tym razem zrywa się z miejsca, podbiega do mamy, głaszcze ją po ramieniu i po włosach.

– Wkrótce po naszym ślubie mój mąż samodzielnie doszedł do wniosku, że Fryderyk Nietzsche został całkiem niesłusznie osądzony przez historię.

Edward wreszcie budzi się do życia.

– Wcale nie samodzielnie, Deborah – oświadcza i czerwieni się, co u niego rzadkie. – Mit o Nietzschem, którym karmiono nas przez całe dziesięciolecia, został stworzony przez jego odrażającą siostrę i jej równie obrzydliwego męża. To oni we dwójkę zrobili z niego kogoś, kim wcale nie był, i dodam jeszcze, że w znacznej mierze stało się to długo po jego śmierci. Nie możemy pozwalać, by potwory

w historii ludzkości zawłaszczały wspaniałe, krytycznie myślące umysły dla swoich nikczemnych celów.

– No i mam szczerą nadzieję, że nikt tak nie zrobi ze mną – mówi Deborah, podczas gdy Lily wciąż gładzi ją po głowie. – Ale nawet jeśli Nietzsche był rzeczywiście najbardziej nieustraszonym zwolennikiem wolności jednostki, to co z tego? Dla mnie wolność jednostki wiązała się zawsze i nierozerwalnie z pewnymi określonymi powinnościami. Te powinności dla Nietzschego i Edwarda po prostu nie istnieją. Nietzsche i Edward mówią jednym głosem, by „robić, co się myśli", a nie „myśleć, co się robi". Przyznasz chyba, Julianie, że to bardzo niebezpieczna zasada?

– Musiałbym się nad tym zastanowić.

– Mamo, na miłość boską…

– Koniecznie się zastanów. Edward tak uwierzył w tę zasadę, że wszyscy musieli zgadzać się z nim we wszystkim. Dom Nietzschego w Weimarze nazywał się Silberblick, więc my musieliśmy nazwać nasz tak samo, tylko po angielsku: Silverview. I jakoś musiałyśmy to zaakceptować, prawda, kochanie, wiele lat temu? – To pytanie do Lily, która bezskutecznie pokrywa głowę mamy lekkimi pocałunkami.

Deborah jednak nie pozwala się uciszyć.

– A teraz opowiedz mi o sobie. Umieram z ciekawości. Nalegam.

– O sobie, Deborah? – Jakoś udaje mu się utrzymać dowcipny ton, gdy Lily znów sadowi się obok niego.

– Tak, tak, o sobie. Kto ty jesteś? Niewątpliwie mąż opatrznościowy. Prawie jak mesjasz, na którego wciąż czekają żydzi. Bez dwóch zdań. Ale aż ciśnie się na usta pytanie, dlaczego tak pośpiesznie wyniosłeś się z City. Z tego, co słyszałam, choć słyszałam niewiele, w pewnym momencie nagle stałeś się antykapitalistą. Oczywiście najpierw zbiłeś niezły kapitał, ale to zostawmy w spokoju. Czy jestem dobrze poinformowana?

– Prawdę mówiąc, Deborah, to było takie zmęczenie materiału. Wszystko przez to, że za długo zajmowałem się cudzymi pieniędzmi.

– O, za to mogę wypić! – wykrzyknął Edward, chwytając kieliszek i wznosząc go. – Zmęczenie materiału. Zaczyna się od palców, ale

potem przechodzi do mózgu. Pierwszorzędna decyzja, Julianie. Piątka z plusem!

Narasta niebezpieczeństwo, że znowu zapadnie cisza.

– A teraz kolej na ciebie, Deborah. Jeśli można. – Julian przywołuje na pomoc resztki swych zdolności dyplomatycznych. – Wiem, że Edward zna wiele języków. A ty jesteś wybitną uczoną i zdaje się, że pracujesz na państwowej posadzie. Czy mogę zapytać, czym konkretnie się zajmujesz?

Tu wtrąca się Lily, zręcznie przejmując głos:

– Tedski rzeczywiście zna tyle języków. Polski, czeski, serbsko-chorwacki, i to jeszcze nie wszystko. Po angielsku też mówi całkiem nieźle. No, tato, pochwal mu się, wylicz mu.

Edward udaje, że się wstydzi, a potem on też stara się nie dopuścić Deborah do głosu:

– Och, kochanie, ja jestem jak papuga. Co z tego, że zna się parę języków, jak nie ma się w żadnym z nich nic do powiedzenia? Zapomniałaś o niemieckim. Mówię też trochę po węgiersku. No i po francusku, rzecz jasna.

Ale rozmowę kończy ostatecznie nieznoszący sprzeciwu głos Deborah, która mówi wreszcie:

– A ja jestem arabistką – oświadcza.

*

W końcu jakoś dotrwali do kawy. Julian zdążył ukradkiem zerknąć na zegarek. Dwadzieścia po dziewiątej. Jeszcze dziesięć minut i Deborah sobie pójdzie. Lily zniknęła. Z piętra dochodzi kobiecy głos śpiewający jakąś irlandzką balladę. Edward siedzi, nie odzywa się, bawi się kieliszkiem. Deborah, wyprostowana, opiera się o poduszki z zamkniętymi oczyma niczym piękna amazonka śpiąca w siodle.

– Julianie.

– Jestem, jestem, Deborah.

– Brat mojego ojca, Andrew, pracował tu niedaleko przez całą wojnę. Był naukowcem. Bardzo zdolnym. Edward ci nie mówił?

– Chyba nie, Deborah. Mówiłeś, Edwardzie?

– Może zapomniałem ci o tym powiedzieć.

– Pracował w wielkiej tajemnicy, której dochował aż do śmierci. Śmierci z przepracowania. W tamtych czasach ludzie wiedzieli, co to lojalność. Mam nadzieję, że nie jesteś pacyfistą?

– Raczej nie.

– To nie bądź. O, jest już Milton. Punktualny jak zawsze. Nie mogę go pytać, co robił przez ten czas, to byłoby niegrzeczne. Jak miło, że nas odwiedziłeś, Julianie. Ja tu zostanę, dopóki nie wyjdziesz. Moja wspinaczka północną ścianą schodów jest zwykle znacznie mniej elegancka.

I w ten sposób Julian został wyproszony.

Edward czekał na niego w sieni. Drzwi frontowe były otwarte.

– Mam nadzieję, że to nie było zbyt bolesne – powiedział z dziarską miną i wyciągnął dłoń do energicznego uścisku.

– Było bardzo miło.

– Lily przeprasza, że cię nie żegna, ale ma teraz pewne rodzinne obowiązki.

– Oczywiście. Podziękuj jej ode mnie.

Wyszedł w noc na świeże powietrze i tylko jego nienaganne maniery sprawiły, że szedł powoli i z godnością, dopóki nie dotarł do końca ścieżki. Już miał puścić się w dół katartycznym pędem, gdy zobaczył przed sobą snop światła latarki, a na jego dalszym końcu Lily w tej swojej chuście z *Doktora Żywago*.

*

Z początku kroczyli w pewnej odległości od siebie, każde w osobnej strefie, jak ludzie nieco oszołomieni, że wyszli cało z wypadku samochodowego. Potem wzięła go za rękę. Noc była szara, mokra i bardzo cicha. Sfatygowana furgonetka wciąż tkwiła w zatoczce, ale kochankowie albo przenieśli się do tyłu, albo poszli każde w swoją stronę. Na biedniejszym końcu głównej ulicy miasteczka gromadziły się jeden obok drugiego sklepy charytatywne oświetlone pomarańczowymi lampami sodowymi. Bogaty koniec był olśniewająco biały, a jego najnowszą ozdobę stanowiły Lepsze Książki Lawndsleya. Nie zamienili ze sobą ani słowa. Poszła za nim bocznymi schodkami do mieszkania. Salon był urządzony tak

ascetycznie, jak sobie tego życzył ascetyczny mnich, który czasem dominował w jego osobowości: dwuosobowa kanapa, fotel, biurko, lampa stojąca. Okno w wykuszu powinno mieć widok na morze, ale teraz nie było żadnego morza, tylko matowe chmury i łzy deszczu. Zdecydowała się na fotel i opadła na niego, ręce zwiesiła po obu stronach jak bokser odpoczywający między rundami.

– Nie jestem zalana. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– I nie zamierzam się z tobą przespać – oświadczyła.

– Rozumiem.

– Masz jakąś wodę?

Nalał do dwóch szklanek wody gazowanej z lodówki. Podał jej jedną.

– Tata uważa, że super z ciebie gość.

– Kolegował się w szkole z moim ojcem.

– On dużo gada, co?

– Dużo? No, czy ja wiem? O czym?

– Czy ja wiem? Może o swoich babach. O tym, co czuje. O tym, kim jest. O tym, o czym ludzie gadają, jak akurat zachowują się normalnie.

– Jemu chyba po prostu jest przykro, że nie miał dla ciebie czasu, kiedy byłaś dzieckiem – odpowiedział ostrożnie Julian.

– No to, kurwa, trochę późno, nie? – Zaczęła się przyglądać swojej komórce. – A swoją drogą byłeś świetny. Grzeczniutki. Śliski jak wąż. Jak ten węgorz, kurwa. Wdzięczyłeś się do mamy jak nikt. Nie wszyscy to potrafią. Tu w ogóle nie ma sygnału?

– Spróbuj przy oknie.

Chusta z *Doktora Żywago* już wcześniej opadła jej na kark. Stojąc na tle okna i odchylając się do tyłu przy pisaniu SMS-a, wydawała się wyższa, silniejsza, bardziej kobieca. Telefon już zabzyczał w odpowiedzi.

– No i super – oznajmiła z nagłym świetlistym uśmiechem, który był dokładną kopią uśmiechu jej ojca. – Z mamą wszystko w porządku, słucha BBC przez sen. I Sam śpi jak zabity.

– A Sam to kto?

– Mój dzieciak. Teraz ma katar. Jak ma katar, jest wściekły.

Czyli to Samowi Lily śpiewa na dobranoc irlandzkie ballady. Samowi, ani razu niewspomnianemu wnukowi Edwarda. Samowi, synowi ani razu niewspomnianej Lily, córki Edwarda. Drzwi to się zamykają, to otwierają.

– Jest czarny – mówi Lily i podsuwa Julianowi komórkę, by mógł w niej podziwiać zdjęcie roześmianego chłopczyka obejmującego kark charta. – A konkretnie pół na pół, tylko że w takiej rodzinie jak moja to jedno i to samo. Mama nie ma nic przeciwko żadnemu kolorowi skóry poza czarnym. Chyba że to jej opiekunowie. Jak pierwszy raz zobaczyła Sama, nazwała go swoim małym Murzynkiem Sambo. Tata dostał szału. Ja też.

– Ale teraz, jak mieszkasz w Londynie, widujesz się z tatą od czasu do czasu?

Dlaczego powiedział „ale”?

– Pewnie.

– Często?

– Czasami.

– I co wtedy robicie? Bierzecie Sama razem do zoo?

– Mniej więcej.

– A chodzisz z ojcem do teatru?

– Czasami. A czasami na długi lunch do Wiltons niedaleko Piccadily, tylko we dwójkę. On nas bardzo kocha, no nie?

To było jak tabliczka z napisem „Obcym wstęp wzbroniony”.

*

Patrząc z perspektywy czasu, Julian najlepiej zapamiętał ciszę, jaka na nich spłynęła, spokój po bitwie, w której walczyli ramię w ramię, i niepotrzebne obawy, kogo właśnie wpuszcza w swoje życie. Pamiętał, że niezobowiązująca pogawędka o wszystkim i o niczym musiała im zastąpić rozmowy o sprawach zbyt poważnych. I że Lily, gdy mówiła o rodzicach, zawsze jakoś skupiała się na drobiazgach, jakby za żadne skarby nie chciała dopuścić go do sedna sprawy. I że zupełnie jak jej ojciec wystawiała go na próbę jako kogoś, komu kiedyś mogłaby zaufać. Kiedyś, ale jeszcze nie teraz.

Nie, ojciec Sama się nie liczy. Oboje popełnili piękny błąd o poważnych konsekwencjach, ale teraz postawiła na tym krzyżyk. Odwiedza ich regularnie, lecz i on ma teraz nowe życie, i ona też.

Tak, jest graficzką, tak jak powiedział Edward. Zaliczyła połowę kursu, potem to rzuciła, jak pojawił się Sam. Zresztą kurs był do dupy.

Napisała i zilustrowała parę książeczek dla dzieci, nie znalazła jednak wydawcy. Teraz pisze kolejną.

Razem z Samem mieszkają w maleńkim mieszkanku w Bloomsbury – to dzięki rodzicom – a ona płaci rachunki, „jak jej się uda odwalić jakiś projekt". W Silverview dostaje gęsiej skórki.

Wykształcenie? Jakie, kurwa, wykształcenie? Elitarne szkoły z internatem – od urodzenia.

Faceci? Daj spokój, Jules. I mnie, i Samowi lepiej jest we dwójkę. A ty?

Julian mówi, że na razie też odpoczywa.

Powrotną drogę przez ucichłe ulice odbyli pod rękę, ale razem doszli tylko do początku ścieżki. Julian się zastanawiał, czy Lily naprawdę uwierzyła, że Edward nie widział, jak wymykała się tylnym wyjściem. Nie znał nikogo, kto byłby tak czujny jak Edward. Zauważyłby ją, nawet gdyby była kotem.

Sfatygowanej furgonetki już nie było. Przed nimi wznosiła się teraz masywna bryła Silverview, czarna plama na tle nieba w przedświcie. Nad gankiem z wejściem wisiał żółty blask, a dwa z okien na górze były wciąż oświetlone. Lily odsunęła się od niego, wyprostowała i wzięła głęboki oddech.

– Może przyjdę i kupię u ciebie jakąś książkę – powiedziała i szybko odeszła, nie oglądając się za siebie.

9

– Od dziesiątej trzydzieści nie mamy zajęć tanecznych, tylko konsultacje aż do drugiej, proszę pana – poinformowała go oschle ze swym polsko-francuskim akcentem. – Jeżeli mnie jeszcze nie będzie, proszę usiąść w poczekalni na pierwszym piętrze i powiedzieć, że jest pan rodzicem lub opiekunem jednego z naszych uczniów i chce się ze mną naradzić.

Była dopiero dziesiąta piętnaście. Został kwadrans. Proctor siedział w obskurnej greckiej tawernie w Battersea i usiłował postawić się na nogi za pomocą drugiej już gęstej, czarnej kawy, średnio słodkiej. Po drugiej stronie zalanej deszczem ulicy wznosił się ceglany budynek Szkoły Tańca i Baletu. W łukach okien na górze cienie młodych tancerzy ćwiczyły pozy i gesty za opuszczonymi roletami.

Większą część poprzedniego wieczoru spędził pogrążony w lekturze nieprzebadanych materiałów z podsłuchu, żeby przygotować się na spotkanie przy śniadaniu z Battenbym, swoim wiceszefem, i dwiema szychami z działu prawnego. W ostatniej chwili spotkanie przełożono na dziś wieczór. W nocy spał tylko trzy godziny. Stał właśnie w ulewnym deszczu na Dolphin Square, gdy zadzwoniła Ellen, by się pochwalić, że wykopali coś superważnego i że nie może sprawić zawodu innym, więc wróci parę dni później, i nieco zbyt szczegółowo opowiadała o tym, jaka to czeka ją poważna rozmowa z biurem podróży w sprawie zmiany rezerwacji.

– Czyli zostajesz, żeby nie sprawić innym zawodu? – powiedział złośliwie. – A co takiego tam wykopaliście?

– Same cuda, Stewarcie. Ty tego nie zrozumiesz – odpowiedziała z niedbałą wyższością, która jeszcze bardziej go zirytowała. – Odkopujemy właśnie całą rzymską willę, szukali jej od lat. Wyobraź sobie, właśnie teraz ją znaleźli! Z kuchnią w nienaruszonym stanie

i z Bóg wie czym. W paleniskach były jeszcze węgle. Będzie wielka impreza, żeby to uczcić. Fajerwerki, przemowy, sama nie wiem co.

Za dużo informacji. Jedno kłamstwo za drugim, na wypadek gdyby poprzednie nie zadziałało.

– I gdzie znaleźli te wszystkie cuda? – nalegał tym samym obojętnym tonem.

– No, na wykopaliskach. Na stanowisku, na miłość boską. Na takim ślicznym pagórku. Właśnie tu jestem. A ty myślałeś, że gdzie można znaleźć taką rzymską willę?

– Pytam, gdzie jesteś geograficznie.

– Stewarcie, czy ty mnie przesłuchujesz?

– Ależ skąd! Po prostu myślałem, że jesteś w ogródku tego przyjemnego hotelu, w którym mieszkasz – odpowiedział i rozłączył się, żeby nie słuchać więcej krętactw.

*

Z brodą wspartą dłoni i z trzecią kawą po grecku pod ręką Proctor jeszcze raz przeczytał wybrane fragmenty okropnie starych akt, które jego asystentka Antonia przesłała mu na telefon:

Jest rok 1973. Special Branch znów się w kimś zakochała.

Źródło żyje tylko dla tańca. Ma do tego naturalny talent. Źródło jest tak pochłonięte swoją dziedziną sztuki, że nie ma żadnych konkretnych przekonań politycznych czy religijnych. Nauczyciele źródła uważają, że jest wzorową studentką, i wróżą jej zawrotną karierę zawodową.

Minęły cztery dekady. Special Branch zdążyła dawno się odkochać:

Od dwudziestu lat źródło żyje w wolnym związku z seryjnym aktywistą pacyfistycznym, uczestnikiem protestów na rzecz Palestyny i bojownikiem o prawa człowieka. Imię: Felix, nazwisko: BANKSTEAD (akta osobowe w załączniku). Choć źródło jest znacznie mniej aktywne niż jej partner, zauważono jej obecność na licznych pochodach, w których uczestniczy w towarzystwie BANKSTEADA, na przykład w czasie poprzedzającym wojnę w Iraku, kiedy zaobserwowano ją tyle razy na zabezpieczanych manifestacjach, że nadano jest status POMARAŃCZOWY.

Po drugiej stronie ulicy w oknach na górze zniknęły tańczące cienie. Lunęło znów tak mocno, że ruch uliczny zamarł, tylko z łuku bramy wymknęła się wieloetniczna grupa nastolatków i rozbiegła po przystankach autobusowych. Proctor zapłacił za kawę, prochowiec naciągnął na głowę i popędził między uwięzionymi w korku samochodami na przeciwległy chodnik.

Nie wiedząc, czy najpierw ma przycisnąć dzwonek, czy też wejść od razu, zrobił jedno i drugie. Znalazł się w pustym ceglanym holu obwieszonym figurami z papier mâché i zawiadomieniami o występach tanecznych. Schody ozdobione plakatami baletowymi prowadziły na galeryjkę na piętrze. Drzwi z wywieszką DYREKTOR były na wpół otwarte. Zastukał, pchnął drzwi i zaglądnął do środka. Za pulpitem na nuty stała wysoka elegancka kobieta w nieokreślonym wieku i krytycznie patrzyła, jak wchodzi. Miała na sobie czarne spodnie i bluzkę od baletowego trykotu.

– Pan Pearson?

– Tak jest. A pani jest Ania.

– A pan jest pracownikiem państwowym. I chce mi zadać parę pytań. Zgadza się?

– Całkowicie. To bardzo miło z pani strony, że zgodziła się ze mną spotkać.

– Pan jest z policji?

– Nie, nie, bynajmniej. Jestem z tej samej państwowej instytucji, która do dziś jest pani wdzięczna, że wiele lat temu w Paryżu pomogła nam pani nawiązać kontakt z Edwardem Avonem – powiedział, wręczając jej służbową legitymację ze swoim zdjęciem, ale wystawioną na niejakiego Stephena Pearsona.

Spojrzała na zdjęcie a potem – znacznie dłużej, niż się spodziewał – patrzyła na niego. Miała oczy zakonnicy: nieubłagane, niewinne, pobożne.

– Czy Edward… – urwała i zaczęła jeszcze raz: – Czy u niego wszystko w porządku? Czy on nie…

– Z tego, co wiem, Edward czuje się dobrze. Jego żona jest chora.

– Deborah?

– Tak. Wciąż ta sama. Ten pokój jest trochę za duży. Czy moglibyśmy porozmawiać gdzieś bardziej na uboczu?

*

Jej gabinet był za to bardzo ciasny. Połowę łukowatego okna z witrażem przecięto ścianką działową. Zamiast biurka stary stół na stojakach, zamiast foteli plastikowe składane krzesła. Nie wiedząc, gdzie go usadzić, sama zajęła miejsce przy stole, wyprostowana jak wzorowa uczennica, i patrzyła, jak stawia sobie krzesło naprzeciw niej. Potem na znak, że jest gotowa do rozmowy, złączyła dłonie, długie, kształtne i pełne wdzięku.

– A więc: czy nadal widuje pani Edwarda? Od czasu do czasu? – zapytał Proctor.

Zaskoczona pokręciła głową.

– Czy ma pani coś przeciwko temu, bym mówił do pani po imieniu?

– Oczywiście, że nie.

– Ja jestem Stephen. Jeśli można, przejdźmy od razu do sedna sprawy, dobrze? Jak myślisz, kiedy ostatni raz widziałaś się z Edwardem?

– Wiele lat temu. Przepraszam, dlaczego o to pytasz?

– Bez jakiegoś szczególnego powodu. Tak już jest, że od czasu do czasu robi się taki mały wywiad o każdym, kto pracuje w tajnych służbach. Po prostu teraz przyszła kolej na Edwarda, to wszystko.

– Kiedy jest taki stary? I już wcale dla was nie pracuje?

– A skąd wiesz, że nie pracuje? – podchwycił tym samym lekko dowcipnym tonem. – Mówił ci, że już dla nas nie pracuje? A kiedy ci mówił? Pamiętasz?

– Wcale mi nie mówił. Tak sobie pomyślałam.

– Ciekawe. Na jakiej podstawie?

– Nie wiem. Powiedziałam, co myślę. Ja nic nie wiem.

– Ale na pewno pamiętasz, kiedy ostatni raz się z nim widziałaś albo kiedy o nim słyszałaś.

Dalej nic.

– To pozwól, że ci pomogę. W marcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego… Wiem, to dawno temu… W marcu dziewięćdziesiątego piątego roku Edward przyleciał na lotnisko Gatwick samolotem UNHCR. Był zaniedbany, miał ze sobą tylko

brytyjski paszport i żadnego bagażu. Czy teraz ta data coś ci przypomina?

Nawet jeżeli przypominała, to Ania nie dała tego po sobie poznać.

– Był w fatalnym stanie. Napatrzył się na okropne rzeczy. Okrucieństwa. Mordowania dzieci. Wszystkie przerażające rzeczy, które dzieją się naprawdę, ale przed którymi staramy się ukryć, jak całkiem niedawno napisał do kogoś, kogo dobrze znał.

Odczekał, by jego słowa odniosły skutek, ale najwyraźniej nie odniosły.

– Potrzebował kogoś, komu mógł zaufać. Kogoś, komu na nim zależało i kto by go zrozumiał. Czy teraz coś sobie przypominasz?

Spuszczony wzrok zakonnicy. Długie dłonie się rozłączyły. Nie otrzymawszy odpowiedzi, mówił dalej:

– Nie próbował skontaktować się z Deborah, która zresztą była wtedy na konferencji w Tel Awiwie. Nie próbował skontaktować się z córką, która uczyła się w Walii w szkole dla dziewcząt. No to do kogo mógł się zwrócić w tej ciężkiej chwili? – zastanawiał się Proctor, jakby rozmawiał z członkiem własnej rodziny, który zszedł na złą drogę. – Aż do niedawna była to po prostu jeszcze jedna nierozwiązana zagadka. Sam Edward nie wiedział, gdzie wtedy był. Cztery dni trwało, nim wreszcie zameldował się w Centrali i jak wszyscy musiał uznać, że w końcu nie wytrzymał stresu ostatnich kilku miesięcy pobytu w Bośni, i przez jakiś czas snuł się gdzieś bez celu. Tylko że teraz mamy takie możliwości techniczne, że udało nam się odtworzyć billingi telefoniczne z tamtych czasów. A one mówią nam zupełnie co innego.

Urwał i spojrzał na nią, oczekując odpowiedzi, lecz odmówiły mu jej oczy zakonnicy.

– A te billingi mówią nam, że o godzinie pierwszej tamtej nocy ktoś wykonał telefon na koszt adresata z lotniska w Gatwick do twojego mieszkania w Highbury. Czy byłaś wtedy u siebie?

– Możliwe.

– Czy przyjęłaś połączenie na swój koszt we wczesnych godzinach nocnych osiemnastego marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku?

– Możliwe.

– Rozmowa była długa. Dziewięć funtów, dwadzieścia osiem pensów. W tamtych czasach to był majątek. Czy Edward przyjechał wtedy do ciebie? Aniu, słuchaj mnie, jak cię proszę.

Czy płakała? Nie widział łez, ale też nie uniosła głowy, tylko tak zaciskała palce na krawędzi stołu, że aż zbielały.

– Aniu, ja muszę to wiedzieć. Rozumiesz? Nie jestem przeciwko tobie. Edward to dobry i odważny człowiek. Wiemy to oboje. Ale w nim siedzi wielu różnych ludzi naraz. I jeżeli jeden z nich zszedł na manowce, musimy to wiedzieć, żeby mu pomóc, jeśli będzie trzeba.

– On nie zszedł na żadne manowce!

– Pytam cię, czy tamtej nocy prawie dwadzieścia lat temu był u ciebie Edward. Przecież to proste pytanie. Tak czy nie? Czy Edward był wtedy u ciebie, czy nie był?

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy, i zobaczył teraz nie łzy, tylko gniew.

– Ja nie mieszkam sama, proszę pana – powiedziała.

– Wiem o tym.

– On ma na imię Felix.

– O tym też wiem.

– Felix też jest dobrym człowiekiem.

– Zgoda.

– To Felix otworzył Edwardowi. To Felix zapłacił za taksówkę z Gatwick. To Felix witał Edwarda w naszym domu. Niestety nie mamy pokoju gościnnego. Przez cztery dni Edward spał u nas na kanapie. Felix jest muzykologiem. Ma obowiązki względem swoich studentów. Nie może ich zawieść. Ja na szczęście mam tu w szkole zastępczynię, więc mogłam zostać w mieszkaniu i opiekować się Edwardem.

Chwila przerwy, gniew zelżał.

– Edward czuł się bardzo źle. Nie chciał lekarza, ale nie chciałam zostawić go samego. Czwartego dnia Felix dał Edwardowi jakieś swoje ubrania i zabrał go do fryzjera, żeby go ogolił. W poniedziałek podziękował nam i się pożegnał.

– I przez te cztery dni cudownie ozdrowiał – powiedział Proctor nie bez ironii.

To ją na powrót zezłościło.

– Co to znaczy „ozdrowiał”? Kiedy od nas poszedł, był już spokojny. Uśmiechnięty. Wdzięczny. Zabawny. I znowu nieszczery. Był znowu Edwardem. Więc jeśli to jest ozdrowienie, to tak, ozdrowiał, proszę pana.

– Ale jak tego samego dnia dotarł do Centrali, to co, znowu zachorował? Bo tam twierdził, że nie wie, gdzie się podziewał przez cztery dni. Myślał, że ubranie dostał z Armii Zbawienia, ale nawet tego nie był pewien. Myślał, że ogolili go też w Armii Zbawienia. I nie miał pojęcia, skąd wziął pieniądze na autobus. To dlaczego nas okłamywał? Dlaczego ty teraz kłamiesz?

– Nie wiem! – krzyknęła w odpowiedzi. – Idź do diabła! Nie jestem twoim szpiclem!

Świat Proctora nagle zachybotał i zaraz wyprostował się z powrotem. Zrozumiał wszystko. To nie Ania go okłamywała, tylko Ellen. Wątpił, czy Ania w ogóle potrafiła kłamać. Jeżeli kłamała, to przez pomyłkę. Na pewno nie w żywe oczy. I na pewno nie dla własnej satysfakcji, podczas gdy jej kochaś archeolog uśmiechał się z zachwytem, leżąc obok niej w łóżku. Jeżeli rzeczywiście tak to się odbyło.

*

– Czy Edward był inny, kiedy wtedy pojawił się u was? – zapytał cicho Proctor.

– Może.

– W jaki sposób?

– Nie wiem. Nie był inny. Był zaangażowany. Edward zawsze był zaangażowany.

– Zaangażowany w sprawę Salmy?

– Salmy? – Udała, że nie wie, o kogo chodzi, ale bez przekonania.

– Tej kobiety, którą tak podziwiał, a która przeszła straszną tragedię w Bośni. Matki zamordowanego chłopca. Wdowy po zamordowanym lekarzu.

Zmarszczyła brwi i równie nieprzekonująco udawała, że próbuje sobie przypomnieć.

– Może z Felixem o niej rozmawiał. Może było mu łatwiej mówić o niej z mężczyzną. Bo on rozmawiał z Felixem przez wiele, wiele godzin.

– O nie. Z Felixem rozmawiał, jak zbawić świat. To akurat wiemy. Równie dobrze jak ty. Od tego czasu piszą do siebie regularnie. Ale z tobą na pewno rozmawiał o Salmie. Bo w jego życiu stało się coś ogromnie ważnego. Jak wtedy w Paryżu, kiedy ci powiedział, że już nie wierzy w komunizm. Bo ty go zrozumiesz. I tylko ty.

– A jego żona? Deborah? – zapytała zaczepnie. – Ona go nie rozumie?

Ale jej złość była równie krótkotrwała jak Proctora.

– Żałował, że nie zginął w jej obronie – powiedziała. – Było mu wstyd. Chciał jechać za nią do Jordanii. Powiedziała mu: wracaj do domu, do żony, do dziecka, bądź człowiekiem Zachodu. Była jego pasją. Miał fioła na jej punkcie. Nie była wierząca. Była mądra. Doskonała. Tragiczna. Szlachetna. Jej rodzina przechowuje klucz do starej bramy w świętym mieście Jerozolima. Klucz do Bramy Damasceńskiej. A może do Bramy Jafy. Nie pamiętam.

Czy Proctor dosłyszał w jej głosie nutkę zniecierpliwienia? A może nawet zazdrości?

– Trzymał ją w tajemnicy – dodał. – Zastanawiam się, dlaczego do tego stopnia trzymał ją w tajemnicy przed wszystkimi.

– Ze względu na Deborah.

– Żeby nie było jej przykro?

– To jego żona.

– Ale jak sama twierdzisz, Salma była jedynie jego obsesją. To przecież nie był żaden romans. Tylko co? Może coś większego? Nawrócenie? Wielka duchowa przemiana, którą chciał ukryć przed wszystkimi? Przed żoną, przed Firmą? Czy nie o tym rozmawiał z Felixem?

Nagle miał przed sobą zupełnie inną Anię. Jej twarz była teraz nieprzystępna jak zamkowa brama.

– Felix jest humanistą. Zaangażowanym humanistą. To wie pan doskonale, panie… Pearson. On rozmawia o różnych ważnych sprawach z różnymi ludźmi. Ja go o nic nie pytam.

– To może ja sam go zapytam. Wiesz, gdzie go mogę znaleźć?

– Felix jest w Gazie.
– Przecież i to wiemy. Pozdrów go ode mnie.

*

Z górnego piętra autobusu linii 113 otwartym tekstem SMS do Battenby'ego, wiceszefa Firmy, jeszcze przed wieczornym spotkaniem:

> Należy zakładać od tej pory, że jeśli figurant nie wiedział wcześniej, że się nim interesujemy, to teraz wie na pewno.
> Pearson

10

Deborah Avon nie żyje. Julian miał wszystkie najważniejsze informacje już kilka godzin po jej śmierci.

O szóstej wieczorem pielęgniarka onkologiczna wezwała Lily do jej wezgłowia. Deborah przekazała Lily pierścionki, które miała na palcach, i kazała poprosić Edwarda, który był u siebie.

Po jego przybyciu zażądała, by Lily i pielęgniarka zostawiły ją sam na sam z mężem. Edward i Deborah przebywali za zamkniętymi drzwiami około piętnastu minut. Potem Edward został wyproszony i najwyraźniej miał już nie wracać.

Następnie przyszła kolej na Lily, by zasiąść przy matce, podczas gdy pielęgniarka zajęła krzesło w korytarzu – na tyle daleko, że nic nie słyszała. Lily stwierdziła potem, że rozmowa trwała dziesięć minut, ale nie ujawniła jej treści Julianowi. Później pielęgniarkę wpuszczono z powrotem. Razem z Lily były już u chorej do końca. Jeszcze przed godziną dwudziestą pierwszą Deborah za pomocą morfiny została wprowadzona w stan śpiączki farmakologicznej. Około północy lekarz stwierdził zgon.

Natychmiast zrealizowano pozostawione przez Deborah instrukcje postępowania po jej śmierci. Ciało zabrano do Sali Pożegnań, ale nie miało być żegnane ani odwiedzane przez nikogo. Przez absolutnie nikogo. Zwłaszcza przez jej męża, co podkreśliła szczególnie mocno. By zapobiec jakimkolwiek nieporozumieniom, kopię listu z pożegnalnymi instrukcjami zawczasu przekazano zakładowi pogrzebowemu.

Julian dowiedział się o śmierci Deborah, gdy dzwonek u drzwi jego księgarni odezwał się nieustępliwie o szóstej rano. Narzucił szlafrok i zbiegł po schodach. Na progu zobaczył Lily. Oczy miała suche, mocno zaciśnięte szczęki i nie była zdolna wykrztusić choćby słowa.

W pierwszej chwili się przeraził – potem sam się sobie dziwił – że coś się stało Samowi. Jednak natychmiast uzmysłowił sobie, że Lily

nie stałaby teraz przed nim, Julianem, i nie gapiłaby się na niego, tylko byłaby przy Samie. Później opowiadała mu, że jechała z ciałem matki w furgonetce z zakładu pogrzebowego, ale tylko do Sali Pożegnań, bo tak zarządziła Deborah.

Kierując się poczuciem przyzwoitości, którego sam potem nie umiał wytłumaczyć nawet sobie, Julian poprowadził ją nie do swojego mieszkania, lecz do baru kawowego Guliwer.

Choć i Lily, i Sam odbyli już kilka przelotnych wizyt w księgarni w ostatnich dniach życia Deborah, do Guliwera jak dotąd nie dotarli. Samowi wystarczyło tylko jedno spojrzenie na pomalowane w krasnoludki schody, by wydać z siebie wrzask mrożący krew w żyłach.

Pierwsza reakcja Lily na widok wystroju baru kawowego była niewiele lepsza:

– Ale kicz!

– Co?

– No, te okropne bohomazy! Kto ci je robił? – A gdy się dowiedziała, że to ktoś od Matthew: – No nie, ona jest do niczego.

– Nie ona, tylko on.

– No to on jest jeszcze bardziej do niczego – oświadczyła i zasiadła na stołku barowym. – Umiesz to obsługiwać? – Wskazała krótkim, tępo zakończonym palcem na ekspres do kawy.

Umiał.

– Poproszę duże cappuccino z czekoladą ekstra. Ile płacę?

Ale tylko to zdążyła powiedzieć i rozpłakała się na dobre. Kiedy Julian usiłował ją objąć, odepchnęła go i szlochała jeszcze bardziej. Zrobił jej to duże cappuccino z czekoladą ekstra, ale nawet nie zwróciła na nie uwagi. Dał jej szklankę wody, którą w końcu wypiła.

– Gdzie jest teraz Sam? – zapytał.

– U cioci Zosi.

Ciocia Zosia to dawna niania Lily, mądra Słowianka o twarzy pooranej jak pobojowisko.

– A Edward?

Patrząc przed siebie, mówiła krótkimi rzeczowymi zdaniami. Zebrane razem stworzyły następujący obraz:

Edward i Deborah zawsze spali oddzielnie, bo w ogóle wszystko robili oddzielnie. Popatrzywszy przez chwilę na ciało matki, Lily wyszła na korytarz, by zawołać Edwarda. Kiedy nie wyszedł ze swojej sypialni, zaczęła się dobijać: „Tato, tato, mama nie żyje". Był świeżo ogolony. Poczuła jego krem do golenia o zapachu sandałowca. Nie miała pojęcia, kiedy się ogolił. Ani on, ani ona nie uronili nawet jednej łzy. Uściskał ją, ona jego. Potem chwyciła go za ramiona i potrząsnęła nim, żeby się ocknął. Ale nie chciał się ocknąć.

Wtedy wzięła jego głowę w obie ręce i zmusiła go, żeby na nią popatrzył, choć się wzbraniał. Jeżeli w końcu cokolwiek wyczytała z jego twarzy, to nie żal, tylko jakby determinację.

– Mówi mi: Lily, musimy porozmawiać. Ja na to: Rozmawiajmy. Tato, rozmawiajmy, na miłość boską! A on: Lily, porozmawiamy wieczorem. Tylko na pewno bądź w domu na kolacji. Kurwa, jakbym chciała wyskoczyć na dyskotekę w dniu śmierci mojej mamy!

– A teraz? – zapytał Julian.

– A teraz wziął auto i pojechał na swój ulubiony długi spacer.

Przez godzinę, może dłużej, Lily odbywała żałobę w samotności, siedząc na stołku w Guliwerze. Od czasu do czasu to wpatrywała się ze zdziwieniem w poziome lustro nad ekspresem, to spozierała z obrzydzeniem na malowidła na ścianie. Julian co chwila zaglądał do niej ukradkiem. Kiedy zajrzał któryś już raz, Lily nie było – tylko nietknięte cappuccino z czekoladą ekstra wciąż czekało na ladzie.

*

Wróciła następnego dnia przed południem, tym razem z Samem.

– No i co z Edwardem? – zapytał ją Julian.

– W porządku. A co?

– No bo wczoraj wieczorem mieliście spotkać się na kolacji. Chciał z tobą pogadać.

Nagle zaczęła odpowiadać wymijająco.

– Chciał? A tak, rzeczywiście.

– Ale to nie było nic złego? Nic drastycznego?

– Drastycznego? Dlaczego zaraz drastycznego? – odpowiedziała z lekkim zdziwieniem i bardzo w stylu ojca: pytaniem na pytanie.

Znak z napisem „Wstęp wzbroniony” był aż nadto widoczny.

– A co poza tym robi teraz Edward? – zapytał jakby od niechcenia, niby nie zmieniając tematu, ale jednak.

– Poza czym?

– No…

Wzruszyła ramionami.

– Żyje we własnym świecie. Krąży wokół zamkniętej strefy mamy. Podnosi coś, odkłada.

– Jakiej zamkniętej strefy?

– Mama miała swoją melinę. Zabezpieczoną przed pożarem, bombami, włamywaczami, rodziną. W suterynie na tyłach domu. Zrobili ją i wyposażyli specjalnie dla niej – powiedziała to tym samym obrażonym tonem.

– Kto?

– No jak myślisz, kurwa? Secret Service, a kto?

*

Czy rzeczywiście tak myślał?

No cóż – może w pewien sposób i od jakiegoś czasu mógł coś podejrzewać, choć nawet w myślach tak tego nie sformułował. Czy Lily po prostu się wygadała, czy chciała dać mu nauczkę za wścibstwo?

Wolał nie pytać. Była w końcu nieodrodną córką swego ojca. Jej rezerwa – by nie rzec: skrytość – stanowiła w równym stopniu efekt jej natury i natury Edwarda. Jako jedynak, a więc dorastając bez sióstr, Julian był niejako skazany na traktowanie wszelkich relacji między ojcem i córką z mieszaniną podejrzliwości i niemal zabobonnej czci.

Lily nie uchyliła więc przed nim rąbka tajemnicy co do zapowiedzianej rozmowy z ojcem i zachowywała podobną wstrzemięźliwość co do tego, co powiedziały sobie z matką przy łożu śmierci. Mimo to Julian nie mógł pozbyć się wrażenia, że obie rozmowy były też opatrzone jakąś całkiem oficjalną klauzulą tajności. To wrażenie się nasiliło, gdy Lily oznajmiła mu od niechcenia, że następnego dnia nie przyjdzie go odwiedzić, bo musi

być w Silverview, kiedy „faceci w brązowych kombinezonach przyjadą zabrać mamy sejf, komputer i w ogóle cały ten szajs”.

– Na miłość boską, jacy faceci? – zapytał Julian z nieudawanym zdziwieniem.

– No, faceci od mamy. Julian, orientuj się. Ludzie, dla których pracowała.

– W spółkach skarbu państwa?

– Aha, akurat. W spółkach skarbu państwa. No właśnie. Faceci ze spółek skarbu państwa. Taki będzie tytuł mojej najnowszej książki.

*

Lily się zdekonspirowała – jeśli tak to można nazwać – dopiero w chwili, gdy przygotowania do pogrzebu weszły w zasadniczą fazę. Odbyło się to w Guliwerze, gdzie mimo kiczu na ścianach urządziła sobie polowy punkt dowodzenia.

Cztery dni po śmierci Deborah. Przerażenie Sama na widok schodów w bajkowe motywy ustąpiło bez śladu w dniu, gdy Julian wziął go na barana i pomaszerował z nim na górę do wtóru idiotycznej wojskowej piosenki o wielkim księciu Yorku. Sam i Matthew polubili się od początku. Czasem wpada też Milton, były opiekun Deborah. Macha do obecnych, kładzie się na podłodze i razem z Samem układają puzzle ze zwierzętami, nie zamieniając przy tym ani słowa.

Ale tym razem w porze lunchu na miejscu są tylko Julian, Lily i Sam. Sam pościągał z półek wszystkie książki dla dzieci i teraz rozkłada je wokół siebie na podłodze. Julian właśnie wrócił z kanapkami i zastał Lily pogrążoną w rozmowie przez telefon:

– Aha, rozumiem. Dobrze, pogrzeb państwowy… Pewnie… Trudno, niech będzie… – I gdy tylko się rozłączyła, a może nawet wcześniej: – Ja pierdolę.

– Co pierdolisz? – zapytał pogodnie Julian.

– Już wszystko ustalone. Będzie miała państwowy pogrzeb. Z całym, kurwa, ceremoniałem. My nie mamy nic do gadania. Za tydzień od jutra, w samo południe. A potem jeszcze stypa w Royal Haven. Mama chciała pogrzebu w sobotę, żeby mogli się pojawić

starzy kumple z Secret Service, no to będzie w sobotę. – Nagle sobie przypomniała: – Aha, przy okazji. Tata chce, żebyś był jego drużbą.

– Czym?!

– No, żebyś razem z nim taszczył trumnę. Nie wiem, kurwa, jak to się nazywa. Ja się na tym nie znam, rozumiesz? Tata też się nie zna. Dlatego to takie trudne, rozumiesz czy nie?

– Nie mówię, że jest łatwe.

– I dobrze – odpowiada Lily i tym razem przypomina bardziej matkę niż ojca.

– A dlaczego pogrzeb ma być państwowy? – pyta Julian. Ku jego zdziwieniu wojowniczo usposobiona Lily zamyśla się na chwilę.

– Nie rozumiesz? Bo my jesteśmy szpiedzy. Mama jest jednym szpiegiem, tata drugim, a ja ich bohaterską łączniczką. – Wściekłość powróciła: – I dlatego to wszystko jest takie pojebane. – Zaciśnięta pięść uderza w ladę z nierdzewnej stali. – Mama musiała całe życie się tajniaczyć. Nawet nie wolno jej było założyć sobie tego pierdolonego medalu na jedenastego listopada, ale jak tylko umarła, zaraz chcą ją, kurwa, spławiać statkiem po Tamizie i żeby orkiestra reprezentacyjna grała nabożne pieśni.

Powoli, krok po kroku, opowiedziała mu wszystko. Okazało się, że już kilka godzin po śmierci Deborah do Lily zadzwoniła specjalistka od pogrzebów pracowników Firmy i domagała się opóźnienia uroczystości na tyle, by zdążyła rozesłać wici – tak się wyraziła. Lily szczególnie nie spodobał się sposób mówienia tej pani: mówiła jak Margaret Thatcher dławiąca się ziemniakiem.

Teraz pani od pogrzebów była gotowa do pracy, czyli już rozpuściła te swoje wici. Na tę chwilę spodziewała się od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu żałobników – czynnych i emerytowanych pracowników Firmy wraz z osobami towarzyszącymi. Firma chętnie pokryje dwie trzecie kosztów przyjęcia po pogrzebie, wycenionego przez Royal Haven na dziewiętnaście funtów od osoby: kanapki z zestawu C, wino białe i czerwone, sześć osób obsługi. Okolicznościowe przemówienie, nie dłuższe niż dwanaście minut, wygłosi jeden z wyższych urzędników.

– A czy ten wyższy urzędnik jakoś się nazywa? – pyta dla żartu Julian.

– Harry Knight – odpowiada Lily i dodaje głosem pani specjalistki: – Knight, czyli rycerz. Rycerz w srebrnej zbroi, kochana pani.

A Edward? Jak Edward znosi panią od pogrzebów?

– Tata ma wywalone. Jeżeli mama coś zarządziła, to on się zgadza. Lepiej go o nic nie pytaj. – Znowu „wstęp wzbroniony".

Na znak żałoby zaczęła nosić swoją żywagowską chustę ciasno zawiniętą na głowie, przez co można było ją rozpoznać tylko od przodu.

*

Dni wlokły się niemiłosiernie. Po południu Lily szła z Samem na plac zabaw albo na spacer nad rzeką, a Julian do nich dołączał, gdy akurat nie miał nic do roboty w księgarni. Czasem wpadała bez zapowiedzi ciocia Zosia i brała Sama na przechadzkę – Zosia, która według Lily „robiła dla taty jakieś pojebane sprawy za granicą". Zresztą Julian wiedział już, że lepiej o nic nie pytać. Powoli się uczył, że cały klan Avonów i wszystkich jego członków jednoczą nie ich wspólne tajemnice, lecz te, które przed sobą ukrywają, i nawet zaczynało mu to trochę przypominać jego własne dzieciństwo.

Jednak – choć bardzo powoli to do niego dotarło – Lily zaczynała skutecznie wydobywać się z tego więzienia.

Jest wczesny wieczór, słońce po deszczu. Julian i Lily idą na spacer, trzymając się za ręce. Julian odgaduje, że Lily jest myślami przy Deborah. Przed nimi idą Sam i ciocia Zosia.

– Wiesz, co było w mojej kawalerce w Bloomsbury, zanim się tam wprowadziłam?

Julian żartuje, że może burdel. Lily wybucha gromkim śmiechem.

– Lokal konspiracyjny, idioto! A jak się zdekonspirował, pozwolili mamie go kupić po kosztach w uznaniu dla jej zasług. I mama zrobiła mi prezent. Fantastyczna sprawa, tylko jeszcze przez miesiąc nie mogliśmy się wprowadzić. Wiesz czemu? No zgadnij!

Grzyb na ścianie? Szczury? Czek był bez pokrycia?

– Bo musieliśmy czekać, aż odpluskwiacze dadzą nam zielone światło.

I ku jej wielkiej radości Julian daje się nabrać. Może rozmyślnie.

– Nie prawdziwi odpluskwiacze, idioto! Ludzie od podsłuchu. Mieli posprzątać pluskwy. Oficjalnie: urządzenia podsłuchowe. Nie zakładali ich, tylko wyciągali. Ciągle miałam nadzieję, że jakąś pluskwę przeoczyli, żebym mogła im przez nią nagadać świństw.

Ale jego najbardziej cieszy jej śmiech i dotyk jej ręki na plecach, i to, jak za chwilę znów się zamyśla.

– W miasteczku mówią, że Deborah pokłóciła się z Edwardem o kolekcję chińskiej porcelany twojego dziadka – rzuca Julian. Ryzykownie, jakby na próbę.

– Nic o tym nie wiem. – Lily wzrusza ramionami. – Mama zawsze mówiła, że niedobrze się jej robiło na sam widok tych pieprzonych skorup i że oddali wszystko na przechowanie, by oszczędzić na ubezpieczeniu.

A tata? Lepiej nie pytać.

Julian jednak mimo wszystko powtarza, jak to ktoś mu mówił, że porcelana z epoki Ming to hobby Edwarda na emeryturze.

– Hobby? Przecież tata nawet się na tym nie zna – drwi sobie Lily.

A co do nieporozumień między rodzicami, to Lily wie tylko – od cioci Zosi, która trochę wtedy pomagała w domu – że były jakieś straszne krzyki „w melinie mamy", do której Edward teoretycznie nie miał wstępu z powodu tajemnicy służbowej. Ale Lily była sceptyczna: Zosia to nie zawsze najbardziej wiarygodne źródło informacji.

– A jeżeli ktoś krzyczał, to tylko mama. Tata w życiu na nikogo nie podniósł głosu. Może tata jakoś ją obraził, choć chyba nie, bo on nigdy nikogo nie obraża. To może mama obraziła jego. A może tego w ogóle nie było.

– A ty tam byłaś?

– W melinie mamy? Raz. Możesz sobie raz rzucić okiem, ale tylko raz. Mówię, że świetnie. Czyli masz tam kartotekę, masz zielony telefon na czerwonej podstawce i masz parę olbrzymich komputerów. To co ty właściwie robisz, mamo? Bronię ojczyzny, kochanie. Przed wrogiem. Mam nadzieję, że któregoś dnia ty też będziesz bronić ojczyzny.

– A Edward? – pyta Julian. – Przed kim on nas broni?

Musi czekać, aż Lily zdecyduje się odpowiedzieć.

– Tata?

– Tak. Tata.

– On miał jakieś specjalne zadania. Tyle tylko mi kiedyś powiedzieli przy obiedzie. Próbowałam pytać mamę. Co tata robił w Bośni, kiedy ja byłam w internacie? Organizował pomoc humanitarną, kochanie. I jeszcze trochę tego, trochę tamtego. Co to, kurwa, znaczy, trochę tego i tamtego? Nie przeklinaj, kochanie.

– A taty nie pytałaś wprost?

– Właściwie to nie.

*

I może nic w tym dziwnego, że uwalniając się po kolei od tych wszystkich tajemnic, Lily zostawiła sobie na sam koniec najbardziej bulwersujące wyznanie.

– I jeszcze mama kazała mi raz zawieźć jeden list do Londynu – wyrzuciła z siebie nad piwem w Odpoczynku Rybaka. – Do lokalu konspiracyjnego na South Audley Street. Dzwonić trzy razy, prosić Proctora.

Julian mógł oczywiście odpowiedzieć w tym momencie, że on też dostarczył kiedyś list w zaufaniu, choć nie od jej matki, a od ojca. Ale powstrzymał się nie tyle ze względu na solenną obietnicę złożoną Edwardowi, ile z troski o Lily. Trzy dni przed pogrzebem matki to nieodpowiedni moment, by wyjawiać, że jej ojciec ma od lat romans z piękną bezimienną kobietą.

– Zresztą ja sama mu się przyznałam – powiedziała zaczepnie. – Zanosiłaś komuś jakiś list od matki? Zanosiłam. Proctorowi? Tak, kurwa, Proctorowi. Wiedziałaś, co było w liście? Nie wiedziałam, kurwa, ale Proctor też mnie o to pytał. Potem tata uściskał mnie i powiedział, że wszystko w porządku, że dobrze zrobiłam i że on też dobrze zrobił.

– Ten Proctor?

– Nie Proctor, na miłość boską, tylko tata. Dał mi swoje papieskie błogosławieństwo. Stał przed kominkiem w salonie, przed tym, którego nigdy nie rozpalamy: idź, dziecię, w pokoju, twoja matka to

wspaniała kobieta, ja też robię, co do mnie należy, i tylko szkoda, że ona i ja zamieszkujemy dwa różne światy.

– Zrobił, co do niego należało? Czyli co?

I znowu te zatrzaskujące się przed nim drzwi.

– Oni mieli po prostu różne swoje tajemnice – ucięła.

*

Drogi Julianie,
wybacz, że w tych trudnych chwilach nie odpowiedziałem wcześniej na Twoje wyrazy współczucia. Stratę Deborah odczuwają boleśnie wszyscy, którzy ją znali. Chciałbym Ci przekazać, że jestem głęboko wzruszony, że pomagasz Lily w przykrym obowiązku przygotowań do pogrzebu, które w bardziej sprzyjających okolicznościach spadłyby na moje ramiona. Czy jednak znalazłbyś godzinę lub dwie, by jutro po południu odbyć ze mną przechadzkę dla zdrowia? Dzień zapowiada się pogodny. Proponuję godzinę trzecią. Załączam mapę.

Edward

– Do Orfordu? – powtórzył przerażony Matthew, gdy Julian powiedział mu przypadkiem, dokąd się wybiera. – No, jeżeli ktoś lubi pobojowiska…

*

Dzień był tak piękny, jak tylko bywają dni późną wiosną. Podobno miał padać deszcz, ale błękit nieba bynajmniej na to nie wskazywał. Land cruiser Juliana, który najlepsze lata miał już za sobą – nie prowadziło się go tak przyjemnie jak porsche, którego się wyrzekł, ale nadawał się świetnie do wożenia książek – był tak wysoki, że Julian widział ponad żywopłotami, jak nowo narodzone jagnięta czynią pierwsze, jeszcze niezgrabne kroki w życie. Przez prawie czterdzieści kilometrów jechał pośród ślicznego krajobrazu, którego sielankowych widoków nie mącił ani jeden dom, ani jedna ludzka

istota. Żonkile i kwitnące drzewa przywoływały wspomnienia o wiejskich parafiach sprzed upadku ojca.

Myśl o spotkaniu z Edwardem przynosiła mu ulgę. Już od wielu dni ten pracownik organizacji humanitarnej w Bośni, sekretny kochanek, szpieg i wreszcie wdowiec, najwyraźniej nieodczuwający żadnych wyrzutów sumienia, był dla niego jak duch błądzący niczym ojciec Hamleta po słabo oświetlonych korytarzach Silverview, rzadko odzywający się do córki i odbywający bez ostrzeżenia tajemnicze przejażdżki.

Po prawej stronie pojawił się stary zamek o trzech wieżach. GPS doprowadził Juliana na ulizany, wiejski ryneczek, stamtąd odnogą w dół głęboko wciętej zatoczki. Wielki, pusty parking ginął w cieniu rzucanym przez wysokie drzewa. Gdy parkował, z cienia wyłoniła się nowa wersja Edwarda: Edward amator świeżego powietrza w zielonej impregnowanej kurtce, wymiętej czapce i butach turystycznych.

– Edwardzie, tak mi przykro – powiedział Julian, ściskając jego dłoń.

– To miło z twojej strony, Julianie – odpowiedział w roztargnieniu Edward. – Deborah miała o tobie bardzo dobre zdanie.

Ruszyli. Julian nie potrzebował ponurego ostrzeżenia od Matthew. Przecież przebił się jakoś przez *Pierścienie Saturna*. Wiedział, czego się spodziewać po tej samotnej placówce z dala od ludzkich siedzib. Wiedział, że nawet rybacy bali się tam zaglądać. Szli ścieżką dla pieszych wzdłuż kontenerów na śmieci, wspięli się na rachityczne drewniane schodki, przebrnęli przez zwały błota i morskich śmieci i wkrótce znaleźli się na równie zaśmieconym nabrzeżu.

Edward skręcił w lewo. Grobla była tak wąska, że musieli iść gęsiego. Znad morza nadlatywały wielkie krople deszczu. Edward nagle obrócił się na pięcie.

– Prawdę mówiąc, Julianie, to miejsce słynie z ptasiej fauny – oznajmił z dumą właściciela. – Mamy tu czajki, kuliki, bąki, świergotki łąkowe i szablodzioby, nie wspominając już o wielu gatunkach kaczek. – Teraz mówił prawie jak kelner recytujący oferty dnia. – O popatrz, proszę. Słyszysz, jak samica kulika nawołuje partnera? Tam, tam, gdzie ci pokazuję palcem.

Julian udał, że patrzy, ale przez dłuższą chwilę widział tylko to, co wznosiło się na horyzoncie: pozostałości po naszej cywilizacji, gdy zniszczy ją jakaś przyszła katastrofa. Bo czego tam nie było: z mgły wyłaniały się całe lasy nieczynnych anten, porzucone hangary i baraki, budynki mieszkalne i sztabowe, pagody na słoniowych nogach, w których testowano zapalniki do bomb atomowych, o stromych dachach, lecz bez ścian – na wypadek gdyby przyszło najgorsze. A u swoich stóp zobaczył tabliczkę z ostrzeżeniem, by poruszać się tylko po wyznaczonych ścieżkach z powodu niewybuchów.

– Czy to straszne miejsce robi na tobie wrażenie? – zapytał Edward, widząc jego reakcję. – Bo na mnie robi.

– Czy dlatego tu jeździsz?

– Dlatego – odpowiedział z niezwykłą dla niego szczerością. Po czym uczynił coś, czego nigdy przedtem nie robił: wziął Juliana pod rękę. – Posłuchaj. Słyszysz? No powiedz teraz, co słyszysz oprócz krzyków tych ptaków. – Ale Julian słyszał tylko świst i huk wiatru. – Jak to? Nie słyszysz huku dział z naszej chwalebnej brytyjskiej przeszłości? Jak to? Nie słyszysz armatnich salw?

– A co ty słyszysz? – zapytał zdezorientowany Julian i usiłował śmiechem sprawić, by Edward nie patrzył na niego tak surowo.

– Ja? – Jak zwykle zdziwił się, że Julian o to pyta. – Jak to? Ja słyszę, jak gra z armat salwa. Z naszej chwalebnej przyszłości. A cóż innego?

No właśnie, pomyślał Julian. Cóż innego. I zdziwił się jeszcze bardziej, gdy po dojściu na koniec łachy piasku Edward ponownie wziął go pod ramię, poprowadził do ławki pozbijanej z kawałków drewna wyrzuconego na brzeg i usiadł razem z nim.

– Pomyślałem sobie, że przez jakiś czas nie będziemy mieli okazji, by porozmawiać na osobności – oświadczył nagle.

– A to czemu?

– Po pogrzebie wiele rzeczy może się zmienić. Pojawią się nowe imperatywy, nowe życie. Nie mogę bez końca pasożytować na twojej księgarni.

– Pasożytować?

– Teraz, gdy nie ma już z nami biednej Deborah, nie będę miał wymówki.

– Nie potrzebujesz żadnej wymówki, Edwardzie. W każdej chwili będziesz mile widziany. Przecież tworzymy razem wspaniałą bibliotekę. Pamiętasz?

– Pamiętam, i byłeś dla mnie bardzo dobry, i jest mi wstyd, że musiałem nadużyć twojej gościnności, ale niestety było to konieczne. – Konieczne? – Nasza Republika ma już mocne podstawy. Teraz trzeba jej tylko twojego talentu organizacyjnego, który przecież masz. Ja jestem niepotrzebny. Moja przyjaciółka ma o tobie dobre zdanie.

– Mary?

– Nie boi się, że mnie zdradzisz. Przecież nie wahała się powierzyć ci odpowiedzi na mój list. Nazwała cię człowiekiem uczciwym. A jest kobietą, która zna się na ludziach.

– Czy u niej wszystko w porządku?

– Dziękuję, z przyjemnością stwierdzam, że nic jej nie grozi.

– To bardzo się cieszę.

– No właśnie.

Rozmowa się urwała. Julian nie wiedział, co powiedzieć, Edward zaś zbierał myśli.

– Zauważyłem też, że darzysz sympatią moją córkę. Czy nie odstrasza cię jej chwilami gwałtowne zachowanie?

– A powinno?

– Powiem tylko, że Lily raczej nie skrywa swoich uczuć.

– Może musiała ukrywać zbyt wiele innych rzeczy – zaryzykował Julian.

– A Sam ci nie przeszkadza?

– Sam? Raczej pomaga.

– Któregoś dnia to on będzie rządził światem.

– Miejmy nadzieję. Ale ty chyba nie każesz mi się z nią ożenić, co?

– Ależ mój drogi, nic tak ostatecznego. – Twarz Edwarda rozjaśnił na chwilę przebłysk uśmiechu. – Chciałem się tylko upewnić, że Lily nie ulokowała swych uczuć w niewłaściwym miejscu. A teraz właśnie dałeś mi tę pewność.

– Czy ty się gdzieś wybierasz? Co się dzieje?

Czy na twarzy Edwarda zobaczył nagły niepokój? Drugie spojrzenie przekonało Juliana, że się mylił, bo rysy Edwarda wyrażały tylko kapryśny smutek.

– Ja teraz należę już do przeszłości, Julianie. Nikogo więcej nie skrzywdzę. Chciałbym ci powiedzieć, że możesz teraz o mnie rozmawiać, jeśli nadarzy się taka okazja. Pewnych ludzi zdradzać nie wolno, za żadne skarby. Ja do nich nie należę. Niczego nie jesteś mi winien. Uwielbiałem twojego ojca. A teraz podaj mi rękę. Dobrze. Bo kiedy wrócimy na parking, pożegnamy się już tylko jak dalecy znajomi.

Najpierw silny uścisk dłoni. Potem impulsywny uścisk ramion, ale tylko z jednej strony. Zanim zdążą nas razem zobaczyć.

11

I oto Julian znów ubierał się dla Deborah, już drugi raz w ciągu paru tygodni. Tym razem jednak nie było żadnych wątpliwości co do ciemnego garnituru z City. Przy goleniu widział w lustrze średniowieczny kościółek dumnie stojący na wzgórzu. Na wieży powiewał sztandar Świętego Jerzego opuszczony do połowy masztu. U stóp kościoła leżał stary marynarski cmentarz, z którego duchy żeglarzy mogły łatwo wracać na morze.

„Przez całe życie szanowałam przesądy mojego plemienia i zamierzam być pochowana zgodnie z jego rytuałami".

Lily kazała mu się pojawić o jedenastej trzydzieści. Trumny nie niósł ani na pogrzebie własnego ojca, ani własnej matki. Komiczno-makabryczna perspektywa, że potknie się albo wręcz wywróci od czasu do czasu pojawiała się w jego licznych rozmowach z Lily, a ostatniej nocy nie pozwalała mu zasnąć.

W Silverview Lily zawsze dostawała gęsiej skórki.

Edward tak ją kochał, że nie mógł się przemóc, by z nią rozmawiać. Po pięciu minutach znikał zwykle za drzwiami.

Nawet Sam ucichł. Przeniosła go do swojego pokoju i tam wreszcie usnął. Wreszcie!

Kocham cię, Jules. Śpij dobrze.

Wraca po dziesięciu minutach. Albo wysyła mu SMS-a. Albo on dzwoni do niej.

Po ulewnej nocy nastał pogodny dzień. Julian, choć na taką okazję musiał założyć buty z City, postanowił iść piechotą. W miarę jak wspinał się na kościelny pagórek, głos dzwonu rozbrzmiewał coraz donośniej, zwołując nie tylko mieszkańców miasteczka, ale i pięćdziesięciu, sześćdziesięciu żałobników z Firmy, czynnych i emerytowanych, których spodziewała się specjalistka od pogrzebów. Parking przed kościołem roił się od wypełnionych deszczówką i błotem dziur, bo parafii nie było stać, żeby je załatać.

Parkujący w tym miejscu musieli się liczyć z ryzykiem przemoczenia nóg i pobrudzenia obuwia. Dwaj ugrzecznieni policjanci gorąco namawiali przyjezdnych, by nie przejmowali się żółtymi liniami ograniczającymi miejsca parkingowe. Żałobnicy witali się więc i ściskali nie na parkingu, tylko dopiero przy wejściu do kościoła. Dwóch panów w garniturach wręczało karteczki z czytaniami i psalmami na ten dzień. Pod rozłożystym cyprysem trzech młodych grabarzy dyskretnie kurzyło papierosy. Na Juliana zaraz rzuciła się Celia, cała na czarno. U jej boku kręcił się drobny człowieczek w marynarce z wielbłądziej wełny i pomarańczowych skórzanych rękawiczkach.

– Chyba nie poznałeś jeszcze mojego Bernarda, młody człowieku? – zapytała groźnie Celia, równocześnie przeszywając go morderczym wzrokiem. – Może znajdziemy potem chwilkę na rozmowę, tak?

A o co jej chodzi, do diabła?

Potem dopadły go dwie wolontariuszki z biblioteki.

– Czy to nie straszne?

Straszne, zgodził się skwapliwie.

Potem jeszcze pojawił się rzeźnik Ollie wraz ze swym wspólnikiem George'em.

– Nie widzieliście przypadkiem Lily? – zapytał ich.

– Jest w zakrystii z proboszczem – odpowiedział szybko George.

– A, pan jest ten księgarz – poinformowała go wysoka kobieta o rysach zdradzających zdecydowany charakter. – Jestem Leslie, kuzynka Deborah. Ja też szukam Lily. A to mój mąż.

Bardzo mi miło.

Drzwi do zakrystii stały otworem. W rozwartych szafach ornaty, na ścianach krzyże plecione z trzciny. I woń kadzideł z dzieciństwa, lecz ani śladu proboszcza i Lily. Poszedł dalej i w końcu znalazł ją na skrawku nieskoszonej trawy między dwiema potężnymi przyporami. W czarnym kloszowatym kapeluszu i długiej spódnicy wyglądała jak sierotka z czasów wiktoriańskich. U jej stóp leżał mały wzgórek czerwonych wieńców i kwiatów.

– Kazałam obłożyć nimi grób – powiedziała.

– A potem mają je odwieźć do szpitala. To też im już mówiłaś?

– Nie.

– To ja im powiem. Spałaś coś?

– Nie. Przytul mnie.

Przytulił.

– Grabarze mają spisać szarfy, na wypadek gdyby się potem gdzieś zgubiły. Też im o tym przypomnę. Gdzie Sam?

– Z Miltonem na placu zabaw. Nie chcę, żeby przy tym był.

– A Edward?

– Już w kościele.

– I co robi?

– Siedzi, kurwa, i gapi się na ścianę.

– Zostawić cię tu czy chcesz wmieszać się w tłum?

– Uważaj.

To ostrzeżenie było jak najbardziej serio. Podbiegł do niego wysoki mężczyzna w typie rugbisty, ze zbyt szerokim uśmiechem.

– Cześć. Reggie jestem. Dobry kolega z pracy Debbie. Ty jesteś Julian, tak? Ten księgarz? Mamy nieść w jednej parze. Super. Chodźmy.

Kilka kroków dalej czekało już na nich czterech innych Reggiech i krępy przedsiębiorca pogrzebowy z cylindrem pod pachą. Wymiana uścisków dłoni, bez słowa. Cześć. Cześć. Przedsiębiorca pogrzebowy musi teraz powiedzieć coś ważnego, więc proszę panów, żeby mu nie przerywać:

– Panowie, zacznę od ostrzeżenia. Pod żadnym pozorem nie dotykamy uchwytów. Kto złapie za uchwyt, zabierze go ze sobą do domu. Używamy jednego ramienia, drugą ręką podtrzymujemy trumnę z nieboszczką. Dam panom znak do wymarszu i będę z panami przez cały czas, na wypadek gdyby miało się przytrafić jakieś nieszczęście, co zresztą jest mało prawdopodobne. Tylko proszę uważać na trzeciej płycie od wejścia, bo można się zabić. Jakieś wątpliwości, panowie?

– Rodzina prosi, by jutro rano przewieźć kwiaty do szpitala rejonowego. I o zrobienie listy darczyńców – powiedział Julian.

– Bardzo panu dziękuję, *sir*, to wszystko jest wliczone w cenę. Czy są jeszcze jakieś pytania? W takim razie proszę o przejście do przedsionka, gdzie zaczekamy na przyjazd karawanu.

Jakaś starsza pani przyskoczyła do Juliana i serdecznie go uściskała.

– Wyobrażasz sobie? Pojawiła się cała sekcja F7! – oznajmiła z zachwytem. – I to nawet ci, którzy nigdy nie chodzą na pogrzeby. Czy to nie cudowne?

– O tak, wspaniałe – zgodził się Julian.

*

Powoli maszerując wzdłuż nawy i zachowując szczególną ostrożność na trzeciej płycie, jedną ręką podtrzymując trumnę z nieboszczką, której szósta część ciężaru wbija mu się w prawe ramię, Julian przygląda się zgromadzonym, poczynając od Lily, która siedzi od północnej strony obok swego ojca. Z Edwarda widzi Julian tylko ramiona w eleganckim garniturze i tył siwej głowy.

Dochodzi do wniosku, że przewidywany przez panią od pogrzebów kontyngent żałobników dzieli się na dwie grupy: emeryci siedzą w pierwszych ławkach nawy głównej, czynni funkcjonariusze w tylnych ławkach od południowej strony, skąd mogą wszystko widzieć, sami nie będąc widziani. Przypadek? Czy zręczna praca mistrzów ceremonii? Julian podejrzewa to drugie.

Po obu stronach nakrytego szkarłatem ołtarza klęczą dwa aniołki rzeźbione w drewnie owocowym. Na komendę „W dół”, wypowiedzianą szeptem przez przedsiębiorcę pogrzebowego, biodegradowalna trumna zawierająca doczesne szczątki Deborah Avon zostaje bezbłędnie złożona na katafalku. Pochylając się wraz z nią, Julian dostrzega złoty order na zielonej wstędze wpięty w bukiet czerwonych róż na wieku. Łysy organista zerka w lustro i rozpoczyna żałobny śpiew na wejście. Julian odwraca się równo z innymi kolegami od trumny i zajmuje miejsce u boku Lily. Jej dłoń w rękawiczce znajduje jego dłoń, zwija się w niej piąstkę i mości. Lily szepcze „O Jezu” i zamyka oczy. Po jej drugiej stronie Edward patrzy przed siebie niewidzącymi oczyma, podbródek ma wzniesiony do góry, ramiona ściągnięte w tył, jakby stał naprzeciw plutonu egzekucyjnego.

*

Lily wydaje się drobna i bezbronna, gdy w kloszowatym kapeluszu i czarnej spódnicy staje za pulpitem, by odczytać wiersz Kiplinga wybrany na tę okazję przez matkę. Tym razem jej głos jest tak słaby, że dociera tylko do najbliższych rzędów.

Potężny ryk organów działa jak pistolet startera na pięćdziesięciu, sześćdziesięciu czynnych i emerytowanych pracowników Firmy i osoby im towarzyszące – wszyscy jak jeden mąż zrywają się na nogi. Dopiero potem wstają mieszkańcy miasteczka. Kolebkowe sklepienie aż się trzęsie, gdy wierni zapewniają gromkim chórem, że wierzą w jednego Boga, Ojca Wszechmogącego. Muzyka cichnie i za pulpitem już stoi Harry Knight.

Harry nawet nie musiałby nosić tak rycerskiego nazwiska, by doskonale czuć się w swej roli. Harry wierzy w to, w co akurat wierzy Firma. Mówi krótko i węzłowato, mądrze i szczerze. Daje innym poczucie moralnej prawości. Ani na chwilę nie chowa dłoni do kieszeni, przemawia płynnie bez uciekania się do głównych punktów mowy spisanych na kartce.

Niezwykłe osobiste piękno i dowcip Deborah.

Tragiczna utrata matki jeszcze w dzieciństwie.

Jej wielkie szczęście, że dorastała w cieniu swego ojca, żołnierza, uczonego, kolekcjonera sztuki, filantropa. Jej miłość do ojczyzny.

Stawianie przez nią obowiązków na pierwszym miejscu.

Jej miłość do rodziny i wsparcie, jakim cieszyła się ze strony męża.

Jej niezrównany talent do języków. Jej jasność umysłu. Jej rzadkie zdolności analityczne.

I przede wszystkim jej miłość do firmy. Do Firmy.

Czy mieszkańcy miasteczka zadają sobie teraz pytanie, jak to się stało, że te wszystkie zalety złączyły się w jedno w kimś, kogo znali z widzenia i z różnych lokalnych komitetów? Raczej nie. Julian nie widzi zdziwienia w ich zachwyconych twarzach. I nawet gdy Harry Knight odczytuje osobisty list od samego szefa tej ekskluzywnej Firmy, dla której droga Deborah pracowała tak niezmordowanie przez tyle lat – nawet wtedy na ich twarzach maluje się tylko nieokreślona rozkosz.

Jeszcze jeden psalm.

Niekończące się modlitwy. Julianowi staje teraz przed oczyma całe jego dzieciństwo.

Proboszcz też ma kilka baretek. Czy to jakiś miejscowy bohater, czy też występuje na tych samych przedstawieniach co Harry Knight i pani od pogrzebów? Dzisiejsza składka przeznaczona jest na cele misyjne. Żeby oszczędzić czas naszych przepracowanych wolontariuszy, bardzo proszę wszystkich żałobników, by byli tak uprzejmi i odłożyli śpiewniki i książeczki do nabożeństwa na półeczkę swojego klęcznika. Złożenie ciała do grobu odbędzie się bezpośrednio po mszy świętej, ale o uczestnictwo prosimy tylko rodzinę i zaproszonych gości. Pozostali wierni proszeni są o przejście do hotelu Royal Haven dwieście metrów niżej. Bardzo proszę poinformować personel lokalu o swoich alergiach pokarmowych. Restauracja zapewnia ułatwienia dla niepełnosprawnych. Podczas gdy organy wprowadzają nastrój ospałej rozpaczy, Julian z pięcioma nowymi kolegami zajmują z powrotem swoje miejsca przy trumnie i znów za przewodem krępego przedsiębiorcy pogrzebowego powoli maszerują do oczekującego karawanu, po czym z trudem upychają się do następnego samochodu, którym muszą skorzystać z objazdu z powodu prac na drodze z czerwonej gliny. Proboszcz i kilka osób z rodziny zabrali się już wcześniej mikrobusem. Po dotarciu na miejsce nosiciele trumny wysiadają. Młodsi grabarze wyciągają ją z karawanu, nosiciele znów ustawiają się w pary. Lily i Edward stoją kilka kroków od krawędzi grobu. Lily trzyma przedramię Edwarda w kurczowym uścisku, aż bieleją jej złączone razem palce. O swojej obecności przypomina mu też, opierając głowę na jego ramieniu.

Powiedział, że mama nie chciała, by stał nad grobem. Powiedziałam mu, że jak on nie pójdzie, to ja też nie. Kurwa, Jules, co oni sobie robią nawzajem? – zastanawiała się sennie Lily, rozmawiając z nim nad ranem przez telefon.

Krępy przedsiębiorca pogrzebowy rzuca serię rozkazów, kondukt zatrzymuje się z pewnym wahaniem, Julian i jego koledzy powoli opuszczają trumnę z ramion – to jest najtrudniejszy moment – i chwytają ją teraz od spodu, ostrożnie stawiają na drewnianych

podpórkach i zaraz muszą unieść na chwilę, żeby mniej ważni grabarze usunęli podpórki. A teraz możemy już umieścić ciało Deborah w miejscu jej wiecznego spoczynku.

– Przepiękna uroczystość – zauważa Reggie, dochodząc do Juliana, gdy obaj kierują się w dół, do Royal Haven. – Dokładnie taka, jaka się jej należała. A biedny Edward nawet jakoś się trzymał, prawda? Jak na to, co się stało?

No właśnie, myśli Julian. Co takiego się stało?

*

Przyszli nieco spóźnieni. Brakowało tylko rodziny.

– Chyba powinniśmy się znać, ale się nie znamy – pożalił się szczerze Harry Knight, gdy ściskali sobie dłonie. A kiedy Julian się przedstawił, rzekł: – Ależ oczywiście wiem, kim pan jest! Przyjacielem Edwarda, przyjacielem rodziny. Jak to dobrze, że pan jest.

– A ja jestem pani od pogrzebów – powiedziała sympatycznie nijaka kobieta w fiołkowej chuście. – Lily mówiła mi, jak bardzo jej pan pomógł.

Na drugim końcu sali zebrała się grupka mieszkańców. Zamaszystym krokiem wyszła z niej Celia, za którą podążał jak cień mały Bernard w marynarce z wielbłądziej wełny.

– Na słówko, młody człowieku, jeżeli możesz mi poświęcić chwilkę – powiedziała, ujmując go pod ramię przyjacielskim gestem. – No, a teraz słucham. Z kim gadałeś?

– Przed chwilą?

– Ja ci dam „przed chwilą”. Komu nagadałeś o mojej wielkiej kolekcji i nieoficjalnych prezentach, które dostawałam na boku?

– Celio, na miłość boską. Po co miałbym komuś o tym mówić?

– No, może tym swoim dzianym kolesiom z City, których miałeś wypytać?

– Ustaliliśmy, że zacznę wypytywać, kiedy mnie poprosisz. Nie prosiłaś mnie, to z nikim nie rozmawiałem. Wystarczy?

– A wiesz, komu to nie wystarczy? Inspektorom od podatku od wartości dodanej Jej Królewskiej Mości. Im nie wystarczy,

rozumiesz? Władowali się do mnie jak jakaś mafia. „Pani Merridew, istnieje uzasadnione podejrzenie, że przez kilka lat otrzymywała pani korzyści finansowe w ramach prowizji za niezgłoszone transakcje sprzedaży chińskiej porcelany i w związku z tym w trybie natychmiastowym zajmujemy pani księgi rachunkowe i komputer". No to kto im o tym powiedział? Na pewno nie Teddy. Teddy by mi czegoś takiego nie zrobił.

Przy ramieniu Celii pojawiła się szczurza twarz Bernarda.

– A ja jej mówiłem, żeby poszła z tym na policję, ile razy jej mówiłem! A ona nie i nie, nie pójdzie na policję – narzekał.

Zapanowało lekkie zamieszanie oznaczające przybycie rodziny. Edward wciąż trzymał się Lily. Julian już miał do niej podejść, gdy drogę zagrodził mu energiczny Reggie, który do tej pory wdzięczył się do pozbawionych towarzystwa gości.

– Julianie, pozwolisz, że porwę cię na chwilę?

Właściwie już go porwał – byli we wnęce przy przejściu do kuchni. Kelnerzy i kelnerki mijali ich z tacami wypełnionymi kanapkami i kieliszkami wina.

– Jeden z moich ważnych kolegów koniecznie musi z tobą porozmawiać – powiedział Reggie. – I niestety od razu.

– Ale o czym?

– O bezpieczeństwie państwa. Sprawdził cię i ma o tobie bardzo dobrą opinię. Czy mówi ci coś nazwisko Overstrand?

– Paul Ovestrand. To on pierwszy zatrudnił mnie w City. A co?

– Paul przesyła ci ukłony. A pamiętasz Jerry'ego Seamana, swojego byłego współdyrektora?

– Dlaczego pytasz?

– Mówi, że jesteś świnia, ale masz dobre serce. Parkuję tu za rogiem, na Carter Street. Czarne bmw. Na przedniej szybie jest czerwone K. Zapamiętasz? Carter Street, czarne bmw, czerwone K. Daj mi pięć minut, potem wyjdź za mną. Innym możesz powiedzieć, że Matthew dostał ataku serca albo tylko mu się zdaje.

Tymczasem mieszkańcy miasteczka, szpiedzy i miejscowa śmietanka poznawali się nawzajem. Edward i Lily stali przy wejściu. Lily trzymała z boku rękę z kieliszkiem wina i ściskała wszystkich wchodzących, bez wyjątku. Edward milczał i sztywno wyprostowany

potrząsał każdą wyciągniętą ku niemu dłonią. Można było odnieść wrażenie, że znają go tylko nieliczni spośród czynnych i emerytowanych pracowników Firmy.

– Chcą ze mną pogadać – powiedział Julian, odciągając na chwilę Lily. – Chcą, żebym wymyślił jakąś głupią wymówkę. Ja po prostu się wymknę. Zadzwonię do ciebie, jak tylko będą mógł.

I nieoczekiwanie dla samego siebie dodał:

– Może lepiej nie mów ojcu.

Gdy znalazł się na ulicy, powitali go dwaj inni koledzy od niesienia trumny, którzy ruszyli po obu jego stronach na tę pięćdziesięciometrową przechadzkę do Carter Street. Czarne bmw parkowało na zakazie postoju. Dziesięć kroków dalej stał policjant i ostentacyjnie patrzył w inną stronę. Za kierownicą siedział Reggie. Z tyłu stał jeszcze zielony ford. Gdy ruszyli, zielony ford pojechał za nimi. Z przodu siedzieli dwaj towarzysze Juliana. Wkrótce znaleźli się poza miasteczkiem.

– To jak on się nazywa? – zapytał Julian.

– Kto?

– Ten pana kolega.

– A jak ma się nazywać? Smith, oczywiście. Masz ze sobą komórkę?

– A co?

– Dasz mi ją? – Wyciągnął lewą dłoń. – Niestety, takie mamy zasady. Oddam ci, jak skończymy.

– Wiesz co, może lepiej, żeby jednak została u mnie, jeśli nie sprawi ci to różnicy – powiedział Julian.

Reggie wrzucił lewy kierunkowskaz i zaparkował w zatoczce, która akurat się pojawiła. Ford z tyłu zrobił to samo.

– Naprawdę mam ci dwa razy powtarzać? – zapytał Reggie.

Julian wręczył mu komórkę. Zjechali z głównej szosy na wąskie puste dróżki. Niebo pociemniało. Na przedniej szybie pojawiły się wielkie krople deszczu. W prawo prowadziła polna droga oznaczona tabliczką z napisem „Na sprzedaż” zamalowanym słowem „Sprzedane”. Podskakując na wybojach – zielony ford wciąż jechał za nimi – dotarli do całego skupiska nie do końca pokrytych strzechą szop i rozpadających się czworaków. Na samym środku wznosiło się

opuszczone domostwo obłożone łuszczącym się sidingiem. Dookoła i częściowo pod dachem stały najróżniejsze pojazdy, od zwykłych samochodów i jednego autobusu wycieczkowego po motocykle, rowerki spacerowe, motorowery i wózki dziecięce. Ale uwagę Juliana przykuła sfatygowana furgonetka, dokładnie ta sama – o ile się nie mylił – w której widział kiedyś namiętną parę kochanków przy drodze do Silverview.

A wszędzie wokół budynków krzątali się najróżniejsi przedstawiciele gatunku ludzkiego: od par w średnim wieku czy turystów z plecakami po umundurowanych listonoszów i matki z dziećmi. Jedni wchodzili do budynków lub z nich wychodzili, inni majstrowali przy samochodach albo motocyklach. Ale Juliana najbardziej uderzyła łącząca ich wszystkich zwyczajność – i to, że ani jedna głowa nie zwróciła się w jego kierunku, gdy Reggie prowadził go do głównego domu, z którego schodził teraz po połamanych stopniach i kierował się w ich stronę chudzielec w zwykłym szarym garniturze, uśmiechając się z zażenowaniem i wyciągając rękę na powitanie.

– Witaj, Julianie. Jestem Stewart Proctor. Przepraszam za to porwanie, ale mamy tu niestety pilną sprawę państwowej wagi.

*

Julian nie odpowiedział, lecz nie dlatego, że zabrakło mu słów z oburzenia, tylko dlatego, że od kilku już dni, jeśli nie od tygodni, spodziewał się właśnie jakiegoś takiego zakończenia. Zostawili Reggiego na warcie przy drzwiach. W świetle staroświeckiej srebrnej latarki Proctor poprowadził Juliana przez coraz bardziej mroczny dom, wśród pokruszonych kafelków i odsłoniętych legarów, i w końcu przez przeszklone, ale potłuczone drzwi balkonowe do okrągłego zapuszczonego ogródka. Na jego środku stała drewniana altana. Do jej otwartych drzwi prowadziła ścieżka wykoszonej trawy. U sufitu świeciła stara lampa naftowa. Na stole pokrytym ceramiką stała butelka szkockiej, lód, woda sodowa i dwie szklanki do whisky.

– Dwie godziny maksimum, chyba że coś pójdzie nie tak – oznajmił Proctor, nalewając po porcji szkockiej do obu szklanek

i wręczając mu jedną. – Potem odstawimy cię z powrotem do miasteczka. Jak na pewno się domyślasz, przedmiotem naszej dyskusji będzie Edward Avon, a sama dyskusja ma klauzulę najwyższej tajności albo jeszcze wyższą. Więc na początek podpisz tu, z łaski swojej, a potem zamilknij na wieki. – I od razu podsunął mu druczek i długopis, który wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki.

– A jeśli nie podpiszę? – zapytał Julian.

– Szkoda mówić. Zatrzymamy cię jako podejrzanego o udzielanie pomocy wrogom Jej Królewskiej Mości. Za materiał dowodowy wystarczy twój komputer z piwnicy. Zdradziliście, wymusiliście, nadużyliście… A wszystko pod przykrywką tej biblioteczki klasyki. Biedny Matthew pewnie też trafi za kratki za współudział. Lepiej podpisz. Jesteś nam potrzebny.

Julian wziął długopis do ręki, wzruszył ramionami i podpisał, nawet nie czytając.

– Wydajesz mi się mniej zdziwiony, niż myślałem – powiedział Proctor, odbierając od niego długopis i chowając druczek do kieszeni. – Czy ty coś podejrzewałeś?

– A co miałem podejrzewać?

– Czy rozmawialiście kiedyś z Edwardem o bezcennej chińskiej porcelanie?

– Nie.

– W Silverview była cała kolekcja.

– Słyszałem.

– A gdybym ci powiedział „Amsterdam Bont”, to wiedziałbyś, o czym mówię?

– Ani trochę.

– A Batawia?

– Też nie.

– A Imari? Kendi? Kraak? Najwyraźniej też nie. Czy w takim razie bardzo byś się zdziwił, gdybyś się dowiedział, że takie i inne jeszcze terminy pojawiły się wielokrotnie na dysku twojego komputera, a później zostały podwójnie skasowane?

– Bardzo bym się zdziwił.

– Ale pewnie już byś się mniej zdziwił, że twoją Republikę Literatury i Dawne Czasy Celii łączy właśnie bezcenna chińska porcelana?

– No, teraz już mniej – odpowiedział beznamiętnie Julian.

– A teraz coś nieco przyjemniejszego. Czy możemy się zgodzić, że obu nam leży na sercu dobro jego córki Lily, która jak obaj wiemy, jest niewinna jak nowo narodzone dziecię?

– Mów dalej.

– Czy poza udzieleniem Edwardowi Avonowi schronienia, komputera i przykrywki konspiracyjnej pomagałeś mu jeszcze w inny sposób, na przykład dostarczając komuś jakieś wiadomości, które teraz, w szerszym kontekście, mogą wydać ci się podejrzane?

– A po co miałbym to robić?

– No czekaj, to jest już jakby odrębne pytanie, prawda? Oczywiście przeszukaliśmy ci mieszkanie w trakcie jednej z twoich porannych przebieżek. I znaleźliśmy to. – Wręczył Julianowi skan jego kalendarzyka kieszonkowego. – Okazuje się, że pod datą osiemnastego kwietnia bieżącego roku zanotowałeś numer rejestracyjny pewnej londyńskiej taksówki. Zgadza się?

Zgadzało się.

– A na tej samej stronie mamy jeszcze godzinę odjazdu pociągu: „Ipswich do LS, siódma trzydzieści pięć". Założę się, że LS to Liverpool Street. Byłeś tego dnia w Londynie?

– Wygląda na to, że musiałem być.

– Wcale nie musiałeś. Domyślam się raczej, że sam to zaproponowałeś. Z dobroci serca. Taksówka, której numer zanotowałeś… za chwilę się zastanowimy dlaczego… była opłacona z pewnego rachunku firmowego. Zabrała pasażerkę spod siedziby jednego ze stałych klientów na West Endzie i zawiozła ją pod stację metra Belsize Park. Tam czekała na nią przez dwadzieścia siedem minut, po czym odwiozła ją na West End. Wiesz, jaka firma ją opłaciła? Właściwie nie firma, tylko Liga Państw Arabskich z siedzibą na Green Street. Rachunek wyniósł siedemdziesiąt cztery funty, wliczając oczekiwanie na pasażerkę i napiwek. Kim ona była?

– Nie wiem.

– Gdzie się z nią spotkałeś?

– W kinie Everyman w Belsize Park.

– Kierowca to potwierdził. A potem?

– Potem poszliśmy do restauracji tuż obok. Francuskiej.

– Też się zgadza. Zakładam, że spotkanie odbyło się na prośbę Edwarda.

Skinienie głową.

– Czy tego dnia miałeś też własne sprawy do załatwienia w Londynie?

– Nie.

– Czyli specjalnie pojechałeś na prośbę Edwarda, z dobrego serca i zaraz, natychmiast. Zgadza się?

– Poprosił mnie jednego dnia, pojechałem następnego.

– Bo mu się spieszyło? Takie to było pilne?

– Tak.

– Dlaczego? Co ci powiedział?

– Że to pilne. Że zna ją od dawna. Że wiele dla niego znaczy. I że to ważna sprawa. Miał umierającą żonę, a ja go lubiłem. I dalej go lubię.

– Ale nie mówił, jaką rolę odgrywała w jego życiu? Teraz albo kiedyś?

– Domyśliłem się, że szaleje za nią.

– Jak się nazywa?

– Nie dowiedziałem się. Kazał mi mówić o niej „Mary".

Proctor nawet się nie zdziwił.

– A dlaczego to było takie pilne?

– Nie pytałem, więc mi nie powiedział.

– A treść listu? Powód, dla którego został napisany? Zawartość koperty?

– Jak wyżej.

– A nie kusiło cię, żeby przeczytać? Nie kusiło. To dobrze.

Dlaczego dobrze? Bo prawdziwy harcerz nie czyta cudzych listów? Gość nawet wyglądał na harcerza…

– Ale Mary, jak ją nazywasz, czytała list przy tobie. Tak twierdzi kelnerka, której dałeś spory napiwek.

– To Mary czytała. Ja nie.

– A list był długi?

– Co mówi kelnerka?

– Ja się pytam, co ty mówisz.

– Sześć stron odręcznym pismem Edwarda. Mniej więcej.

– Później poleciałeś po papier listowy dla niej. I po taśmę klejącą. A co potem?

– A potem mu odpisała.

– I zakładam, że tego listu też nie czytałeś. Bo był zaadresowany do Edwarda.

– Nie było żadnego adresu. Po prostu wsadziła list do czystej koperty i powiedziała, żebym mu go oddał.

– A po co zapisałeś numer jej samochodu?

– Nie wiem. Taki impuls. Była niezwykła. Jedyna w swoim rodzaju. Może chciałem więcej się o niej dowiedzieć?

– A jeśli spojrzymy na przeciwległą stronę w twoim kalendarzyku, pod datę siedemnastego kwietnia, to zobaczymy, że jeszcze sobie coś zapisałeś, pewnie już w pociągu powrotnym do Ipswich. Widzisz?

Widział.

– Co ty tam zapisałeś? „Czuję się dobrze, jestem opanowana, znalazłam spokój". Czyje to słowa?

– Mary.

– Mary ci to powiedziała?

– Tak.

– Zapewne o sobie?

– Zapewne.

– I co miałeś zrobić?

– Powtórzyć Edwardowi. Bo go to pocieszy. I pocieszyło. Był przeszczęśliwy. Powiedziałem mu, że jest piękna. To też go uszczęśliwiło. Bo jest – dodał z głębi duszy.

– Aż tak piękna? – zapytał Proctor, wydobywając spod krzesła album ze zdjęciami, otwierając go i podając Julianowi ponad ceramicznym blatem.

Długonoga blondynka w lamparcim futrze wysiadała z limuzyny.

– Nie, jeszcze piękniejsza. – Oddał mu album.

– To może ta? – Kolejna strona albumu.

Mary. Parę lat wcześniej. Mary w czarno-białej arafatce na szyi. Mary na mównicy zwraca się do zgromadzonego na powietrzu tłumu

Arabów. Mary jest szczęśliwa, unosi w górę pięść. Tłum wiwatuje. Flagi wielu krajów. Na honorowym miejscu flaga palestyńska.

– Powiedział mi, że jest bezpieczna – odezwał się wreszcie Julian.

– Kiedy ci to powiedział?

– Parę dni temu. Na spacerze w Orfordzie. On lubi tam jeździć.

Znowu zapadło milczenie.

– Co powiesz Lily? – zapytał Proctor.

– O czym?

– O tym, o czym teraz rozmawiamy. O tym, co widziałeś. O tym, kim jest jej ojciec. Albo kim był.

– Przecież dopiero co podpisałem ci ten cyrograf, nie? To jak mam jej cokolwiek powiedzieć?

– Ale przecież powiesz. No co jej powiesz?

Od paru chwil Julian sam zadawał sobie to pytanie.

– Wydaje mi się, że Edward już jej to powiedział. W taki czy inny sposób – zakończył.

*

Julian zapomniał, że dał Lily klucz do księgarni i że był przy nim też klucz do mieszkania. Dlatego nie od razu do niego dotarło, gdy włączył światło, że to ona leży nago w jego w łóżku, że to nie sen i że wyciąga ku niemu ręce, jakby tonęła, i że po policzkach płyną jej łzy.

– Pomyślałam sobie, że najwyższy czas okazać szacunek żywym, a nie tylko umarłym – wyznała mu trochę później.

12

– No proszę, czyli w końcu i ciebie wsadzili do firmowego jaguara – powiedział Battenby, pół oka zwracając ku Proctorowi, a pół ku ekranowi komputera niewidocznego dla Proctora. – Ale to chyba pierwszy raz – dodał tym samym, pozbawionym wyrazu tonem.

– Najadłem się strachu jak nigdy – wyznał Proctor. – Nigdy jeszcze nikt nie wiózł mnie sto siedemdziesiąt kilometrów na godzinę po A12. Nie moje klimaty.

– A dzieci jak? Rosną? – zapytał Battenby. I znowu stuknął w klawiaturę.

– Rosną jak na drożdżach. Miło, że pytasz, Quentin. A twoje?

– Tak, tak, moje też. – I znowu palcem w klawiaturę. – Oho, Teresa jest już w windzie. Musiała wysondować parę osób.

– Świetnie – powiedział Proctor.

Ciekawe, kogo sondowała? Teresa, groźna dyrektorka działu prawnego Firmy, ta, która nie znosi sprzeciwu, była już w drodze na najwyższe piętro i zapewne gotowa do walki.

Siedzieli w gabinecie Battenby'ego. Tylko we dwóch. Battenby za swym pustym biurkiem, Proctor w czarnym skórzanym fotelu, który zapiszczał, gdy na nim zasiadł. Ściany pokrywała ładna boazeria z wiązu przysługująca każdemu z dyrektorów Firmy. W przygaszonym świetle czarne ślady po sękach przypominały raczej dziury po kulach.

Quentin Battenby był mężczyzną w sile wieku. Swoje stanowisko zajmował, od kiedy Proctor go znał. Zaczesane do tyłu blond włosy, wreszcie powoli siwiejące. Dyskretna uroda w typie gwiazdora filmowego. Dobrze skrojone garnitury. Nigdy nie zdejmuje marynarki. Teraz też nie zdjął. Nikt nigdy nie słyszał, by podnosił głos. Ma żonę – lub ona jego – o dobrej prezencji, która na firmowych imprezach wie, jak się kto nazywa, ale poza tym się nie pokazuje. Kawalerka po drugiej stronie rzeki, dom w St. Albans,

gdzie mieszka wraz z rodziną pod innym nazwiskiem. Apolityczny, lecz przewidziany na następcę szefa, o ile dobrze to rozegra, a torysi wygrają najbliższe wybory. W Firmie nie ma bliskich przyjaciół, więc nie ma też bliskich wrogów. Świetnie się sprawdza we wszelkiego rodzaju komisjach. Ludzie z parlamentarnej Komisji Nadzoru Służb Specjalnych po prostu jedzą mu z ręki.

Tyle wiedział o nim każdy, a Proctor, który pracował z nim od dwudziestu pięciu lat, nie miał zbyt wiele do dodania. Wspaniała kariera Battenby'ego była dla niego całkowicie niezrozumiała od samego początku ich znajomości. Byli w tym samym wieku, na tym samym roku na studiach, z tego samego poboru. Odbyli te same szkolenia, razem prowadzili te same operacje, współzawodniczyli o te same stanowiska i awanse, aż w końcu Battenby'emu udało się w jakiś tajemniczy sposób wysforować przed niego – najpierw stopniowo i bez wysiłku, a dopiero od niedawna wyraźnie i zdecydowanie. W rezultacie, podczas gdy Proctor ciągle harował w bezpieczeństwie wewnętrznym i właśnie z tego stanowiska miał wkrótce przejść na emeryturę, Battenby z tym swoim monotonnym głosem i pewnymi, doskonale utrzymanymi dłońmi mógł wkrótce sięgnąć po złotą koronę. Odważniejsi szeptali, że to dlatego, iż całą robotę wykonywał za niego Proctor.

– Stewarcie, bądź tak dobry…

Proctor posłusznie wstał i otworzył drzwi. Długimi krokami weszła wysoka przerażająca Teresa w czarnym biznesowym komplecie, trzymając w rękach szarą teczkę do akt oznaczoną na okładce skrzyżowanymi zielonymi przekątnymi, najdobitniejszym w Firmie znakiem, by tego nikt nie dotykał.

– I mam nadzieję, Quentinie, że nikogo więcej nie będzie? – spytała ostrzegawczo. Bez zaproszenia zasiadła w drugim fotelu i na tyle podciągnęła czarną spódnicę, by móc wygodnie założyć nogę na nogę.

– Nikogo – powiedział Battenby.

– No i bardzo dobrze. Mam też nadzieję, że tego nie nagrywasz ani nic takiego. Ani ty, ani nikt inny.

– Absolutnie nie.

– Ani ochrona niczego tu nie zostawiła przez pomyłkę… Bo z wami nigdy nic nie wiadomo…

– Sprawdziłem – powiedział Battenby. – W ogóle nas tu nie ma. Stewarcie. Sytuacja bieżąca. Gotowy?

– Musisz być gotowy, Stewarcie, bo tyle ci powiem, że wilki już się zwołują, a ja muszę do nich wrócić, nim kur zapieje. Jak się ma przepiękna Ellen? Mam nadzieję, że daje ci w kość.

– Jest w świetnej formie. Dziękuję.

– No, dobrze wiedzieć, że ktoś jest w formie. – Wyciągnęła swą długą rękę i uderzyła przekreślonymi na zielono aktami w biurko Battenby'ego. – Bo to, co tu mamy, to zupełnie niespotykana pięciogwiazdkowa rozpierdówa.

*

W mniej dramatycznych okolicznościach Proctor zacząłby swą opowieść od portretu Edwarda Avona, jaki stworzył sobie w ciągu kilku ostatnich tygodni: prostolinijny, naiwny aż do przesady, postrzelony od urodzenia, od czasu do czasu działający na własną rękę i przesadnie romantyczny, ale w gruncie rzeczy wierny i wszechstronny agent, który walczył dla nas w zimnej wojnie, a potem dał się wysłać do Bośni, gdzie miał najlepsze intencje, dopóki nie zszedł na złą drogę przez koszmarne przejścia, jakich tam doświadczył. Ale nie byli to ani odpowiedni słuchacze, ani właściwa chwila, by mówić o okolicznościach łagodzących. Tutaj liczyły się tylko fakty. Zaczął je przedstawiać. Czyste fakty:

– Nie wiem, czy widzieliście te szalone propozycje, które think tank Deborah składał przed drugą wojną w Iraku. Quentinie, widziałeś?

– A co? – zapytał Battenby.

Proctor się zmieszał.

– A to, że włosy stawały od tego dęba. Sformułowano je na podstawie pracy wywiadu, ale miało się wrażenie, że przemawia przez nie polityka, a nie jakiekolwiek poczucie rzeczywistości. Równoczesne zbombardowanie kilku państw islamskich, oddanie Strefy Gazy i południowego Libanu Izraelowi, seria zabójstw głów

państw, ogromne tajne armie międzynarodowych najemników, pod fałszywą flagą siejące zamęt w imieniu tych, których nie lubimy…

Teresa już miała dość.

– Kopnięci wariaci, narwańcy, wiadomo – przerwała mu niecierpliwie. – Sęk w tym, Stewarcie, że dokładnie w tym samym czasie, gdy te niebezpieczne bzdury zaczęto powtarzać w ministerialnych gabinetach, Deborah Avon przyszła do ciebie i powiedziała ci półoficjalnie… nie mam zresztą pojęcia, co to znaczy… że przyłapała swego kochanego mężusia, jak węszył wokół jej meliny, szukając, jak twierdziła, kogo by pożreć, a ty ją potraktowałeś z buta i wpisałeś jej do akt, że źle się czuje, że jest przepracowana, że widzi komuchów pod każdym łóżkiem. Jak przyjdzie co do czego, będziesz musiał gęsto się z tego tłumaczyć.

Proctor był przygotowany na taki obrót sprawy, toteż odparł śmiało:

– Florian i Deborah mieli w tej kwestii różnicę zdań. Której nie udało się wyjaśnić. Deborah była wycieńczona, jak napisałem, a Florian pił cały dzień…

– Czego już nie napisałeś.

– Poza tym nie było informacji z żadnego innego źródła, że szpiegował żonę czy kogokolwiek innego, a ja jako szef bezpieczeństwa wewnętrznego nie uważałem za stosowne mieszać się w małżeńskie kłótnie.

– A nie przyszło ci do głowy zastanowić się, dlaczego Florian pił na umór w samym środku kampanii bombowej w Iraku? A teraz, dziś, nie zastanawiasz się nad tym i nie myślisz sobie: o, właśnie wtedy przeszedł na drugą stronę? – zapytała Teresa.

– Nie – odpowiedział Proctor na oba pytania naraz.

Battenby spytał swym bezbarwnym głosem, jak to się stało, że sekcja zabezpieczenia elektronicznego w Cheltenham – wciąż podejrzewana w Firmie o Bóg wie co – dawała taką straszną plamę.

– I to przez całe dziesięć lat albo i dłużej – dodał z wyrzutem. – Naprawdę mi się wydaje, że obiektywnie rzecz biorąc, oni muszą się bardziej tłumaczyć niż my, skoro sprawy zaszły aż tak daleko. Nie uważasz, Tereso? Tak z czysto prawnego punktu widzenia? Przecież

nie chodzi o jakąś rywalizację między służbami, bo chyba wszyscy się zgadzamy, że to mamy już za sobą?

– Dziś rano rozmawiałam z ich najwyższym kapłanem. Do niczego się nie poczuwają. To była nasza sprawa, o niczym ich nie informowaliśmy, nie mieli powodu, żeby cokolwiek i kogokolwiek podejrzewać. Zresztą to stary dylemat w rodzaju: „Co to jest cegła?". Tona cegieł może dla terrorysty oznaczać tonę granatów ręcznych, ale dla budowlańca to po prostu tona cegieł. Tak samo z chińską porcelaną z epoki Ming. Jeden handlarz rozmawiał z drugim, normalne kontakty handlowe. W Cheltenham nie mieli obowiązku, przynajmniej do zeszłego tygodnia, zastanawiać się, ani kto jeszcze jest na nasłuchu, ani nad narodowością czy poglądami politycznymi tego czy innego handlarza porcelaną. A to dopiero ich pierwszy argument – ciągnęła, nie zwracając uwagi na uniesioną dłoń Battenby'ego – bo w Cheltenham zawsze wolą mieć dwa niż jeden. Drugi argument jest taki, że zastosowane tam szyfry i inne techniki obfuskacyjne były tak prymitywne, że poradziłoby sobie z nimi dziewięcioletnie dziecko, więc na takie bzdury w ogóle nie zwracają uwagi. Powiedziałam mu, że może zatrudniliby więcej dziewięciolatków, skoro i tak połowa ich pracowników jest niewiele starsza. Koniec rozmowy.

– A powiedz mi, Stewarcie, czy według ciebie Cheltenham otrzymało jakiekolwiek konkretne informacje co do przyczyn naszego śledztwa? – zapytał Battenby, jakby był gdzieś bardzo daleko. – Czy można powiedzieć, że sam fakt zwrócenia im na to uwagi nie był już wystarczającym powodem, by myśleć, że może chodzić o coś, co zagraża wewnętrznemu bezpieczeństwu Firmy? Jak przypuszczasz, czy w jakiś sposób mogli coś zwietrzyć?

– Absolutnie nie – odpowiedział z przekonaniem Proctor. – Dostali od nas ogólny raport na temat miasteczka ze znakiem zapytania przy tym interesie z porcelaną i nic więcej. Żadnych dokładniejszych informacji, żadnych powodów do działania. I o to mają teraz pretensje. Poza tym zwracaliśmy im uwagę, że mogą się pojawić dziwne telefony od handlarzy i z domów prywatnych. Florian uwielbia korzystać z cudzych telefonów. Oczywiście potem zawsze za nie płaci, nikt się nie skarży. Jest tam na nabrzeżu taka obskurna

kawiarnia, prowadzi ją jedna Polka. Osiemnaście rozmów telefonicznych do Gazy w ciągu jednego miesiąca, łącznie dziewięćdziesiąt cztery minuty.

– Do kogo? – zapytał Battenby, znów dotykając klawiatury.

– Głównie do pacyfistycznego aktywisty Felixa Banksteada, konkubenta dawnej partnerki Floriana, Ani – odpowiedział Proctor i ucieszył się z tego pytania, bo pozwalało mu trochę umniejszyć poważniejsze przewinienia Floriana. – Florian i Bankstead zaczęli razem działać po Bośni. Bankstead wydaje taką gazetkę o Bliskim Wschodzie, tylko dla prenumeratorów, pod ślicznym tytułem „Felicitas". Od kilku lat Florian pisał w niej pod najróżniejszymi pseudonimami. Oczywiście głównie polemiki. Bankstead robi za redaktora i za jedyny kontakt z Florianem.

Na Teresie nie zrobiło to żadnego wrażenia.

– No to was wyśmieją przed sądem, że wystarczy wykupić prenumeratę za pięćdziesiąt funciaków rocznie, by przeczytać najnowsze wiadomości od największych brytyjskich szpiegów. Bo bez dwóch zdań, najsmakowitsze kąski trzymał dla Salmy. Ona dostawała to, co najlepsze, prawda, Stewarcie?

– No właśnie, Stewarcie, no właśnie. Jaki ona robiła z tego użytek? Tak z grubsza biorąc? – dodał Battenby.

– Możemy się tylko domyślać, że przekazywała je tam, gdzie uznała za stosowne – powiedział nieco zmieszany Proctor. – Jakie i do kogo, tego jeszcze nie wiemy. Ale na pewno by wspomóc jej własne akcje pokojowe, nawet jeżeli wydają się nam one kompletnie bezsensowne. – Teraz poczuł się pewniej. – No bo prawda jest taka, Quentinie, że dzięki twoim ścisłym instrukcjom nie mówimy teraz w ogóle o żadnych szkodach. Ty jesteś zdania, że gdybyśmy spuścili ze smyczy analityków z Foreign Office, to choćbyśmy opowiedzieli im Bóg wie jaką bajeczkę, sprawa by się rypła. A z tego, co wiemy, dotąd wcale się nie rypła.

– *Insz-allah* – westchnęła pobożnie Teresa.

– I tak właśnie chciałeś to rozegrać, Quentinie.

– No a jaki był ogólny ton – Battenby udał, że tego nie słyszy – licznych anonimowych wypowiedzi Floriana w „Felicitas"

i podobnych publikacjach? Jak byś to określił przykładowo, Stewarcie? – zapytał beznamiętnym, niemal filozoficznym tonem.

– W zasadzie taki, jakiego można było się spodziewać. O Ameryce, która chce za wszelką cenę podporządkować sobie Bliski Wschód, i o tym, że ma w zwyczaju wywoływać nową wojnę za każdym razem, gdy chce zmierzyć się ze skutkami poprzedniej, którą też wywołała. Że NATO to przeżytek po zimnej wojnie, który czyni więcej złego niż dobrego. I że biedna bezzębna, pozbawiona prawdziwych przywódców Brytania podczepia się pod Amerykę, bo ciągle marzy o wielkości i nie umie marzyć o niczym innym – powiedział Proctor i na chwilę zapadło milczenie przerwane dopiero przez Teresę, która najwyraźniej nie mogła sobie odmówić uszczypliwości.

– A Stewart ci mówił, co ten skurwiel nawypisywał o Firmie w jednym z tych swoich szmatławców? – zapytała Battenby'ego.

– O ile pamiętam, to nie – odparł zaniepokojony Battenby.

– Według Floriana, który wtedy występował jako John Smith czy jakoś tak, cały ten burdel w Iraku jest owocem działań dzielnej brytyjskiej Secret Service. A dlaczego? Bo granice Iraku zostały wyrysowane na mapie za pomocą ołówka i linijki w ciągu jednego popołudnia przez dwoje naszych największych szpiegów wszech czasów, T.E. Lawrence'a i Gertrude Bell. I miał jeszcze czelność przypomnieć czytelnikom, że trochę wcześniej właśnie nam udało się przekonać żądną władzy CIA, że trzeba się pozbyć najlepszego przywódcy w historii Iranu i w efekcie wywołać całą tę pieprzoną rewolucję.

Jeżeli miało to kogoś rozbawić, to według Proctora odniosło dokładnie odwrotny skutek w przypadku Battenby'ego, który najwyraźniej pogrążył się w myślach, bo zwrócił swe bladoniebieskie oczy w stronę zaciemnionego okna, jakby w nim chciał szukać natchnienia, a starannie utrzymaną dłonią przesuwał po dolnej wardze.

– Szkoda, że z tym do nas nie przyszedł – powiedział wreszcie. – Wysłuchalibyśmy go. Pomoglibyśmy.

– Kto miał do nas przyjść? Florian? – zapytała z niedowierzaniem Teresa. – I co? Poprosiłby nas, żebyśmy wpłynęli na zmianę polityki amerykańskiej? No i co wtedy?

– Ta sprawa i tak ma wyłącznie historyczne znaczenie. Nie powtórzy się. Nic się nie stało – mówił dalej Battenby do okna. – Powiedziałaś im to?

– Pewnie, że im powiedziałam. Jasno i wyraźnie. Inna sprawa, czy to kupili – odparła Teresa.

Proctor wolał się nie odzywać. Czy Florian zdradził plany Firmy, czy tylko jej paraliż? Jej źródła informacji czy jedynie to, że przynajmniej do pewnego stopnia sprzeniewierzyła się własnej długiej tradycji obiektywnego doradztwa na rzecz opętańczej starczej gonitwy po dzikich ostępach kolonialnych mrzonek?

Battenby trzymał się kurczowo każdego pretekstu, by przejść nad całą sprawą do porządku dziennego:

– A w dodatku łatwo możemy się go wyprzeć. Przecież on nawet tak naprawdę nie jest Anglikiem. Trochę to tylko podkręcimy, że niby nigdy nie był etatowym pracownikiem Firmy, że w najlepszym razie pracował dla nas od czasu do czasu. I w ogóle że to taka czarna owca.

Teresa nie dawała się przekonać.

– Quentinie, kurwa, czy nie czytałeś w „Timesie" wspomnienia o Deborah? Cytuję: „Debbie, bo tak nazywali ją pełni podziwu koledzy, była od ćwierćwiecza jednym z najbardziej utalentowanych oficerów wywiadu brytyjskiego. Miejmy nadzieję, że któregoś dnia będzie można w pełni wyjawić jej wkład w pracę na rzecz naszego kraju". A Florian był jej mężem, tak? Czy ty naprawdę chcesz nam wmówić, że jak go wsadzimy do pudła w dwadzieścia cztery godziny po pogrzebie żony, to prasa tego nie zauważy?

Proctor nie wiedział, co próbował im wmówić Battenby. Czy Florian w ogóle czegoś chce? Gdzie się teraz podziewa? Czy w ogóle tu jest? A może siedzi i czeka, żeby zobaczyć, z której strony powieje wiatr?

– Czyli dla dobra Firmy – Battenby znów zwrócił się do okna, jakby przy nim czuł się najpewniej – musimy tylko ograniczyć szkody.

Nie podniósł głosu, który jednak nie brzmiał już tak bezbarwnie. Teraz według Proctora brzmiał bardziej jak próba generalna przed wystąpieniem na komisji. Im dłużej Battenby mówił, tym lepiej rozkładał akcenty:

– Musimy zareagować bardzo zdecydowanie. Musimy dostać od niego pełne i jednoznaczne przyznanie się do winy w kontekście wszystkich aspektów jego zdrady. Śledztwo ma potrwać całe tygodnie, może nawet miesiące. Dostęp maksymalnie ograniczony, najlepiej tylko do członków rządu. Ale musi wyliczyć wszystko, co jej dał, od samego początku. I co ona z tym dalej robiła, i po co. Bo bez tego żadnej taryfy ulgowej. Żadnej. Nasze warunki muszą być… – Nie miał zbytniej ochoty użyć tych słów: – Absolutne, drakońskie i nienegocjowalne.

– Tylko że rząd też ma swoje warunki absolutne, drakońskie i nienegocjowalne – wtrąciła z wściekłością Teresa. – Jeżeli jeszcze nie wiesz, w Whitehall dostali szału. Za żadne skarby świata nie dopuszczą do tego, że rano nakłamią jak z nut, a już po południu okaże się, że łgali. Czy my jako Firma możemy im zagwarantować, że jutro nie przeczytają w „Guardianie" części pierwszej *Przygód Floriana*? Bo jeśli damy w łeb Florianowi, czy on to w ogóle poczuje? Bo tak, jak teraz to widzę, to raczej nie. Taka jest moja opinia prawna i nic lepszego wywalczyć się nie da. – Otwarła teczkę i wyciągnęła z niej bardzo oficjalnie wyglądający dokument, przewiązany zieloną wstążką na znak, że to pozew sądowy. – Z gardła im to wyrwałam trzy godziny temu, ale nie pozwolą już zmienić ani przecinka. A jak Florian tego nie podpisze, to wszystko się może zdarzyć.

*

Minęła godzina. Jeżeli Proctorowi się wydawało, że już gorzej być nie może, to właśnie dostaje przy wyjściu jeszcze jedną świetną wiadomość: odebrawszy komórkę u ochrony, widzi SMS-a od Ellen wysłanego przed dwiema godzinami. Leci już na Heathrow. Okazuje się, że wykopaliska nie były jednak tak fajne, jak się z początku zdawało.

13

Proctor wyjechał z Londynu o dziewiątej rano w strasznym korku. Służbowego forda prowadził ostrożnie jak zwykle, a na sobie miał jeden ze swych lepszych garniturów. W wewnętrznej kieszeni marynarki spoczywał długi cienki półpergamin, który – w co święcie wierzył – miał uratować Edwarda przed całkiem zresztą zasłużonym gniewem. Choć nikomu się z tego nie zwierzył, uważał ten kawałek papieru za kartę wyjścia z więzienia dla Edwarda. Teraz musiał tylko do niego dotrzeć, dać mu to do przeczytania, przemyślenia i podpisu.

Godzinę wcześniej, jeszcze z Dolphin Square, zadzwonił do Silverview, ale bez skutku. Wtedy natychmiast porozumiał się z Billym, sprawdzonym i zaufanym szefem sekcji wywiadu krajowego, który prowadził intensywną inwigilację Floriana, odkąd dotarł do niego list Deborah. Ze względów bezpieczeństwa całą operację Billy przedstawił swoim ludziom jako ćwiczenia w terenie, a inwigilowaną osobę jako jednego z byłych dyrektorów Firmy, który będzie oceniał jakość ich pracy.

Nie, powiedział Billy, Florian nie wychodził z domu i pewnie nie odbiera telefonu.

– Szczerze mówiąc, Stewarcie, wcale mu się nie dziwię. Sam bym się tak zachowywał. Szliśmy za nim do domu po pogrzebie. Ta jego córka, Lily, była u niego do dwudziestej trzeciej dziesięć. Potem znowu poszliśmy za nią aż do księgarni tego jej kochasia. Florian trochę łaził po domu, widzieliśmy cień, i w końcu zgasił światło w sypialni o trzeciej nad ranem.

– No a jak tam twoi chłopcy i dziewczęta, Billy? Nie przeszarżują?

– Mówię ci, Stewarcie, nigdy nie byłem z nich bardziej dumny niż dziś.

Proctor zastanawiał się przez chwilę, czyby nie posłać Billy'ego albo kogoś z jego ludzi, żeby ruszyli Edwarda, ale uznał, że lepiej nie. Zamiast tego o wpół do dziewiątej zadzwonił z samochodu do

księgarni. Telefon odebrał całkiem uprzejmie Julian. Czy przypadkiem nie ma u niego Lily?

Nie ma. Lily pojechała do Thorpeness po Sama do cioci Zosi, a potem ma Zosię zawieźć do Silverview. Czy on, Julian, może w czymś pomóc?

Proctor ucieszył się w duchu, bo do tej pory nie potrafił wyzbyć się wyrzutów sumienia po spotkaniu z Lily w lokalu konspiracyjnym.

Teraz wpadł na pewien pomysł. Bardzo chciał, żeby Edward jak najszybciej zobaczył dokument, pod którym miał się podpisać własną krwią. I dlatego rzekł:

– Wiesz co, Julianie? Rzeczywiście możesz mi w czymś pomóc. Masz czynną drukarkę?

– Jaką drukarkę? – zapytał już znacznie mniej uprzejmie Julian.

– No do komputera, a jaką?

– Przecież mi ją ukradłeś, zapomniałeś?

– To może masz w księgarni faks? – nalegał Proctor, wściekły na siebie za własną głupotę.

– Owszem, mamy faks, Stewarcie. Na zapleczu. Tak, faks jeszcze mamy.

– Kto go obsługuje?

– Mogę go obsłużyć, jeśli o to ci chodzi.

– Właśnie o to. Możesz pozbyć się Matthew, jak tam będziesz?

– Da się zrobić.

– I Lily? – A ponieważ zapadło znaczące milczenie, wyjaśnił: – Nie chcę jej niepokoić, Julianie. I tak ma dość własnych zmartwień. Muszę przekazać jej ojcu pewien dokument. Tylko do jego wglądu. Bo będzie go musiał podpisać. W tych okolicznościach będzie to coś bardzo pozytywnego i konstruktywnego, ale może przyjdzie nam nad nim popracować. Pomożesz mi?

– Do pewnego stopnia.

– Chcę ci to teraz przesłać faksem. Wsadzisz faks do koperty i od razu zaniesiesz Edwardowi, i powiesz mu, że Stewart Proctor mówi: „Dokładnie to przeczytaj”, a potem ustal, gdzie i kiedy chciałby się ze mną spotkać, żebyśmy sobie wszystko wyjaśnili. Później masz do mnie oddzwonić na ten numer i powiedzieć jedno zdanie: gdzie i kiedy.

Sam się sobie dziwił, że zwraca się do Juliana, jakby był jakimś młodym podwładnym w Firmie. Zresztą już dawno uznał, że chłopak świetnie by się nadawał do pracy w wywiadzie.

– A nie możesz po prostu wysłać e-maila do Silverview? – oponował Julian.

– Nie mogę, bo Edward dla zasady nie ma własnego komputera, o czym dobrze wiesz.

– Domyślam się, że komputer Deborah też ukradłeś.

– Nie ukradłem, tylko odebrałem, ponieważ to była własność służbowa. A Edward nie odbiera telefonów, o czym też dobrze wiesz. Dlatego muszę liczyć na ciebie. Podaj mi numer faksu.

Proctor nawet nie bardzo się przejął, gdy Julian zaczął się stawiać:

– Czy ty naprawdę myślisz, że ja tego nie przeczytam?

– Zakładam, że przeczytasz, Julianie, i właściwie nie bardzo mnie to martwi – odpowiedział beztrosko. – Tylko tym nie wymachuj na lewo i prawo, bo pójdziesz do więzienia, i to na bardzo długo. Ty też mi coś podpisałeś. Pamiętasz? Podaj mi numer faksu.

Wtedy Proctor zadzwonił do Antonii, podał jej numer faksu Juliana i na wszelki wypadek kazał sprawdzić, czy rzeczywiście jest zarejestrowany na Lepsze Książki Lawndsleya. Gdyby się okazało, że tak, miała natychmiast wysłać na podany numer tę Edwardową kartę wyjścia z więzienia.

Antonia miała obiekcje. Musiała mieć czyjś podpis.

– To idź do Teresy – warknął. – Tylko się pośpiesz.

Nawet sam Proctor był pod wrażeniem, że załatwia to wszystko całkowicie nieregulaminowo, szczególnie zważywszy na to, ile od tego zależało, ale pracował w tym fachu dość długo, by wiedzieć, że ważne sprawy wymagają czasem metody drobnych kroków.

Julian przekazał mu odpowiedź Edwarda, kiedy o dziesiątej dwadzieścia pięć wjeżdżał na A12: Proctor ma być sam. Nie spotkają się w Silverview, bo tam nie ma odpowiednich warunków. Edward proponuje Orford. Jeżeli pogoda wytrzyma, będzie na niego czekał punkt trzecia po południu na nabrzeżu. Jeżeli nie, to tuż obok, w Shipwreck Café.

– Jak to przyjął? – zapytał skwapliwie Proctor.

– Z tego, co wiem, całkiem nieźle.

– Z tego, co wiesz? To ty się z nim nie widziałeś?

– Drzwi otwarła mi Zosia. Edward był na górze, siedział w wannie. Zosia powiedziała, że miał ciężką noc. Dałem jej kopertę, zaniosła ją na górę i po jakimś czasie przekazała mi odpowiedź.

– Po jakimś czasie? Po jakim?

– Po dziesięciu minutach. Na pewno zdążył to przeczytać parę razy.

– A tobie ile to zabrało? – Taki żart.

– Wyobraź sobie, że jednak nie przeczytałem.

Proctor mu uwierzył. Wolałby, żeby Julian przekazał kopertę osobiście, ale biorąc pod uwagę, że w swym poprzednim wcieleniu Zosia była wierną agentką Edwarda, trudno było sobie wyobrazić lepszą pośredniczkę. Poza tym cieszył się, że w tych trudnych chwilach Zosia jest w Silverview. Gdyby Edward zaczął ulegać stresowi – trudno sobie wyobrazić, że nie – jej obecność mogła podziałać uspokajająco.

Zjechał na pobocze, wstukał w GPS kod Orfordu, przyglądnął się mapie, po czym zadzwonił do Centrali powiedzieć Battenby'emu o spotkaniu. Battenby'ego nie było w biurze. Proctor przekazał wiadomość jego asystentce. Teraz musiał powiadomić o wszystkim Billy'ego. Jego grupa ma nadal obserwować dom, dopóki Edward nie wyjdzie, a potem zostawić tam kogoś, żeby poczekał na jego powrót. Reszta grupy ma obstawić drogi dojazdowe do Orfordu, wiejski ryneczek i boczne ulice.

– Ale z daleka, Billy, ja cię proszę. On musi podjąć życiową decyzję. Niech mi nikt się nie snuje po nabrzeżu koło lodziarni, on jest za mądry na takie numery. Chcę, by wiedział, że ma luz.

Inaczej mówiąc, chciał być sam na sam z Edwardem. Zbliżało się południe. Dzień zapowiadał się pogodny. Za trzy godziny Edward będzie na niego czekał na nabrzeżu. Im dłużej myślał o nadchodzącym spotkaniu, tym bardziej się na nie cieszył. Z operacyjnego punktu widzenia to on sprowadzi Edwarda na dobrą drogę. To on będzie tym, który go dopadł i osaczył i który teraz wyciągnie z niego wszystko, co Edward wie: przecieki, źródła, jeśli je posiadał, sposób działania, znanych lub choćby potencjalnych sympatyków w Firmie – Proctor domyślał się zresztą, że to tylko

teoria, bo kto jak kto, ale Edward zawsze pracował sam. Najważniejsze było co innego: to, co Edward wiedział o klientach Salmy, a więc tożsamość ludzi, których informowała, jeśli tacy byli, i jej własna siatka, jeśli ją miała.

A kiedy już to się stanie i kiedy zrobią z tym porządek, zapyta go szczerze, tak po ludzku: kim jesteś, Edwardzie – ty, który byłeś tyloma ludźmi naraz i udawałeś jeszcze innych ludzi? Kogo znajdziemy pod tymi wszystkimi warstwami różnych przebrań? A może ty jesteś właśnie tym, na kogo się składają wszystkie te przebrania?

A skoro tak, to jak wytrzymałeś w tym pozbawionym miłości małżeństwie – rok po roku, a wszystko dla jeszcze większej miłości? W dodatku, jeśli wierzyć Ani, miłości niemożliwej do spełnienia?

Oczywiście były to pytania, które mógł mu zadać każdy nowicjusz. Co gorsza Proctor, zadając je, mógł niechcący bardziej się sam przed nim odsłonić, niżby chciał – choćby przez to, jak bardzo ciekawiły go odpowiedzi. Ale przecież już było po sprawie, cóż miał do stracenia? Najbardziej niezrozumiała była dla niego myśl o takiej wszechogarniającej pasji, dla której ktoś mógł poświęcić całe życie i pozwolić jej tym życiem kierować. W jego przeszkolonym umyśle pełne oddanie jednej sprawie stanowiło poważne zagrożenie. Cała etyka służb specjalnych była temu absolutnie – powiedziałby nawet: skrajnie – przeciwna, chyba że chodziło o manipulowanie takim oddaniem u prowadzonego agenta.

Ale Edward różnił się od wszystkich innych ludzi, których Proctor znał, i chętnie mu to powie. Jakiś bardziej filozoficzny umysł – na pewno nie Proctor – mógłby powiedzieć, że Edward był bytem rzeczywistym, a Proctor tylko pojęciem, bo to Edward przeszedł za życia przez wszystkie kręgi piekieł, a Proctor tylko niektóre z nich obserwował, i to z bezpiecznej odległości.

I dlatego zastanawiał się teraz, jak to jest, gdy ktoś został stworzony z ognia takiej winy i hańby. Gdy ktoś taki wie, że choćby przez całe życie się starał, niczym tej plamy nie zmyje, żadnymi wonnościami Arabii. Ktoś, kto raz po raz postawiwszy wszystko na jedną szalę, widzi, że nic z tego, że nie uda się to ani w Polsce, ani – już ostatecznie i dosłownie – w Bośni.

Przypomniał mu się pierwszy raport Barniego na temat Floriana z Paryża: o najnowszym i bardzo obiecującym „potencjalnym agencie, nad którym pracuje", o Floriana „dobrze zakamuflowanej przeszłości w Polsce", jak gdyby ta polska przeszłość nie dotyczyła ojca Edwarda, tylko jego samego, obciążając go od urodzenia, była znana tylko jemu, nikomu innemu. I zakończenie tego entuzjastycznego akapitu: że ta skrywana przeszłość to „siła napędowa, która każe Florianowi pracować dla nas przeciwko każdemu komunistycznemu przeciwnikowi w każdy określony przez nas sposób".

No i ta siła napędowa rzeczywiście tak działała – aż do chwili, gdy Edward zamienił ją na jeszcze potężniejszą siłę – siłę Selmy, tragicznej wdowy, matki, która straciła jedynego syna, radykalnej pacyfistki, Edwarda niespełnionej nigdy miłości.

Na zdrowy rozum Proctor mógł z tym się utożsamiać. I w trakcie ich rozmów o życiu zamierzał przejść do porządku dziennego nad faktem, że z całkiem bezstronnego punktu widzenia Edward, szpiegując własną żonę, zdradził swój kraj – a więc popełnił zbrodnię, za którą kto inny mógłby pokutować przez co najmniej dwadzieścia lat.

Bo czy Edward wciąż kocha Firmę mimo jej licznych wad? O to też go zapyta. Domyślał się, że tak – tak jak my wszyscy.

A czy Edward uważa Firmę za problem, a nie za jego rozwiązanie? Tak czasem myślał sam Proctor. Czy Edward się obawia, że przy ciągłym braku jakiejkolwiek konsekwentnej polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii Firma istnieje już tylko dla siebie? No cóż, takie myśli też nachodziły czasem Proctora. I wcale się ich nie wstydził.

A teraz wróćmy na chwilę do Lily. Tu przynajmniej, dzięki Bogu, sprawy przedstawiały się trochę lepiej. Przede wszystkim wyglądało na to, że wreszcie trafiła na porządnego faceta. Proctor byłby w siódmym niebie, gdyby jego własny syn Jack potrafił zachować się tak rozsądnie jak Julian poprzedniego dnia na farmie czy choćby przedtem przez telefon. A gdyby Katie, która oprócz innych zalet miała sporo zdrowego rozsądku, znalazła sobie kogoś podobnego – nic, tylko oklaski.

A stąd był już tylko krok, by powrócić myślą do Ellen – choć prawdę mówiąc, tak naprawdę bez przerwy o niej myślał – i zastanowić się, kto lub co sprawiło, że postanowiła przerwać wyjazd. Może to ten przystojny archeolog? A skoro tak, to czy to był jej pierwszy raz, czy były jeszcze inne skoki w bok, o których nie wiedział? Przecież czasem całe małżeństwo to tylko przykrywka.

Kiedy Proctor później się nad tym zastanawiał, w swoich rozważaniach na ten temat doszedł właśnie do mniej więcej tego miejsca, gdy otrzymał niepokojącą wiadomość od Billy'ego, że Florian ciągle się nie objawił. Czas dojazdu z Silverview do Orfordu wynosił co najmniej czterdzieści minut. Spotkanie było umówione na za pół godziny.

– Gdzie jego auto? – zapytał Proctor.

– Stoi przed domem. Całą noc stało, od wczoraj.

– Ale przecież on czasem bierze taksówkę. Może kazał podjechać od tyłu.

– Stewart, ja pilnuję drzwi frontowych, drzwi tylnych, drzwi bocznych i drzwi do ogrodu. I jeszcze wszystkich wyjść na taras, okien na piętrze i jeszcze…

– A Zosia ciągle tam jest?

– Nie wychodziła.

– Lily?

– W księgarni. Razem z Samem.

– A w ogóle ktoś podjeżdżał pod dom, od kiedy przyszła Zosia?

– No, raz moi ludzie musieli rzeczywiście zejść z drogi, bo listonosz jechał. O jedenastej dziesięć, jak co dzień. Chyba przywiózł same reklamy. Chwilę pogadał z Zosią na progu i odjechał.

– Kogo masz w Orfordzie?

– Ludzi na rynku, w pubie, przy oknie w smażalni. Na nabrzeżu nie, bo mówiłeś, żeby nie. Coś mam zmienić czy tak trzymać?

– Tak trzymać.

*

Proctor musiał teraz podjąć decyzję, i to szybko. Czy ma sam dołączyć do obstawy Silverview, kręcić się przy furgonetce Billy'ego?

Czy też założyć, że Edwardowi udało się zmylić czujność ekipy i że pojechał do Orfordu jakoś inaczej? Ewentualności, że Edward uciekł, w ogóle nie traktował poważnie. Jeżeli komuś los daje kartę wyjścia z więzienia, to ten ktoś przecież chyba ją odbierze?

Za sto metrów skręć w lewo do Orfordu. Pięć kilometrów. Skręca.

Jednopasmowa droga z mijankami. Po prawej już pojawił się zamek. Jedzie biały mikrobus. Przepuszcza go. Wiezie wesołych turystów z plecakami. Proctor się domyśla, że to też ludzie Billy'ego, jadą zluzować kolegów. Tylko żeby mi się żaden z was nie pokazał na nabrzeżu…

Wjeżdża na rynek. Jest parking. W dalszym lewym rogu wyjazd w stronę morza. Skręca tam powoli, podziwiając zabytkowe chatki rybaków po obu stronach. Nieliczni przechodnie spacerują w obu kierunkach. Żaden z nich nie jest Edwardem.

Już widzi nabrzeże i nieco dalej łódki, zatokę, mgłę, otwarte morze. Parkować albo nie parkować, oto jest pytanie. Parkuje, nie traci czasu na parkometr, pośpiesznie wychodzi brudną ścieżką na bulwar.

Kolejka zwiedzających czeka na wycieczkę statkiem. Kawiarnia z ogródkiem. Ludzie piją herbatę. Ludzie piją piwo. Zagląda do środka. Jeżeli tu jesteś, to się nie ukrywasz, tylko na mnie czekasz.

W otwartych drzwiach hangaru na łodzie dwóch rybaków, chyba miejscowych, lakieruje dno obróconego czółna.

– Nie widzieli panowie mojego kolegi? Nazywa się Avon, Teddy Avon. Często tu bywa…

– Nie znam gościa.

Wraca do samochodu, dzwoni do Billy'ego. Ani widu, ani słychu, Stewarcie.

Tym razem, ignorując własne przemyślenia, Proctor zawodowiec postanawia podjąć pewne środki ostrożności i telefonuje do Antonii, swojej asystentki.

– Antonia? Ile Florian miał lewych paszportów?

– Czekaj. Cztery.

– A ile z nich było nieważnych?

– Żaden.

– A myśmy ich nie unieważnili?

– Nie.

– Czyli sam je odnawiał, a my nawet o tym nie wiemy. No pięknie. Unieważnij je natychmiast. Jego legalny brytyjski paszport też. I zaraz wiadomość do wszystkich portów, morskich i lotniczych, że mają Floriana zatrzymać, jak tylko się pojawi.

Teraz telefon do Juliana. Trzeba było wcześniej.

*

Gdy Proctor wjechał w bramę Silverview, Julian i Lily już tam byli, bo o to ich prosił. Land cruiser Juliana parkował na podjeździe, a oni oboje właśnie wychodzili z domu. Lily przeszła obok Proctora i wsiadła do samochodu z przodu po lewej stronie.

– Edwarda nie ma – powiedział ponuro Julian, stając twarzą w twarz z Proctorem. – Przetrząsnęliśmy dom od góry do dołu. Nie zostawił listu ani w ogóle niczego. Chyba mu się śpieszyło. Nagle się ulotnił.

– Ale jak?

– Nie mam pojęcia.

– A może Lily coś wie?

– Na twoim miejscu bym jej teraz nie pytał. Zresztą ona nic nie wie.

– No a Zosia?

– Jest w kuchni – odparł krótko Julian i wsiadł do land cruisera obok Lily.

Wielka posępna kuchnia. Deska do prasowania. Zapach prania. Zosia siedziała w fotelu z tapicerką w szkocką kratę. Kędzierzawe siwe włosy. Poorana zmarszczkami twarz polskiej babiny z Kresów.

– To jakaś tajemnica – powiedziała i chwilę trwało, nim znalazła to długie słowo. – Jak przyjechałam, Edek był normalny. Chce herbaty, robię mu herbaty. Chce się wykąpać, idzie się wykąpać. Potem przychodzi Julian. Julian ma dla Edka długi list. Wpycham list pod drzwi. On go czyta. Chyba w kilka minut. Krzyczy, że dobrze. Jest dobrze. Może być o trzeciej. Powiedz Julianowi. W Orfordzie o trzeciej. Dobrze. Po kąpieli idzie pochodzić po ogródku. Edek lubi chodzić po ogródku. A ja tu. Prasuję. Nie widzę Edka. Może ktoś

przyjechał samochodem, zabrał go. Nic nie słyszałam. Edward smutny po Deborah. Wiele nie mówi. Zosiu, mówi do mnie, tak mi żal Deborah. Może pójdę na jej grób.

Proctor zaparkował na wzgórzu nad miastem, zebrał się w sobie i zatelefonował do gabinetu Battenby'ego, ale znowu dodzwonił się tylko do asystentki, przekazał, że Florian zniknął, że nie podpisał wiadomego dokumentu i że Proctor sam podjął decyzję o unieważnieniu wszystkich paszportów Floriana łącznie z aktualnym brytyjskim oraz o zaalarmowaniu wszystkich portów i lotnisk.

Za to z Teresą połączono go natychmiast. Oświadczyła tonem nieznoszącym sprzeciwu, że od tej chwili Edward musi być uważany za zbiegłego przestępcę i że jej zdaniem należy natychmiast powiadomić policję i prokuraturę.

– Tereso, nie możesz mi dać jeszcze paru godzin? Może po prostu się schował, żeby to wszystko przemyśleć? – błagał Proctor.

– Kurwa. Nie ma mowy. Zaraz jadę do premiera.

Proctor znowu zadzwonił do Billy'ego, tym razem po to, by kazać mu użyć całej ekipy do przeszukiwania okolicy. Tak, jeśli trzeba, można też szukać go z powietrza. W razie znalezienia Edwarda mają go zatrzymać, ale nie stosując więcej przemocy, niż trzeba, i pod żadnym pozorem nie przekazywać policji, dopóki Proctor z nim nie porozmawia.

– To po prostu za wielka decyzja, Billy. On tylko gra na czas. Wróci.

Czy sam w to wierzył? Nie wiedział. Była już piąta po południu, zapadał zmierzch. Pozostawało tylko czekać. Od czasu do czasu telefonował do Juliana, czy czegoś on lub Lily się dowiedzieli.

*

W barze kawowym Guliwer najcichszy dźwięk brzmiał teraz jak wybuch. Sam, zmęczony po intensywnej sesji na placu zabaw, spał smacznie w wózku. Lily siedziała na swoim miejscu przy barze. Albo z twarzą w dłoniach, albo wpatrywała się w telefon w nadziei, że zadzwoni. Albo podchodziła do okna, że może akurat dojrzy na ulicy Edwarda w kapeluszu i beżowym płaszczu. W ciągu ostatniej godziny

Proctor dzwonił już dwa razy, żeby zapytać, czy czegoś się dowiedzieli. Teraz dzwonił trzeci raz.

– Powiedz mu, żeby poszedł do diabła – rzuciła Lily przez ramię pod adresem Juliana. W tym stresie nawet przestała mocniej przeklinać.

Już miała znów się pogrążyć w myślach, gdy w drzwiach pojawił się Matthew, mówiąc, że na dole jest Mały Andy, listonosz, bo ma do Lily jakąś osobistą sprawę.

Lily wzięła komórkę i zeszła po schodach za Matthew. Mały Andy, który miał prawie dwa metry wzrostu, nie był już w mundurze listonosza, tylko w dżinsach. Lily przeszło przez myśl – jak potem opowiadała Julianowi – że jeżeli dopiero co skończył obchód, to musiał się strasznie szybko przebrać. To jeszcze bardziej pogłębiło jej przeczucie nadchodzącej katastrofy. Zauważyła też, że tym razem Andy darował sobie swoje zwykłe wesołe powitanie.

– Bo chodzi o to, Lily, że to najgorsze, co można zrobić – zaczął od środka raczej niż od początku. – Przewóz osób nieupoważnionych. Jakby mnie złapali, to klops.

Ale Andy'ego tak naprawdę martwił stan zdrowia pana Avona, no tak, pana Teddy'ego, że tak się ukradkiem wśliznął do Andy'ego pocztowej furgonetki i że tak nagle wychynął zza siedzenia, mówiąc: „Bardzo cię przepraszam, Andy", jakby to miał być kawał. Bo gdyby Zosia nie przyszła z herbatą, to pan Teddy nie zdążyłby wsiąść. Andy nie miał pojęcia, jak się zmieścił, bo przecież chudy to on nie jest…

Teraz już przy Lily pojawił się Julian i też słuchał opowieści Andy'ego:

– Teddy, mówię mu, wysiadaj. Ale już. Nie będę powtarzał. A on mi zaczyna nawijać o szwagierce, że zaraz będzie w Silverview, a on jej nie cierpi. Lily, przepraszam, jeśli obraziłem twoją ciocię. A jeszcze akurat posiał gdzieś kluczyki do auta, co ma zrobić? Proszę pana, mówię. Już nie po imieniu. Wszystko jedno, proszę wysiadać. Bo jak w tej chwili pan nie wysiądzie, to włączam alarm i będzie pan miał nieprzyjemności. Ja pewnie też.

– I włączyłeś? – zapytała Lily i Julian odniósł wrażenie, że jest mniej zdenerwowana, niż się spodziewał.

– Mało brakowało, mówię ci, Lily. Dobra, Andy, mówi. Nie szalej, rozumiem cię, wszystko będzie dobrze… Sama wiesz, jak on umie człowieka zagadać… Podwieź mnie tylko za róg, żeby nikt mnie nie widział, a dalej pójdę już na nogach, nikt się nie dowie, masz tu dychę. Nie wziąłem. Tylko że, Lily, z nim chyba jest coś nie w porządku. Zresztą co się dziwić po tych przejściach z Deborah? Ale jak to się wyda…

– I dokąd dalej poszedł? – zapytała Lily tym samym, jakby rozkazującym tonem.

– Nie powiedział, Lily, a ja nawet nie zdążyłem go spytać. Tak szybko wydostał się z wozu, że nie do wiary… Powiedział mi tylko, że chce być jak najdalej od twojej cioci. Z całym szacunkiem, Lily. A potem wróciłem, bo jak miałem nie wrócić?

– Gdzie wróciłeś? – znów spytała Lily.

– No tam, gdzie go zostawiłem. Żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. W tym wieku mógł się wywrócić czy co… Tylko że on właśnie złapał okazję, nie? Długo nie czekał, szczerze mówiąc.

– Jaką okazję? – zapytał tym razem Julian. Lily chwyciła go kurczowo za rękę

– A, takiego małego peugeota. Czarnego peugeota. Świeżo umytego. Dziwne, że w tych czasach są jeszcze ludzie, którzy nie boją się brać na stopa, ale są.

– Widziałeś, kto prowadził, Andy? – zapytała Lily.

– Tylko od tyłu, bo już odjeżdżali. Edward siedział z przodu. Podobno tak jest bezpieczniej, jak nie wiesz, z kim jedziesz.

– Kobieta czy mężczyzna?

– Nie widziałem, Lily. Ludzie teraz noszą takie fryzury, że nie da się poznać.

– Widziałeś rejestrację? – To Julian.

– Tyle wiem, że nie stąd. Zresztą nie znam tu nikogo, kto ma czarnego peugeota. No i gdzie on pojechał? A wszystko przez twoją ciocię, Lily. Bez sensu. I kto go podwiózł? To mógł być każdy.

Wylewnie mu podziękowawszy i zakląwszy się na wszystkie świętości, że z policją i szpitalami skontaktują się tylko w razie potrzeby i że na pewno nawet o Andym nie wspomną, Julian odprowadził go do drzwi. Kiedy wrócił na górę, zastał Lily już nie

w Guliwerze, ale w wykuszu w swoim salonie. Patrzyła przez okno na morze.

– Powiedz, co mam zrobić – powiedział do jej pleców. – Mam od razu dzwonić do Proctora czy nic mu nie mówić i modlić się, żeby Edward się tu pojawił?

Bez odpowiedzi.

– Bo wiesz, jeżeli Edward rzeczywiście jest w złym stanie, to może lepiej niech Proctor go znajdzie, bo wtedy będzie można jakoś mu pomóc.

– Nie znajdzie go – zapewniła i gdy się odwróciła, zobaczył, że bardzo się zmieniła, że jest tak radosna, wręcz rozpromieniona, że aż przez chwilę się o nią bał. – Pojechał do Salmy – powiedziała. – I więcej tajemnic już przed tobą nie mam.

Posłowie

Napisał Nick Cornwell

Znalazłem się w sytuacji kogoś, kto nie tylko ma rozwiązać komuś rzemyk od sandałów, ale jeszcze powiedzieć coś ważnego o jego życiu i twórczości. Przyszłoby mi to znacznie łatwiej, kiedy byłem nastolatkiem. Uwielbiałem historie o walce Smileya z Karlą, szczególnie *Druciarza, krawca, żołnierza, szpiega*, gdy czytał go na głos Michael Jayston. Słuchałem tego w kółko na moim nieporęcznym magnetofonie kasetowym JVC i w końcu potrafiłem cytować z pamięci nie tylko całe zdania, ale i ich intonację: „Opowiem wam historyjkę. O szpiegach. Jeżeli jest prawdziwa, a zdaje mi się, że jest, to będziecie musieli wszystko zacząć od nowa, chłopaki". Już wtedy powiedziałbym wam – i teraz też powiem – że David John Moore Cornwell, lepiej znany jako John le Carré, był nie tylko świetnym Ojcem, ale też fantastycznym, jedynym w swoim rodzaju twórcą opowieści.

Zima 2020/2021 roku była ciężka. Na początku grudnia zjawiłem się w domu rodziców w Kornwalii, by zająć się mamą, której nowotwór tym razem brał się całkiem na poważnie do roboty, a Ojciec trafił do szpitala z podejrzeniem zapalenia płuc. Kilka dni później pod wieczór klęczałem przy łóżku mamy w tym samym szpitalu i musiałem jej powiedzieć, że Mu się nie udało. Płakaliśmy razem. Potem wróciłem do domu sam i sam patrzyłem przez deszcz na morze.

Miałem – mam – dużo szczęścia. Gdy Ojciec umarł, nie było między nami niezakończonych spraw, żadnych złych słów, żadnych kłótni, żadnych wahań czy obaw. Ja kochałem Jego, On mnie. Znaliśmy się dobrze, byliśmy z siebie nawzajem dumni. Potrafiliśmy żyć z naszymi wadami i dobrze nam było. Nie trzeba prosić o nic więcej.

Poza jedną sprawą: złożyłem Mu obietnicę. Całkiem świadomie Mu coś obiecałem. Kiedyś, jednego – niemal symbolicznie – lata, nie pamiętam nawet, który to był rok, poszliśmy na spacer na Hampstead Heath. On też żył z nowotworem, ale raczej z takim, z którym się umiera, niż na który się umiera. Poprosił mnie, bym Mu coś obiecał, a ja się zgodziłem. Jeżeli umrze, zanim skończy jakąś książkę, to czy ją dokończę?

Zgodziłem się. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym Mu odmówić. Pisarz powiedział do pisarza, Ojciec do syna: „Jeśli ja nie dokończę, czy podejmiesz moją pracę?". To oczywiste, że w takiej sytuacji powie się: tak.

Więc gdy w tę ponurą kornwalijską noc wpatrywałem się w wielki czarny ocean, przypomniałem sobie o *Silverview*.

Nie czytałem jej, ale wiedziałem, że jest. Książka dokończona, lecz nieujawniona. Wielokrotnie przerabiana. Rozpoczęta tuż po *Subtelnej prawdzie*, którą zawsze uważałem za kwintesencję twórczości Ojca – za brawurowy przykład talentu, mądrości, pasji i akcji. Ale ta książka, choć napisana, nie poszła do wydawcy. Właśnie: została jedna książka. I jedna obietnica. Obie czekały na spełnienie.

Może była zła? To zdarza się każdemu pisarzowi. A jeśli tak, to czy można ją uratować? A jeśli można ją uratować, to czy ja umiałbym to zrobić? Podobnie jak Ojciec potrafię naśladować innych – ale żeby zrobić to na całego, żeby udawać Jego głos przez całe trzysta stron… Czy w ogóle powinienem zrobić coś takiego? Czy mam do tego prawo?

Przeczytałem ją i w ogóle już nie wiedziałem, co myśleć. Książka była zastraszająco świetna. Było w niej trochę błędów, jak to w stadium maszynopisu – powtórzenia, literówki, od czasu do czasu niezbyt jasny akapit. Ale i tak tekst był znacznie bardziej dopieszczony niż zwykle na etapie redakcji i podobnie jak *Subtelna prawda* stanowił nieodłączny element całej twórczości – prawdziwa Blake'owska „pieśń doświadczenia", a równocześnie zupełnie odrębna opowieść posiadająca własną moc emocjonalną, własne tematy. Co Go powstrzymało? Co sprawiło, że spoczęła w szufladzie, potem wróciła na warsztat i znów trafiła do szuflady? Co Mu się

w niej nie podobało? I co ja miałem teraz poprawiać? Domalować Monie Lizie brwi?

W tych nieczęstych chwilach, gdy zastanawiałem się, co zrobię, kiedy znajdę się w takiej sytuacji, myślałem, że będę miał do czynienia z książką napisaną, powiedzmy, w trzech czwartych, że będą obszerne notatki na temat zakończenia, może trochę całkiem luźnych zapisków, i że moja praca będzie polegać na swoistym zszywaniu i cerowaniu tekstu. Tutaj tego nie było w ogóle. Wersja, którą trzymasz teraz w rękach, czytelniku, to wynik prostej edycji – właściwie tylko lekkiego wygładzenia. Jest to więc przede wszystkim czysty John le Carré. Jeśli jednak coś ci się nie podoba, możesz mieć pretensje tylko do mnie.

Więc jeszcze raz: dlaczego? Dlaczego ta książka dopiero teraz trafiła do twoich rąk?

Mam pewną teorię. Teoria ta jest całkowicie bezpodstawna, instynktowna i nie mam na nią żadnych dowodów. Surowi arbitrzy tego, co można, a czego nie można potwierdzić, których tak wielu umieścił mój Ojciec w swym Cyrku, zapewne powiesiliby mnie za uszy, gdybym się z nią wyrwał. Ale podobnie jak Ricky Tarr wierzę, że jest prawdziwa.

Mój Ojciec miał wiele zasad, lecz tej przestrzegał jeszcze bardziej niż innych. Nie rozmawiał o starych, pożółkłych i nieco wstydliwych tajemnicach z czasów pracy w wywiadzie. Nigdy nie wymieniał niczyich nazwisk i nawet swym najbliższym i najbardziej zaufanym przyjaciołom nie wyjawiał żadnych faktów z czasów tajnej służby. Ja sam wiem o tym okresie jego życia tylko to, co mogę przeczytać w każdej książce czy gazecie. Choć z SIS odszedł w latach sześćdziesiątych, pozostał do końca wierny złożonej przysiędze. Nic nie było dla niego tak obraźliwe jak aluzje, rzucane czasem przez wyższych oficerów współczesnych agencji wywiadowczych, urażonych Jego oskarżeniami o polityzację pracy tajnych służb, że uczynkiem lub zaniedbaniem zgrzeszył przeciw swym starym kolegom. Nic z tych rzeczy. Starzy koledzy od czasu do czasu pojawiali się przy Nim ukradkiem i niby przypadkowo – w księgarniach, na polnych drogach – by mu powiedzieć, że wiedzą, iż dotrzymał raz danego słowa.

Ale *Silverview* pod jednym względem różni się od wszystkich innych powieści Johna le Carré. Ukazuje tajne służby podzielone między przeróżne polityczne stronnictwa, nie zawsze takie, które są im przychylne; służby, które nie zawsze reagują odpowiednio szybko i odpowiednio skutecznie; służby, które nie potrafią już przekonująco uzasadnić własnego istnienia. W *Silverview* brytyjscy szpiedzy stracili – podobnie jak wielu z nas – pewność, czym jest nasz własny kraj i kim jesteśmy dla siebie sami. Teraz i nasza strona podziela ułomność Karli z *Ludzi Smileya*, bo brakuje jej ludzkiego wymiaru. I podobnie jak Smiley w tej samej powieści, teraz i nasza strona się zastanawia, czy było warto.

Być może Ojciec nie był do końca pewny, czy może to powiedzieć wprost. Myślę, że świadomie i nieświadomie głos by Mu zadrżał, gdyby zaczął mówić te gorzkie prawdy instytucji, która przygarnęła go, kiedy w połowie dwudziestego wieku był jak bezpański pies. Uważam, że napisał cudowną książkę, ale po namyśle uznał, że jest zbyt prawdziwa, a im więcej nad nią pracował, tym bardziej prawdziwa się stawała – i taki mamy skutek.

Czytelniku, masz prawo do własnego zdania i jest ono równie dobre jak moje. Ale ja wierzę w to, co mówię.

Na pewno jednak na tych stronach znajdziesz mojego Ojca. On tam jest. I jak zawsze chce mówić prawdę, snuć opowieść, pokazać ci świat. Witaj w *Silverview*.

Nick Cornwell, czerwiec 2021

Nick Cornwell to najmłodszy syn Johna le Carré. Pisze pod pseudonimem Nick Harkaway.

[1] Z licznych polskich przekładów tego pięknego wiersza Johna Keatsa *La Belle Dame Sans Merci*, takiej angielskiej *Świtezianki* – a tłumaczyli go m.in. Jerzy Pietrkiewicz, Jerzy Sito, Robert Stiller i Agnieszka Fulińska – do kontekstu, w którym cytuje go John le Carré, najlepiej pasuje wersja Stanisława Barańczaka (przyp. tłum.).